

Marian Szałapski

Gmina Tarnawatka - daj się wkręcić



Tarnawatka, 2021

© Copyright by Marian Szatapski

Fotografia:

Aleksandra Wnuk-Maliszewska

Projekt okładki:

Aleksandra Wnuk-Maliszewska

Skład, łamania:

Sławomir Franc, Anna Kiszczyńska

Wydawca:

Stowarzyszenie Wzgórze Przyjaźni
ul. Kościuszki 1, 22-604 Tarnawatka

ISBN:

Druk:

Polianna,

Krasnystaw, ul. Kościuszki 3,

tel. 82 576 36 48, 501 503 107

e-mail: drukarnia.polianna@interia.pl



Tarnawatka

*Jesteśmy w pół drogi. Droga
pędzi z nami bez wytchnienia.
Chciałbym i mój ślad na drogach
ocalić od zapomnienia.*

K. I. Gabrzyński

Spis treści

WSTĘP	7
WIEPRZÓW.....	9
PODHUCIE.....	27
TYMIN.....	31
HUTA TARNAWACKA	39
PAUCZNE	44
SUMIN.....	47
KUNÓWKA.....	59
NIEMIRÓWEK-KOLONIA.....	65
NIEMIRÓWEK	80
KLOCÓWKA.....	88
DĄBROWA TARNAWACKA	100
PAŃKÓW	110
TARNAWATKA-TARTAK.....	129
TARNAWATKA.....	142
WYKAZ ŹRÓDEŁ:	205

Wstęp

Przystępując do realizacji projektu, którego głównym celem jest promocja dziedzictwa lokalnego, zastanawiałem się nad wyborem formy najlepiej prezentującej walory turystyczne i kulturowe gminy Tarnawatka. Odpowiedź, choć początkowo wcale nieoczywistą, miałem właściwie gotową. Przecież od wielu lat poznaję tę gminę, co więcej, zdarza mi się również o niej pisać. Miałem także fotografa, który zgodził się wykonać zdjęcia do publikacji.

Moje doświadczenia wskazują, że tereny wiejskie, gdzie nie ma nagromadzenia wielu atrakcji w jednym miejscu, najlepiej poznawać z punktu widzenia rowerzysty. Rower, w przeciwieństwie do samochodu, nie pozwala na zbyt ni pośpiech, dając możliwość bliższego przyjrzenia się otaczającej rzeczywistości. Z kolei przebycie pieszo kilkudziesięciu kilometrów, wymagałoby dużego wysiłku, a także zapewnienia odpowiedniej logistyki. Nie bez znaczenia dla całej sprawy pozostawał także fakt, że turystyka rowerowa w ostatnim czasie zrobiła się bardzo popularna. Miałem również nadzieję, że publikacja ta stanie się inspiracją do powstania na terenie gminy szlaków rowerowych z prawdziwego zdarzenia.

W niniejszym opracowaniu starałem się przedstawić najważniejsze atrakcje, jakie oczekują na turystów odwiedzających gminę. Zdaję sobie sprawę, że z pewnością nie o wszystkich udało mi się napisać. Może też okazać się, że z przedstawionymi przeze mnie miejscami czy wydarzeniami wiążą się zupełnie inne historie niż te zapisane w książce. Opisując je, bazowałem nie tylko na pisanych materiałach źródłowych, ale także na ustnych relacjach ludzi, także tych pragnących zachować anonimowość. Muszę przyznać, że spotkałem się z wieloma osobami, które z życzliwością zaangażowały się w pomoc przy realizacji tego projektu.

Wszystkim składam serdeczne podziękowania, bo wiem, że bez nich praca ta, jeżeli w ogóle powstałaby, to byłaby znacznie uboższa.

W tym miejscu muszę zastrzec, że opracowanie nie ma ambicji naukowych, dlatego też nie zostało zaopatrzone w przypisy, a zawiera jedynie spis wykorzystanych źródeł. Staralem się nie zasypywać czytelnika encyklopedyczną wiedzą historyczną, geograficzną czy też przyrodniczą.

W opisie podróży znajduje się także szereg wrażeń, przemyśleń oraz fantazji autora towarzyszących mu na poszczególnych jej etapach.

Zamierzonym efektem tej swoistej mieszanki faktów, krajobrazów, rozmów z ludźmi i osobistych refleksji, dodatkowo przeplatanych fotografiami, miało być zachęcenie do odwiedzenia Tarnawatki i jej bliższe poznanie. Nie spodziewam się jednak, że od razu ktoś przejedzie wszystkie etapy tarnawackiej podróży odbytej przeze mnie. Mam za to pewność, że w tej gminie dla każdego znajdzie się coś, co będzie go w stanie zainteresować i zachęcić do bliższego poznania.

Jestem przekonany, że każdy, kto już raz zachwyci się Tarnawatką i *da się w nią wkręcić*, będzie tu powracał i odkrywał urokliwe miejsca, ciekawe historie i interesujących ludzi.

Autor

Wieprzów

Swoją rowerową podróż przez gminę Tarnawatka postanowiłem rozpocząć w Wieprzowie. Dlaczego? Odpowiedzi na to pytanie jest wiele. Najważniejszą jednak jest ta, że tutaj swój początek bierze największa rzeka Lubelszczyzny, nosząca tę samą nazwę co miejscowość.

Należy wyjaśnić, że rzeka Wieprz wypływa z Wieprzowego Jeziora. Jeziora, którego dzisiaj praktycznie nie ma, a po którym pozostał niezbyt duży, trochę zabagniony teren. Zbiornik wodny przestał istnieć w wyniku melioracji przeprowadzonej w latach 60. XX wieku. Do jego coraz większej degradacji przyczyniają się także suche lata, które nawiedzają nasz region coraz częściej. Przez teren jeziora przebiega granica pomiędzy gminami Tomaszów Lubelski i Tarnawatka. Co jeszcze ciekawsze, prawo własności nieruchomości należy do Wspólnoty Gruntowej wsi Wieprzów oraz osoby fizycznej. Stykają się tutaj trzy miejscowości, które w swoich nazwach mają słowo *wieprz*. Wieprzowe Jezioro (należące do gminy Tomaszów Lubelski), Wieprzów Tarnawacki i Wieprzów Ordynacki (w gminie Tarnawatka). Żeby było jeszcze ciekawiej, te dwie ostatnie tworzą jedno sołectwo pod nazwą Wieprzów.

Próbując dotrzeć do wiarygodnych materiałów historycznych, przedstawiających historię miejscowości położonych nad Wieprzowym Jeziorzem, odniosłem wrażenie, że wpadłem w jakiś prawdziwy gąszcz. Nagle te wszystkie Wieprzowy zaczęły mieszać mi się na potęgę. Bo jak na przykład odgadnąć, co autor miał na myśli, mówiąc, że Wieprz swój początek bierze w Wieprzowym Jeziorze? W miejscowości czy w zbiorniku wodnym, który - jako się rzekło wyżej - leży na terenie dwóch gmin? Pewne jest to, że wieś Wieprzowe Jezioro została założona w 1. połowie XVI wieku przez Stanisława Tęczyńskiego herbu Topór,

starostę bełskiego w latach 1546-1560. Z tejże miejscowości miał też zostać później wydzielony Wieprzów Tarnawacki. Pierwotnie Wieprzowe Jezioro (Wieprzów) wchodziło w skład starostwa bełskiego, a później tarnawackiego.

Wśród nazwisk związanych z właścicielami Wieprzowa pojawia się wiele tych znanych z historii Polski. Znajdziemy tam Zamoyskich, w tym Jana Tomasza, Jana *Sobiepana*, Dzieduszyckich i Tyszkiewiczów. Po I rozbiore Austriacy skonfiskowali starostwo tarnawackie. W wyniku zamian jego właścicielem stała się rodzina Dzieduszyckich, która na przełomie wieków XIX i XX sprzedała je Janowi i Elżbiecie z Krasieńskich Tyszkiewiczom.

Drugą część wsi osadził Marcinowski i jest ona obecnie zwana Wieprzowem Ordynackim. Pierwotnie nadał jej również nazwę Wieprzowe Jezioro. W 1578 roku wieś kupił kanclerz Jan Zamoyski i w 1589 włączył do Ordynacji Zamojskiej. Na przestrzeni wieków dobra ordynackie były przeważnie dzierżawione. W okresie międzywojennym folwark Wieprzowe-Dąbrowa posiadał ponad 680 ha i został sprzedany w roku 1936 przez ordynata Maurycego Zamoyskiego.

Od początku istnienia miejscowości, Wieprzów zamieszkiwali głównie Rusini. Istnienie pierwszej cerkwi datuje się na rok 1582. Według źródeł ostatnią cerkiew wybudowano w 1862 roku, a rozebrano w 1938 roku. Obok świątyni istniał cmentarz przykościelny, a nieliczne pozostałości nagrobków można znaleźć tam do dziś (obok nieużytkowanej już kaplicy katolickiej). W ewidencji zabytków Gminy Tarnawatka teren ten wpisano jako *pozostałości cmentarza przykościelnego* datowane na XIX wiek.

Bogata i dość skomplikowana historia Wieprzowa jest kolejnym przyczynkiem do rozpoczęcia podróży w tej właśnie miejscowości.

Zdając sobie jednak sprawę, że nie każdy jest pasjonatem historii, dodam również, że do tej wsi przyciągnęły mnie ciekawe krajobrazy i urozmaicona rzeźba terenu.



Wieprzowskie pola

Jak to na turystę-kolarza z ambicjami przystało, do Wieprzowa postanowiłem wjechać od najtrudniejszej strony, czyli od Tomaszowa Lubelskiego. Przez miejscowość Sabaudia aż do Górna trzeba pokonać spore wzniesie, które dla rowerzysty stanowi dosyć duże wyzwanie. W ostatnim roku w gminie Tomaszów Lubelski powstał odcinek ścieżki pieszo-rowerowej pozwalający na bezpieczną jazdę po dosyć ruchliwej drodze wojewódzkiej wiodącej do Łaszczowa i Tyszowiec. Dalej jest niestety trochę gorzej, ale zapewniam, że warto! Gmina Tarnawatka zaczyna się w okolicach Stacji Paliw „U Chłopa”. Zaraz za nią znajduje się mało widoczna trawiasta droga, na której zrobiłem sobie pierwszy przystanek. Nie tylko po to, żeby chwilę odpocząć po trudach podjazdu, ale także po to, żeby zachwycić się wspaniałym widokiem, który roztacza się z tego miejsca. Przede mną w dole rozciągnięty był Wieprzów. U podnóża góry znajdowała się Kolonia Wieprzów, ciągnąca się od drogi wojewódzkiej w kierunku zachodnim. W niektórych miejscach gospodarstwa położone w Wieprzowie przeplatają się z tymi położonymi ad-

ministracyjnie w Wieprzowym Jeziorze, w sąsiedniej gminie. Taki trochę galimatias. Jeszcze do niedawna niektórzy mieszkańcy gminy Tomaszów zameldowani byli w Tarnawatce, i na odwrót. W celu częściowego uporządkowania istniejącej sytuacji kilkanaście lat temu doszło nawet do korekty granic obu gmin.

Po prawej stronie drogi, trochę przesłonięty ścianą lasu położony jest przysiółek Dub. Na wprost, w dolinie pomiędzy dwoma wzgórzami leży Wieprzów Ordynacki, a na zachodzie - Tarnawacki. Widok na północy zamyka las potocznie nazywany podhuciańskim, choć oficjalnie Las Werechański.

Nie sposób także nie zauważyć najbardziej charakterystycznego obiektu, z którym Tarnawatka jest kojarzona, czyli wieży radiowo-telewizyjnej. Z tego miejsca wydaje się, że nadajnik położony jest w lesie, ale to tylko złudzenie. Las jest i owszem, ale po drugiej stronie drogi krajowej nr 17. Wprawne oko zapewne dojrzy także niektóre zabudowania Tarnawatki-Tartaku z nigdy nieużywanym kominem wybudowanym przez Zamojskie Fabryki Mebli.

Miejsce naprawdę ciekawe i warte poświęcenia mu kilku minut, żeby nacieszyć się pięknymi widokami, a przy okazji obejrzeć spory kawałek gminy Tarnawatka. Pora była jednak ruszać w dalszą drogę, tym bardziej, że teraz miało być już z górki.

W Wieprzowie skręciłem w pierwszą drogę w prawo, w kierunku wspomnianego wcześniej Duba. Nazwa wyraźnie wskazująca na jej ukraińskie pochodzenie (ukr. *dub*, pol. *dąb*) potwierdza tylko, że niegdyś tereny te zamieszkiwali Rusini, dziś zwani Ukraińcami. Wybrałem tę drogę, żeby skorzystać z trasy jakby stworzonej dla rowerów. Dostyc wąskiej, ale dobrej jakości i służącej jedynie niewielkiej liczbie mieszkańców, tak więc bardzo bezpiecznej, bo ruch samochodowy jest tutaj znikomy. Po minięciu lasu moim oczom ukazał się widok na wiatraki ustawione w pobliskiej gminie Tomaszów Lubelski. Sam przysiółek, zabudowany kilkoma domami, sprawia wrażenie prawdziwej oazy spokoju. Asfaltowa nawierzchnia kończy się przy skrzyżowaniu z gruntową drogą powiatową (!) łączącą Wieprzów z Przecinką. Sytuacja ta zmieni się jednak niebawem, ponieważ w najbliższym czasie trasa ta w całości zo-

stanie pokryta asfaltową nawierzchnią, dając kolejne możliwości ciekawych wypraw rowerowych. Następnym przykładem dziwnego przebiegu granic miejscowości są zabudowania leśniczówki Przecinka, które tak naprawdę leżą jeszcze na terenie gminy Tarnawatka w miejscowości Wieprzów. Ja jednak pojechałem, zgodnie z drogowskazem, w przeciwnym kierunku - do Tarnawatki-Tartaku, żeby przejechać przez sam Wieprzów.

Tuż za skrzyżowaniem mój wzrok przyciągnął napis widniejący na pierwszym gospodarstwie: *ULE*. W pierwszej chwili byłem trochę zaskoczony, ale moje rozterki natychmiast rozwiały nowiutkie pszczele domki, stojące w głębi podwórza. Oferta sprzedaży wydała mi się trochę niecodzienna, ale dosyć intrygująca. Jadąc przez wieś, natknąłem się na kolejną, równie ciekawą reklamę. Pokażnych rozmiarów pszczoła unosiła się nad beczką, na której widniał napis: *MIÓD*. Całość umieszczono na posesji zabudowanej nowym drewnianym domem, z którym tworzy harmonijną całość. Po drugiej stronie drogi kolejne ogłoszenie, tym razem: *OLEJARNIA WIEPRZÓW*. Moim pierwszym skojarzeniem było: kraina olejem i miodem płynąca. Nie zastanawiając się zbyt długo, zajechałem do olejarni w nadziei, że zastanę w niej gospodarzy. Szczęście mi sprzyjało, bo właściciela Mariusza Lizuta i jego żonę Elżbietę zastałem na miejscu. Gdzież indziej mogliby być, skoro szybkimi krokami zbliżał się okres największej sprzedaż oleju, czyli czas świąt Bożego Narodzenia. Przecież nie przez przypadek produkt ten określa się także olejem świątecznym. Poproszony o wyjaśnienie, skąd wziął się pomysł produkcji i sprzedaży oleju rzepakowego, pan Mariusz chętnie wyjaśnił, że fach przejął po swoim ojcu Edwardzie.

Ojciec sprzedając oleju zajął się na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Początkowo woził rzepak do olejarni GS w Zamościu i tam tłoczono z niego olej. Nie było to takie proste, bo trzeba było wystać swoje w długich kolejkach oczekujących, niekiedy nawet całą noc na mrozie. Następnie część oleju przelewało się do butelek, a część zabierało w konwiach od mleka i sprzedawało na targach. Jako dziesięcioletniego chłopca ojciec zostawił mnie kiedyś z towarem na rynku w Zamościu, a sam pojechał do Skierbieszowa. Wówczas tradycyjnie handlowało się tylko od 6 do 24 grudnia, a był rok 1982 i trwał stan wojenny. Podeszła do mnie milicja i zażądała dokumentów. Oczywiście żadnych nie po-

siadałem, dlatego zarekwirowano cały olej, a mnie zatrzymano. Po tym zdarzeniu ojciec wystarał się o zaświadczenie, na podstawie którego mogliśmy już legalnie handlować. Mieszkaliśmy w Majdanie Sielcu, więc dokument wydał Urząd Gminy Krynice.

Zaświadczenie datowane na 10 grudnia 1982 roku miałem okazję zobaczyć. Poświadczało ono fakt, że Obywatel Lizut Edward posiada olej wyprodukowany z rzepaku, który uprawia we własnym gospodarstwie rolnym. Znalazła się tam także nieśmiertelna formuła, mówiąca o tym, że zaświadczenie wydano na prośbę petenta celem przedłożenia odnośnym władzom. Wszystko zgodnie ze sztuką urzędniczą. Nawet wzmianka, że opłatę skarbową pobrano i skasowano na oryginale.

Po tym zdarzeniu z zatrzymaniem mnie ojciec zaczął rozglądać się za maszynami do tłoczenia oleju – ciągnął swoją opowieść pan Mariusz. Wreszcie udało mu się to i zakupił ręczne urządzenia, które wymagały wiele wysiłku. Pierwszą gminą, w której tłoczono olej, były Krynice. Dziś trzech największych olejarzy w naszym regionie wywodzi się właśnie stamtąd. Dodam też, że utrzymujemy stały kontakt i staramy się nie konkurować ze sobą.



Mariusz Lizut podczas prezentacji. fot. Olejarnia Wieprzów

Kiedy ożeniłem się i przeniósłem do Wieprzowa, zabrałem ze sobą bezprądowe maszyny do tłoczenia. Były mało wydajne, a wyprodukowany olej rozpro-

wadzałem głównie wśród rodziny i znajomych. Cały czas jednak myślałem o zakupie bardziej nowoczesnych maszyn. Pierwsze maszyny wykonałem sam, ale one nie spełniały moich oczekiwań. Dopiero w 2009 roku zakupiliśmy urządzenia od starszego pana, który jest prawdziwym pasjonatem olejarskiego rzemiosła. Pomimo tego, że ma 97 lat i mieszka w Chełmie, nadal mi pomaga. To on jest konstruktorem i producentem wszystkich maszyn funkcjonujących w okolicy. Dla niego największą satysfakcją jest to, że są one wykorzystywane, a ludzie przyjeżdżają i mogą je oglądać. W roku 1994 do mojej działalności dołączyła żona, jeżdżąc po różnych targach.

Nasze produkty sprzedaję już prawie od 30 lat. Zdarzało się tak, że jeździłam z malutką córką, bo nie miałam jej z kim zostawić. Dziś już ona, jako trzecie pokolenie, zaczyna swoją przygodę z handlem olejem. Mam stałych i wiernych klientów – mówi pani Elżbieta. Kiedyś zdarzyło się tak, że musiałam opuścić na chwilę stoisko i zastąpił mnie syn. Klienci nie chcieli jednak kupować od niego, tylko czekali na mnie. Teren, na którym działamy, to głównie Podkarpacie. Jeździmy do Lubaczowa, Jarosławia, Przemyśla, Przeworska, a nawet Rzeszowa. Większość jednak sprzedajemy w domu. Klientów mamy z całej Polski. Szczególnie latem, kiedy jest sezon turystyczny, na naszym podwórzu można zobaczyć wszystkie możliwe rejestracje. Z czasem nasz asortyment zaczął się powiększać. Obecnie robimy olej lniany, konopny, słonecznikowy, z czarnuszki, ostropestu, dyni i wiesiołka.

Kupujemy tylko nasiona od sprawdzonych, polskich producentów – dorzucił pan Mariusz. Mamy stałych dostawców, którzy nie stosują środków ochrony roślin.

Ludzie chcą kupować zdrową żywność, a my taką im oferujemy – mówi p. Elżbieta. Sprzedajemy także przetwory i przyprawy, bo rynek tego wymaga. Bardzo przykro jest mi słuchać, jak ludzie mówią, że przez pandemię potracili pracę lub możliwość zarobkowania. Na szczęście naszej branży to nie dotknęło, a wręcz przeciwnie, obserwujemy coraz większe zainteresowanie naszymi towarami. Największą promocję, i to na skalę całego kraju, zrobiła nam sprzedaż pamiątek. Od 2008 roku mamy sezonowy punkt w Sułcu na Szumach oraz drugi w Krasnobrodzie.

W ostatnim roku, z wiadomych względów, było mniej pokazów i wystaw. Kiedyś musieliśmy za takimi imprezami rozglądać się sami, a dziś jesteśmy zapraszani do Lublina i innych miejscowości w regionie. Pokazy organizowaliśmy

także u siebie, ale dziś nie jesteśmy w stanie spełnić wszystkich wymogów, dlatego ta część naszej działalności jest trochę zaniedbana. Nie mówimy jednak ostatniego słowa i cały czas myślimy, żeby w naszej olejarni organizować fachowe prezentacje tłoczenia – uzupełnia wypowiedź żony pan Mariusz. Do pokazów tradycyjnego tłoczenia potrzebne są piec, walce i prasa. Prasą na dyszle udaje się w trakcie takiego pokazu wytłoczyć 250 ml oleju.

Obydwoje z uśmiechem wspominali, jak podczas jednego z festywnów dzieci wprost wylizywały naczynia, w których wcześniej znajdował się świeżo tłoczony olej.

Pewnie można by było jeszcze długo rozmawiać o oleju i jego sprzedaży, ale musiałem jechać dalej.

Niedaleko gospodarstwa państwa Lizutów znajduje się kaplica będąca filią tomaszowskiej parafii katolickiej Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny. Historia tej świątyni sięga lat 90. XX wieku, kiedy to zrodził się pomysł budowy nowej kaplicy. Po objęciu parafii Zwiastowania NMP w Tomaszowie Lubelskim przez księdza Eugeniusza Derdziuka w roku 2005 prace nabrały szybszego tempa. Powołana została Rada Budowy Kościoła i rozpoczęto gromadzenie materiałów budowlanych. W 2007 roku Gmina Tarnawatka sprzedała parafii teren dawniej użytkowany przez szkołę o powierzchni ponad pół hektara za symboliczną kwotę 100 zł. W dniu 19 marca 2008 roku ówczesny biskup zamojsko-lubaczowski ksiądz Wacław Depo dokonał poświęcenia krzyża i placu pod budowę kościoła. Pod koniec października tego samego roku firma INSTALBUD z Lubyczy Królewskiej rozpoczęła prace budowlane. Kościół nieodpłatnie zaprojektował tomaszowski architekt Czesław Kostykiewicz. Świątynia powstała głównie dzięki hojności mieszkańców. Nowoczesny kościół urządzony został z wielkim smakiem, a jego uroczystego poświęcenia dokonał biskup Marian Rojek 2 września 2018 roku.

Tuż za kaplicą położone są zabudowania szkolne. Dziś już nieużytkowane, gdyż gmina zlikwidowała tę placówkę w roku 2012 ze względu na wciąż zmniejszającą się liczbę dzieci. Przez kilka lat szkołę prowadziło jeszcze miejscowe stowarzyszenie, ale w końcu i ono nie mogło poradzić sobie z malejącą liczbą uczniów i wzrastającymi kosztami utrzymania. Historia szkoły w Wieprzowie sięga pierwszych lat XX

wieku, kiedy to utworzono tutaj jednoklasową szkołę cerkiewną. W roku 1916 powstała jednoklasowa szkoła polska. W okresie międzywojennym placówka borykała się z problemami lokalowymi, korzystając ze starych zabudowań pocerkiewnych i izb wynajmowanych od gospodarzy. W latach 30. zdecydowano o budowie nowego budynku. Prace rozpoczęły się w roku 1935, a do wojny oddano tylko dwie klasy. W roku 1940 naukę przerwano, a obiekt zajęli Niemcy aż do czasu napaści na ZSRR w 1941 roku. Po ich odejściu jedną z sal zajęli Polacy, a drugą Ukraińcy. Stan taki trwał do roku 1943, kiedy to Ukraińców przesiedlono do powiatu biłgorajskiego. Ponowną działalność szkoła rozpoczęła w roku 1944, zaraz po przepędzeniu Niemców, a jej pierwszym kierownikiem został Mikołaj Iwasiówka.



Budynek szkolny w Wieprzowie

Dziś budynek sprawia smutne wrażenie. Niegdyś pełen życia i dziecięcego gwaru, teraz nieuchronnie zaczyna popadać w ruinę. Dały się zauważyć ślady mówiące o tym, że nie tylko czas i warunki atmosferyczne przyczyniają się do jego dewastacji, ale także zwykli chuligani

wybijają okna i wkradają się do opuszczonego obiektu, czyniąc w nim znaczne straty.

Pomiędzy budynkiem szkoły a kaplicą gruntowa droga delikatnie wznosiła się w kierunku Kolonii Wieprzów, niejako zapraszając do ruszenia w tamtym kierunku. Do przebycia był prawie kilometr po dość nieciekawej nawierzchni.

Moim celem był dom pani Danuty Radkowskiej, która od wielu lat zajmuje się hafciarstwem. Jak mi powiedziała, urodziła się w Wieprzowie i całe swoje życie związała z tą miejscowością. Mimo nie najmłodszego już wieku i nękających ją chorób wciąż jest pełna sił witalnych i z zapałem oddaje się swojej pasji - hafciarstwu oraz innym technikom, dzięki którym przy pomocy igły i nitki wyczarowuje prawdziwe cuda.



Danuta Radkowska

Pani Danuta Radkowska chętnie przystała na propozycję rozmowy na temat jej hobby. Jak sama przyznaje, hafciarstwem zaraziła się od swojej kuzynki na przełomie lat 80. i 90. ubiegłego wieku.

Przeszłam właśnie na rentę – wspomina – i odwiedzivszy swoją krewną, zobaczyłam, jak ona wyszywa serwetki. Spodobało mi się to i postanowiłam sama spróbować. Na początku nie wiedziałam, jak należy to robić, od czego zacząć. W gazecie znalazłam wzór i na jego podstawie zrobiłam swoją pierwszą serwetkę. Mam ją zresztą do dziś. Zaraz po tym wzięłam się za obrus i ta praca zajęła mi całą zimę. Dziś już go nie używam, bo po prostu nie mam stołu, na który mógłby pasować – z uśmiechem dodała rozmówczyni. Moją ulubioną techniką i najbardziej efektowną jest haft Richelieu. Wyszywanie to moja pasja, której poświęcam się głównie w porze zimowej, kiedy jest mniej pracy koło domu. Choć zdarza się i latem przysiąść nad jakąś robótką. Mamy jeszcze razem z mężem ogród warzywny i kwiatowy, a po podwórzu biega stadko kur, które także wymagają trochę czasu, a do najmłodszych już nie należymy.

Ilość prac, która znajduje się w domu pani Radkowskiej, jest naprawdę imponująca. Wszystkie serwetki, obrusy, stroiki znajdują się w tak idealnym stanie, że trudno się domyślić, że niektóre z nich mają już 30 lat.



Choinka ozdobiona rękodziełem Danuty Radkowskiej

Zdarza mi się, że swoje rękodzieła wystawiam na festynach i dożynkach organizowanych na terenie gminy Tarnawatka. Brałam też, z powodzeniem, udział w kilku konkursach na ozdoby świąteczne. Powiem też, że na choinkę zawieszam wyłącznie wykonane własnoręcznie ozdoby. Zrobiłam też sporo robótek do kościołów, które zdobiły tabernakulum czy świece paschalne. Nigdy jednak niczego nie sprzedawałam. Rozdałam za to bardzo wiele. Mogę się pochw-

lić, że wykonane przeze mnie obrusy i serwetki można znaleźć w Ameryce, Francji i wielu miejscach Polski – z prawdziwą satysfakcją kwituje swoje dokonania pani Danuta. W tym miejscu muszę dodać, że ja także zostałem obdarowany kilkoma cudeńkami będącymi wytworem rąk artystki.

Zapytana o kolejne etapy powstawania tych prawdziwych arcydzieł, pokazuje swój zbiór fachowych gazet, w których zamieszczone są przeróżne wzory i techniki wyszywania. Trochę narzekając na fakt zaprzestania wydawania tego typu wydawnictw, wyjaśnia:

Wszystko zaczyna się od wzoru, który należy przez kalkę odrysować na płótnie. Ja używam tylko płótna lnianego. Następnie przystępuje się do wyszywania. Kolejny etap to pranie i wycięcie niepotrzebnych części materiału. Wycinanie jest tutaj najtrudniejsze. Trzeba bardzo uważać, żeby nie uszkodzić haftu, który potem bardzo trudno naprawić. Należy także mieć na wyposażeniu odpowiednie nożyczki. Ja mam takich kilka sztuk od specjalnych, przeznaczonych do tego celu, poprzez te do paznokci, aż po dentystyczne (śmiech). Potem następuje powtórne pranie i krochmalenie. Zwykle używam tradycyjnego krochmalu, gotowanego z mąki ziemniaczanej. Większość serwetek wożę do Tomaszowa do magła, bo uważam, że takie prasowanie jest o wiele lepsze i trwalsze od tego wykonywanego zwykłym żelazkiem.

Dla pani Danuty Radkowskiej ważne jest nie tylko wyszywanie. Wciąż troszczy się o swoją rodzinę i sprawy społeczne. Nieprzerwanie, od roku 1963, jest aktywną członkinią KGW w Wieprzowie, z którym – jak mówi – wiążą ją bardzo silne więzi. Jest obecna na większości zebrań wiejskich, gdzie porusza szereg ważnych spraw. Od lat zabiega o poprawę bezpieczeństwa na drodze wojewódzkiej biegnącej przez jej rodzinną miejscowość. Teraz stara się o urządzenie drogi z Kolonii do kościoła, którą sam miałem wątpliwą przyjemność przed chwilą się przejechać.

Poczęstowany ciepłą herbatką i pysznymi ciasteczkami, ruszyłem w dalszą podróż w kierunku zachodnim. Po prawej stronie bardzo zachęcająco wyglądały zabudowania dawnego folwarku Wieprzów, po wojnie zamienionego w Spółdzielnię Produkcyjną. Odstraszyła mnie jednak tablica z zakazem wjazdu i ostrzeżenie, że teren jest własnością

prywatną. Nie bez znaczenia był też fakt, że znalazłem się już na terenie Wieprzowego Jeziora.

Moim celem był wszakże dawny gościniec - trakt królewski łączący Warszawę ze Lwowem. Przed wybudowaniem w 1. połowie XIX wieku obecnej drogi właśnie tędy odbywał się cały ruch pomiędzy tymi miastami. Można sobie tylko wyobrażać, jak niegdyś wyglądała ta trasa i kto nią jeździł. Gdyby tak cofnąć się w czasie, to pewnie niejednego króla dałoby się tutaj spotkać, a z pewnością przejeżdżało tędy wiele osób znanych z kart podręczników szkolnych. Jakie historie się tutaj wydarzyły? Może miały tu miejsce akty grabieży i napaści godne scenariusza filmowego?

Dziś droga ta zachęcająco jednak nie wygląda. Rozjeżdżona, miejscami błotnista stanowi głównie dojazd do pól i łąk oraz kilku, przeważnie już opuszczonych, gospodarstw. Komu jednak fantazji nie brakuje, to może z niej skorzystać i porozmyślać o dawnych czasach.

Tymczasem trakt wyprowadził mnie do boiska w Wieprzowie, na którym swoje mecze rozgrywa Gminny Klub Sportowy Tarnawatka. Dzięki zapałowi kilku działaczy ten typowo amatorski klub daje możliwość uprawiania sportu młodym ludziom z terenu gminy i nie tylko. Samo boisko leży w bezpośredniej bliskości źródeł Wieprza i dawnego jeziora. Żeby bliżej przyjrzeć się temu miejscu, musiałem znowu pojechać w kierunku centrum wsi. Po mojej prawej stronie widać było głównie krzaki i trzciny gęsto porastające dawny zbiornik wodny. Jednak tuż za nim, na niewielkim wzgórku, ukazał się budynek dawnej kaplicy, dziś nieużytkowanej, bo zastąpionej nowoczesnym obiektem. W miejscu tym znajdowały się kiedyś cerkiew i cmentarz, o którym wspominałem na początku.





Pomnik wieprza

Położonymi tuż obok schodkami zszedłem do, chyba jednej z największych, atrakcji Wieprzowa – pomnika wieprza. Miejsce to urządzone kilkanaście lat temu, a nietypowy pomnik znalazł się tutaj jako pamiątka legendy o powstaniu rzeki Wieprz. Zgodnie z podaniem wieprz miał w tym miejscu ryć ziemię. Rył tak głęboko, że dokopał się do obfitego źródła. Bardzo szybko powstało jezioro, które dało początek rzece. Całą historię opisano na tablicy informacyjnej postawionej tuż obok. W ostatnich latach wybudowano tutaj także siłownię na świeżym powietrzu. Zresztą cały teren sprzyja różnym aktywnościom. W pobliżu znajduje się świetlica wiejska z remizą strażacką. Na placu obok ustawiono wiatę, która wykorzystywana jest podczas imprez i uroczystości. W dawnej zlewni mleka swoją siedzibę urządziło bardzo aktywne Koło

Gospodyń Wiejskich. Do zagospodarowania jest także budynek dawnego sklepu. Kiedy przejeżdżałem obok tych budynków, wyraźnie poczułem, że jestem obserwowany. Szpiegami okazały się trzy urodziwe kaczki, które niestety za chwilę straciły zainteresowanie moją osobą i zajęły się swoimi kaczymi sprawami.

Największą imprezą, organizowaną na terenie wsi, są Dni Wieprza, które na dobre zagościły w kalendarzu imprez kulturalnych gminy. Festyn odbywa się co roku w połowie sierpnia i przyciąga naprawdę dużo widzów. Bardzo charakterystyczne dla Wieprzowa jest to, że organizacją imprezy zajmują się sami mieszkańcy wsi, starając się o sponsorów i z ogromnym wysiłkiem przygotowując wszystkie jej szczegóły. Podczas Dni Wieprza nie tylko występują popularne zespoły, zawsze znajdzie się też miejsce dla twórców ludowych i przedstawicieli ginących zawodów. Swoje wystawy i prezentacje mieli tutaj także odwiedzeni przeze mnie: pani Danuta Radkowska oraz Elżbieta i Mariusz Lizutowie.



Wieprzowskie kaczki

Będąc w tym miejscu, warto dodać, że powracający od lat temat odnowienia zbiornika wodnego w Wieprzowie ma poważne szanse na zrealizowanie. Gmina Tarnawatka znalazła możliwości sfinansowania

znacznej części przedsięwzięcia. Jeżeli plany się powiodą, to już za kilka lat znów będzie można zobaczyć Wieprzowe Jezioro i śmiało powiedzieć, że właśnie stąd Wieprz wypływa. I tylko nadal nierozstrzygnięty pozostanie spór, czy źródła Wieprza znajdują się w gminie Tarnawatka, czy w gminie Tomaszów?

Powoli czas było opuszczać Wieprzów, ale przede mną znajdowało się jeszcze jedno miejsce, które koniecznie chciałem odwiedzić, a jest to nieczynny już dziś cmentarz. Położony jest tuż za wsią, na wzgórzu, przy szosie łączącej Wieprzów z Tarnawatką-Tartakiem. Podobnie jak poprzedni cmentarz ten również został ujęty w gminnej ewidencji zabytków i figuruje tam jako *cmentarz prawosławny* z XIX wieku. Przeczytałem kiedyś w jednym z portali internetowych o wydarzeniach, które miały miejsce na tej właśnie drodze. Cały artykuł dotyczył dziwnych zjawisk, dziejących się na dawnych polach bitew, w tym pojawiających się tam duchów. Opowiadał, pewien pragnący zachować anonimowość, mieszkaniec Lublina, że jadąc do Wieprzowego Jeziora, około godziny 21, tuż przy cmentarzu zauważył idącą poboczem grupę 4, może 5 żołnierzy. Gdy podjechał bliżej, spostrzegł, że wyglądają jakoś dziwnie, mieli mundury z II wojny światowej i byli jakby... przykurzeni. Tak, jakby wracali właśnie z bitwy. Krzyknął do żony, żeby jej pokazać idące postacie i w tym momencie wszystko znikło. Do dziś nie wiem, co o tym myśleć – skończył swoją wypowiedź internauta. Ta dosyć ciekawa historia wprowadziła mnie w świat wieprzowskiego cmentarza. Sam teren od kilkunastu lat należy do prawosławnej parafii z Tomaszowa Lubelskiego, która własność nabyła na mocy decyzji Komisji Majątkowej w Warszawie zajmującej się zwrotami majątków kościelnych.

I chociaż może całe otoczenie niezbyt zachęca do zatrzymania się tu, ja szczerze polecam odwiedziny tego miejsca. Stare drzewa, głównie lipy z obwisłymi aż do samej ziemi gałęziami, zarośnięty rów przydrożny czy brak wyraźnego wejścia powodują, że bardzo łatwo je przeoczyć. Cmentarz nie ma typowego ogrodzenia, ale myliłby się ktoś, myśląc, że takowe nie istnieje. Tworzy je dostojny szereg drzew, po przekroczeniu którego nie ma się żadnych wątpliwości, że oto wkroczyło się w miejsce ostatecznego spoczynku wielu osób. Prawdziwy mur oddzielający świat

żywych od świata umarłych. Cała roślinność zdawała się dodawać powagi i dostojności. Po ziemi gęsto płożył się barwinek tworzący coś na kształt całunu okrywającego ciszą i spokojem doczesne szczątki ludzkie, które właśnie tutaj zostały złożone już na zawsze. Przez gęste gałęzie, od czasu do czasu, przebijały promienie słoneczne, rzucając jasne refleksy na pogrążone w zadumie kamienne nagrobki.



Cmentarz prawosławny w Wieprzowie

O dziwo, nie wszystkie groby zostały zapomniane. Wyraźnie widać było, że ludzie tutaj zagląдают i pamiętają o swoich bliskich. Kilka mogił, na których stawiano kwiaty i palono znicze, było zadbanych. Napisy nagrobne wskazywały na to, że pochowano tutaj osoby nie tylko

wyznania prawosławnego czy unickiego, ale także rzymskokatolickiego. Jako pierwszy w oczy rzucił mi się bardzo ładnie odnowiony pomnik, na którym cyrylicą napisano, że pochowany tutaj mężczyzna zmarł w wieku 35 lat, a miało to miejsce w roku 1907. Patrząc na odmalowany postument, pomyślałem sobie, że dobrze, iż nie przyszedłem tutaj nocą, bo jego biała bryła musiałaby mi się skojarzyć z jakąś nadnaturalną postacią, błakającą się między grobami. Nie mniej wymownie wyglądały stare krzyże, które czas pozbawił ramion, tworząc z nich zmierzające do upadku kikuty symbolizujące nieuchronne przemijanie.

Podobne wrażenie sprawiał jeden z wykonanych z piaskowca nagrobków, który złamane drzewo rozbiło na kilka części, przygniatając go swoim ciężarem do ziemi. I nie znajdzie się już żadna siła, która będzie w stanie podnieść go i przywrócić do dawnej świetności. To, co przeczytałem i zobaczyłem na niektórych grobach, wzbudziło we mnie zwykłą, ludzką ciekawość. Z jakiego powodu na metalowym krzyżu z tabliczką w języku ukraińskim, upamiętniającą tragicznie zmarłego w 1942 roku mężczyznę, znajduje się biało-czerwona chorągiewka? Jakies głębsze przesłanie, przypadek? Jakie wydarzenia doprowadziły do tego, że 22 maja 1922 roku zmarł 38-letni Paweł, 24 maja 31-letnia Helena, a 2 sierpnia tego samego roku 4-letnia Antonia? Jedno nazwisko i jedno miejsce pochówku wskazywały, że musieli to być rodzice i ich dziecko; co się stało? Stan grobu sugerował, że żyją osoby, które mogą znać odpowiedź na te pytania. Może komuś uda się na nie odpowiedzieć.

W takim trochę nostalgicznym nastroju opuszczałem Wieprzów, kierując się do następnego celu mojej podróży.



Podhucie

Do tej wsi postanowiłem wjechać od strony drogi powiatowej łączącej Tarnawatkę-Tartak z Wieprzowem. Jeszcze do niedawna, żeby przebyć tę trasę, należało wyposażyć się w dobrej jakości rower górski, bo piach, a miejscami także potężne błoto, czyniły ją niedostępną dla zwykłych rowerów. Teraz jechałem nowiutkim asfaltem, wprost wymarzoną dla cyklisty. Droga niezbyt szeroka, ale ruch na niej niewielki, więc tylko kręcić i zachwycać się otaczającą przyrodą. Tym bardziej, że dookoła przepiękny las. Najczęściej określany jest mianem Werechański, ale wiele osób posługuje się też nazwą potoczną - podhuciański. Szczególnie warto odwiedzić go jesienią, żeby zachwycić się kolorami rosnących tu buków. Las ten cieszy się też szczególną popularnością u grzybiarzy. Prawdziwki, podgrzybki i przede wszystkim opieńki występują tutaj w olbrzymich ilościach. Jesień w podhuciańskim lesie może też zaoferować jeszcze jeden, trochę już zapomniany rarytas, a mianowicie orzechy buka. Bukiew, bo tak fachowo się je określa, są jadalne zarówno dla ludzi, jak i dla zwierząt. Szczególnie lubią je dziki, kiedyś zbierano je także jako paszę dla świń. W niejednym z opowiadań z czasów II wojny światowej słyszałem też, że orzeszki te mielono i przyrządzano z nich napój mający stanowić namiastkę kawy.

Tymczasem droga prowadziła lekko w górę, dla urozmaicenia oferując kilka dosyć ostrych zakrętów. Przed jednym z nich, po lewej stronie znajdował się cmentarz wojenny. Miejsce było zadbane i uporządkowane, otoczone drewnianym ogrodzeniem. Opiekują się nim mieszkańcy wsi Podhucie oraz dzieci ze szkoły w pobliskiej Hucie Tarnawackiej. Corocznie, w czerwcu odprawiana jest tutaj msza za dusze pochowanych w tym miejscu żołnierzy i partyzantów. Na jednej z mogił ustawiono metalowy krzyż z tabliczką, z której można się dowiedzieć, że 26 maja

1947 odbyła się uroczystość poświęcenia tutejszego cmentarza. 24 lipca 2006 roku, dla upamiętnienia tamtych wydarzeń, postawiono nowy krzyż. Pierwsze pochówki miały tu miejsce we wrześniu 1939 roku, a później grzebano tutaj także partyzantów, dla których ten kompleks leśny stanowił miejsce stacjonowania.

W niedalekiej odległości od cmentarza pojawiły się pierwsze zabudowania wsi Podhucie. Nazwa tej miejscowości, czego nietrudno się domyślić, pochodzi od pobliskiej Huty Tarnawackiej. Bardziej interesująca jest za to nazwa, która funkcjonowała kiedyś, a dziś jeszcze można ją spotkać w starych dokumentach. Chodzi o Hatyczyska, bo mówiono także: Hatczyska-Podhucie. Na terenie gminy Tarnawatka nazwa *Hatczyska* występowała na terenie wielu obecnych miejscowości. I tak mianem tym określano część Tymina, Paucznego czy rzeczzonego już Podhucia. Miały to być kolonie jednej wsi, z których potem wyodrębniły się samodzielne jednostki osadnicze. Jak można wyczytać w fachowych książkach, nazwa *Hatczyska* pochodzi od ukraińskiego słowa *hatka*, które oznacza gać, mały płot.

Miejscowość Podhucie to jedna z najmniejszych wsi gminy Tarnawatka, gdyż zamieszkuje ją tylko około 80 osób. Charakterystyczne dla niej jest to, że gospodarstwa położone są tylko po jednej stronie drogi, gdyż po drugiej znajduje się wyłącznie las i to na całej długości. A tej długości trochę jest, bo choć miejscowość niezbyt zaludniona, ale za to rozciągnięta na ponad 2 kilometry. Wydaje się być wymarzoną miejscem na odpoczynek dla zabieganych mieszczuchów. Las dający ukojenie myśli i nerwów rządzi tutaj niepodzielnie. Zimą łagodzi mróz i wiatr, a latem potrafi schłodzić nawet najbardziej upalny dzień.

Pierwsze zabudowanie, choć formalnie położone jest jeszcze na terenie Wieprzowa, stanowiło kiedyś gajówkę Podhucie. Patrząc na całe obejście, odniosłem takie wrażenie, jakbym przeniósł się w czasie gdzieś w lata 50. lub 60. Jadąc przez wieś, mijałem nowe i zadbane domy, a także takie opuszczone i powoli popadające w ruinę. Same kontrasty, a gdzieś pośrodku nich nowoczesny plac zabaw i altana, w której można usiąść, żeby chwilę odpocząć.



Figura na rozstaju dróg w Podhuciu

Charakterystyczna dla Podhucia jest nie tylko zabudowa, ale także skrzyżowanie drogi biegnącej przez wieś z tą prowadzącą od drogi wojewódzkiej do Tymina. Na jego środku znajduje się figura, jak najczęściej określa się przydrożne kapliczki. Obsadzono ją czterema okazałymi drzewami, a przed nią ustawiono ławeczkę, na której wiosenną porą spotykają się mieszkańcy, żeby odprawić tradycyjne nabożeństwa majowe. W pobliżu znajduje się także tablica ogłoszeń oraz zatoka przystankowa, chociaż autobusy tutaj nie dojeżdżają. Pewnie nie tylko ja odniosłem wrażenie, że znalazłem się w centrum wsi. Dojechałem jeszcze do końca wschodniej części miejscowości, gdzie swoją siedzibę wybudowali myśliwi z koła łowieckiego gospodarującego na tym terenie.

Miejsce jak najbardziej odpowiednie, bo tutejsze lasy i pola są bardzo bogate w różnorodną zwierzynę. Sarny, jelenie, dziki, a nawet łosie mają tutaj doskonałe warunki do życia.



Malownicze pola w Podhuciu

Wróciwszy do rozstaju dróg, pojechałem w kierunku pobliskiego Tymina. Zatrzymałem się jeszcze przy koniach, które pasły się na dużym wybiegu położonym tuż przy drodze. Kilka lat temu delegacja Podhucia wywoływała niemałą sensację, przywożąc obszerną furmanką tradycyjny wieniec na dożynki gminno-parafialne w Tarnawatce, a nawet diecezjalne w Krasnobrodzie. Za wybiegiem dla koni minąłem kopiec ziemny kryjący w sobie urządzenia do zaopatrywania mieszkańców w wodę. Pomimo tego, że pociągał mnie już karkołomny zjazd w dół, prowadzący do następnej miejscowości, musiałem zatrzymać się tuż przed nim. Widoki, które tam się rozpościerają, nigdy mi się nie znudzą. Zachęcam także wszystkich, żeby zaglądali tutaj jak najczęściej i mogli cieszyć się pięknem otaczającego świata. W kierunku wschodnim, pomiędzy zalesionymi wzgórzami widać było Łaszczów. Zabudowania tego miasta

dostrzegalem bardzo wyraźnie. Otaczały je wysokie maszty wiatraków produkujących prąd. Na przeciwległym wzgórzu miałem przed sobą Kolonię Tymin, a w dole samą miejscowość Tymin. Przestrzeń otaczająca człowieka stojącego w tym miejscu potrafi wywołać nieoczekiwane emocje. Gdyby tak udało się zamienić rower na skrzydła, unieść się jeszcze wyżej i spojrzeć na okolice z lotu ptaka... Przelecieć nad Tyminem i wylądować aż gdzieś w Falkowie, a może pofrunąć nawet do Lasu Sieleckiego? Była jednak najwyższa pora, żeby zejść na ziemię i - opuszczając Podhucie stromym zjazdem - udać się do następnej miejscowości.

Tymin

Po wielkiej przyjemności, jaką był ostatni odcinek jazdy z Podhucia, dotarłem do Tymina. Przy okazji ostrzegam przed nadmiernym szarżowaniem na tym odcinku, bo osiągnięte prędkości mogą w pewnym momencie doprowadzić do tego, że nie zdążymy wyhamować przed skrzyżowaniem z dość ruchliwą drogą powiatową Tarnawatka - Werechanie.

Często zastanawiałem się, skąd wzięły się niektóre nazwy miejscowości. O ile etymologia niektórych z nich (np. Dąbrowa) nie pozostawiała żadnych wątpliwości, o tyle pochodzenie innych stanowiło dla mnie prawdziwą zagadkę. Nie poświęcałem temu zagadnieniu zbyt wiele uwagi, choć wiedziałem, że muszą istnieć opracowania naukowe, które pomogłyby mi rozwiązać moje dylematy. Tak było aż do momentu, w którym, zupełnie przez przypadek, otrzymałem książkę Mariusza Kopra pt. *Powiat tomaszowski w pejzażu toponimicznym pogranicza polsko-ukraińskiego*. Mogę powiedzieć z całą odpowiedzialnością, że po jej przeczytaniu otworzyły mi się oczy nie tylko na same nazwy miejscowości, ale także na fakt, że na naszym terenie przez wiele wieków współistniały dwie kultury, narodowości - polska i rusińska (ukraińska). Nie było to żadne novum, o którym do tej pory bym nie słyszał, tylko w życiu codziennym często nie przykłada się dużego znaczenia do historii czy śla-

dów dawnych dziejów, obecnych w naszej rzeczywistości do dziś. Jedną z takich pozostałości jest właśnie nazwa wsi Tymin, która wywodzi się od ukraińskiego imienia Tyma, Tymofiej, czyli odpowiednika tak popularnego dzisiaj polskiego imienia Tymoteusz.



Tymińskie pagórki

Wracając jednak do podróży, to przyznam, że jednym z moich celów była Górna Kolonia w Tyminie. Postanowiłem jednak, że nie dotrę do niej drogą, którą wiedzie najdogodniejszy dojazd, i to nie dlatego, że jest on stromy i wymagający dużo wysiłku, ale dlatego, że chciałem przejechać przez całą wieś, a sam przysiółek zostawić sobie niejako na deser.

Zaraz na początku wsi Tymin, po prawej stronie drogi widać dobrze dziś utrzymane miejsce pamięci. W roku 2016 mieszkańcy Tymina sami zgłosili potrzebę renowacji pomnika pomordowanych Żydów. Według relacji świadków w roku 1942 hitlerowcy zamordowali żydowską rodzinę mieszkającą w Tyminie. Przez lata pomnik w postaci pamiątko-

wego kamienia z okolicznościowym napisem nie był remontowany, a upływ czasu robił swoje. Stał się mniej widoczny pośród okalających go drzew, a litery stały się nieczytelne. Całość wyglądała na nieco zaniebana i opuszczoną. Jednak mieszkańcy postanowili wziąć sprawę w swoje ręce i remont przeprowadzić z pieniędzy Funduszu Sołeckiego. Okazuje się jednak, że czas nie zatarł tego, co najważniejsze – pamięci ludzi o ich sąsiadach, których spotkał tragiczny los. Dzięki lokalnej inicjatywie udało się usunąć stare topole i uporządkować teren wokół obelisku. Mieszkańcy sami zakupili i ustawili ogrodzenie, a także wyłożyli kostką brukową teren wokół kamienia, na którym zamontowali także tablicę ze stosownym napisem. Dziś można już z czystym sumieniem powiedzieć, że pomnik godnie upamiętnia miejsce tragicznej śmierci Żydów mieszkających niegdyś w Tyminie. To bardzo budujący przykład tego, że pomimo upływu blisko osiemdziesięciu lat pamięć o dawnych sąsiadach nie wygasła. Byli ludźmi innej wiary, innej kultury, ale urodzili się i mieszkali na tej samej ziemi. W dzisiejszym świecie, w którym coraz mniej jest tolerancji i zrozumienia dla innych ludzi, taka inicjatywa jest szczególnie cenna.

Wieś Tymin położona jest wzdłuż drogi, w dolinie pomiędzy dwoma wzgórzami. Dolina ta rozszerza się w kierunku wschodnim. Przejeżdżając przez miejscowość, można dostrzec, że domy znajdujące się po południowej stronie usytuowane są na górze, a te ze strony północnej na terenie bardziej płaskim. Naprawdę ciekawie zaczyna to wyglądać pod koniec wsi, kiedy jej lewostronna zabudowa wydaje się uciekać pod las, który gęsto porasta okoliczne wzniesienia. Zmęczony kolarz może także chwilę odpocząć przy nowej świetlicy z placem zabaw dla dzieci; tak zagospodarowaną przestrzeń dzisiaj spotyka się już praktycznie w każdej wsi. Ja pozwoliłem sobie zajrzeć także na tyły tego obiektu, bo tam mieszkańcy urządzili sobie miejsce wypoczynku, wykorzystując do tego zbocze góry o dosyć stromej ścianie.

Kiedy zbliżałem się już do końca wsi i przyglądałem się wspomnianym wcześniej zabudowaniom oddalonym od drogi i położonym tuż przy bukowym lesie, widok ten skojarzył mi się z tym widzianym w okolicach Kazimierza Dolnego czy Wąwolnicy.



Droga przez Tymin

Była piękna słoneczna jesień, a buki, mieniać się różnymi odcieniami czerwieni, tylko przydawały uroku całemu krajobrazowi. Tuż przed tablicą Werechanie, obok przystanku skręciłem w lewo, w polną drogę wiodącą do lasu. Miałem także okazję zobaczyć, jak żyją ludzie tak trochę daleko od szosy. Gdyby nie ten piach, miejscami już zamieniający się w błoto, to mógłbym powiedzieć, że całkiem wygodnie. Poprzestanę jednak na stwierdzeniu, że na pewno spokojnie.

Po cóż jednak zapędziłem się w tak odległy zakątek gminy Tarnawatka? A po to, żeby przejechać się niezwyklej urody wąwozem lessowym. Prawda jest taka, że miejsce to leży już na gruntach gminy Rachanie, jednak można tamtędy dotrzeć do Górnej Kolonii w Tyminie. Używam stwierdzenia *dotrzeć*, bo z jazdą bywają pewne kłopoty, ale zapewniam, że warto! Dobrze jest, tak po prostu, zsiąść z roweru i przejść się chwilę po lesie, a przy okazji popatrzeć na to, co zaoferowała nam natura.



Wąwóz lessowy

Wąwóz wiedzie przez las, w przeważającej mierze bukowy, w którym występują także inne gatunki drzew liściastych i iglastych. Myślę, że każda pora roku ma tutaj swój urok. Mnie jednak najbardziej podoba się

jesień, która pozwala zachwycać się całą paletą barw szykujących się do zimy drzew. Gruntowa droga służy nie tylko leśnikom i rolnikom czy miłośnikom przyrody. Stanowi ona także miejsce, przez które spływają wody opadowe. O tym, że tak właśnie jest, świadczyły głębokie wyżłobienia powstałe w podłożu po ostatnich deszczach. Niektóre były tak głębokie, że trudno było dostrzec, gdzie mają swój koniec. Ściany wąwozu nie były porośnięte roślinnością, dzięki czemu mogłem przyjrzeć się odkrytym warstwom gleby. Gdzieś tam przebiły się przez nie korzenie rosnących w pobliżu drzew. W połączeniu z refleksami słońca przeświecającymi przez gałęzie całość stwarzała scenę prawdziwego widowiska, które koniecznie trzeba zobaczyć. Koniec lasu stanowił także koniec wąwozu. Tuż przy linii drzew wiodła mało uczęszczana i słabo widoczna droga w kierunku zachodnim, wzdłuż północnej ściany lasu. Tu znowu pojawiły się kłopoty z jazdą, bo ostatnie deszcze spowodowały, że droga zamieniła się w grzęzawisko. Na jej stan znaczny wpływ miały także niedawno wykonywane prace polowe. Trochę polem, trochę lasem, nieźle ubłocony, dotarłem jednak do lepszego odcinka trasy, który zaraz wyprowadził mnie na asfaltową jezdnię. Byłem w Górnej Kolonii w Tyminie. Niegdyś miejsce to tętniło życiem. Mieszkało tutaj, w prawdziwych górach, sporo ludzi. Z czasem jednak zaczęli się przeprowadzać na dół, bo stamtąd bliżej i wygodniej dojechać. Dzisiaj zamieszkiwane są tylko 3 czy 4 domy, a miejsce jest naprawdę urokliwe, z widokami zapierającymi dech w piersiach. Teraz nie ma już problemu z dotarciem tutaj, bo droga porządna i dobrze utrzymana. Niektórzy z dawnych mieszkańców do dziś wspominają, jakie tam były piękne sady, a jabłka najlepsze w okolicy. Zresztą pozostałości tych sadów były jeszcze widoczne, a trochę zdziczałe drzewa nadal rodzą owoce. Nie omieszkałem przekonać się o tym osobiście, bacznie rozglądając się dookoła, żeby nie być przyłapanym na tym niecnym uczynku. Przypomniała mi się była już mieszkanka Kolonii, która wspominając to miejsce, z nostalgią używała określenia *tamten świat*. Nie wiem, jak kiedyś wyglądało tutaj życie, ale zdaje się, że część tamtego świata nadal istnieje, trzeba tylko chwilę zwolnić, przystanąć, pomyśleć, a on zjawi się bardzo szybko.



Pejzaż zimowy

Za każdym razem, kiedy obserwuję eksponowane na południe strome zbocza Kolonii, zawsze zastanawiam się, czy nie byłby to dobry teren pod uprawę winorośli. I nawet widzę te winnice z równymi rzędami roślin, pomiędzy którymi uwijają się zbieracze dojrzałych gron, zwożący je potem do swoich gospodarstw i przerabiający je na doskonałe trunki...

Zauważyłem też, że jeden z pozostałych po dawnym siedlisku budynków gospodarczych przechodzi gruntowny remont. Wszystko wska-

zuje na to, że ktoś szykuje sobie domek letniskowy. Może to pierwsza jaskółka powrotu ludzi w to ciche i spokojne miejsce?

Jadąc przez wieś, widziałem pozostałości dawnych gospodarstw, które robiły wrażenie trochę przygnębiające. Z drugiej jednak strony można powiedzieć, że nie ma nic stałego i wszystko się zmienia, a przyroda ma swoje prawa i cały czas upomina się o to, co zostało jej odebrane.

Wreszcie droga odkryła przede mną strome urwisko, którego brzeg porastał żółto zabarwiony las brzoźowy. Otworzył się także widok na Podhucie, które odwiedziłem niedawno. Ta sama przestrzeń przede mną, tylko tym razem widziana z drugiej strony. Spadek terenu, jaki tutaj występuje, jest imponujący, oczywiście jak na nasze roztoczańskie warunki.



Drewniany dom w Górnej Kolonii

Pomyślałem: ciekawe, czy zimą dałoby się tędy śmignąć w dół na sankach lub nartach? Bo pokusa była naprawdę wielka. Zaraz za ostatnim drewnianym domkiem, też jakby wyrwanym z innego czasu i świata, droga zaczynała gwałtownie opadać w dół. Nie było nawet chwili, żeby rozejrzeć się na boki, bo trzeba było uważać, żeby bezpiecznie zjechać. I tym sposobem, zataczając spore koło, dotarłem do skrzyżowania, w którym rozpoczęła się moja podróż przez Tymin. Skręciwszy w prawo na zachód, pojechałem do następnej miejscowości, która czekała na mnie już za najbliższym zakrętem drogi.

Huta Tarnawacka

W dostępnych źródłach historycznych pierwsze wzmianki o tej miejscowości pojawiają się w roku 1765, kiedy to wymienia się ją w składzie starostwa tarnawackiego, które już wtedy stanowiło wieczystą dzierżawę Zamoyskich. Po pierwszym zaborze Polski w roku 1772 starostwo tarnawackie zostało skonfiskowane i weszło w skład dóbr skarbowych. Później wieś podzieliła losy innych miejscowości i stała się przedmiotem zamiany pomiędzy rządem austriackim a hrabią Tadeuszem Dzieduszyckim.

Do tej pory można usłyszeć, że zamiast Huta Tarnawacka używa się określenia Huta Szklana. W miejscowej tradycji zachowana została bowiem pamięć o hucie szkła, która miała zostać wybudowana na tym terenie w 2. połowie XVIII wieku przez Sebastiana Altmana. Zakład został zlokalizowany pośrodku lasu, z którego wykorzystywano drewno potrzebne przy produkcji szkła. Przy hucie funkcjonowały także kuźnia i maziarnia. Jednak już w roku 1791 huta spłonęła i nigdy jej nie odbudowano. W zbiorach miejscowej szkoły znajdują się kawałki stopionego szkła stanowiące pozostałości po niegdyśszej fabryce.

Wartą przytoczenia jest też historia, która miała miejsce w tej wsi na początku XX wieku. We wsi funkcjonowała karczma, a prowadzący ją Żyd chciał się tutaj osiedlić. Mieszkańcy jednak nie chcieli do tego dopu-

ścić i w miejscu, gdzie planował postawić dom, wybudowali w roku 1903 szkołę. Pomocy udzielili im dziedzic Tyszkiewicz i duchowny prawosławny.



Huta od strony Tymina

Kiedy wjeżdżałem do wsi od strony Tymina, witały mnie tereny dosyć rzadko zabudowane. Gospodarstwa ulokowały się tutaj tylko po prawej stronie drogi. Z lewej zaś widoczne były nie tylko pola ciągnące się w górę w kierunku Podhucia, ale także spory kawałek niezagospoda-

rowanego terenu, z rzadka porośniętego sosnami. Sceneria, na jaką patrzyłem, skojarzyła mi się z plenerami, w których nagrywano film *Pan Wołodyjowski*, i już całkiem na serio zacząłem rozglądać się, czy gdzieś na wzgórzu nie pojawi się jakiś czambulik tatarski.

Z daleka widziałem już okazały budynek nowej szkoły, która kontynuuje ponad stuletnie tradycje placówek oświatowych funkcjonujących w tej miejscowości.

Obiekt szkolny oddany został do użytku w 1. połowie lat 90. ubiegłego wieku, tak żeby zapewnić odpowiednie warunki dużej wówczas liczbie dzieci. Wielki wkład w budowę obiektu wnieśli sami mieszkańcy Huty Tarnawackiej. Dziś nie dość, że urodzeń mniej, to jeszcze część rodziców posyła swoje pociechy do innych placówek.



Huta jesienią

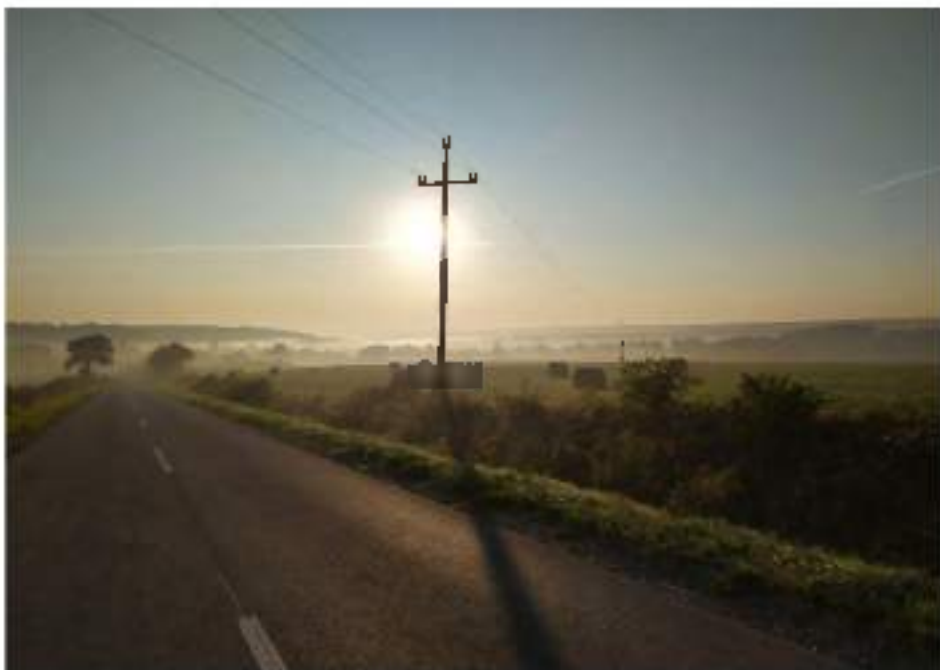
Po sąsiedzku ze szkołą funkcjonuje kaplica stanowiąca kościół filialny parafii w Tarnawatce. Wybudowano ją w latach 1982-1983. W jej środku upamiętniono mieszkańców, którzy ponieśli śmierć podczas II wojny światowej, a na zewnątrz znajdują się tablice wspominające ważne wydarzenia z naszej historii.

Zanim jednak dojechałem do szkoły i kościoła, po prawej stronie, za betonowym płotem minąłem drewniany krzyż z daszkiem, który postawiony został w 1. połowie XX wieku i wpisany został do ewidencji zabytków. Na kolejną kapliczkę, tym razem w formie figury, trafiłem po drugiej stronie drogi. Za nią, w dole usytuowana jest siłownia na świeżym powietrzu, a nieco dalej miejsce mające służyć integracji społecznej. Ponieważ wyposażone jest w zadaszoną wiatę, odwiedziłem je, fundując sobie krótki odpoczynek.

Trzeba przyznać, że na całym terenie było czyściutko, a murowany grill i wiata nie nosiły żadnych śladów dewastacji, co niestety nie zdarza się aż tak często. Fakt ten świadczy o tym, że mieszkający tu ludzie potrafią się dobrze zorganizować, tak jak miało to miejsce na początku XX wieku, kiedy przechytrzyli karczmarza, niedoszłego mieszkańca.

Od kilku lat mieszkańcy Huty Tarnawackiej i działające tutaj Koło Gospodyń Wiejskich aktywnie uczestniczą w życiu społecznym gminy i powiatu, biorąc udział w różnego rodzaju targach, prezentacjach i wystawach. Wykonane przez nich wieńce dożynkowe wielokrotnie zdobywały pierwsze miejsca w konkursach organizowanych podczas dożynek gminnych, powiatowych, wojewódzkich i diecezjalnych. Uczestniczyli w centralnych obchodach święta plonów organizowanych w Spale i Częstochowie.

Wróciwszy na drogę, przejechałem obok budynku starej szkoły, który stoi opuszczony w centralnej części wsi, obok nieczynnego już budynku sklepu. Skręciłem w ulicę, przy której zlokalizowane są kościół i szkoła, po to żeby przyjrzeć się najgęściej zamieszkałej części wsi. Otoczenie kaplicy i szkoły sprawiło na mnie dobre wrażenie. Wszystko zadbane i czyste. Przy szkole zobaczyłem plac zabaw, tylko dzieci na nim nie było.



Poranne mgły

Dalej zabudowa dosyć gęsta, a większość posesji jest nadal zamieszkana. Po przejechaniu niezbyt długiego odcinka droga gwałtownie zaczęła opadać. Przedemną roztaczał się widok na las podhucieński. Jezdnia asfaltowa się skończyła, przechodząc w drogę gruntową, którą można dojechać do nieodległego Podhucia. Ja jednak miałem w planach podróż w przeciwnym kierunku. Zawróciłem i po przejechaniu drogi powiatowej pojechałem w kierunku wsi Pauczne. Początkowo jechałem nowym asfaltem, który zamienił się w drogę betonową. Przedemną stało niemałe wyzwanie, bo znów miałem do pokonania strome wzniesienie. Na szczęście nawierzchnia była całkiem dobra i nie przeszkadzała mi w tym zadaniu. Po prawej stronie znajdowało się strome zbocze górskie, a po lewej była dolinka porośnięta dzikim bzem. Nie dało się nie zauważyć, że ludzie zbierają owoce tego krzewu chętnie wykorzystywane w tradycyjnych terapiach ziołolecznicych. Wreszcie wdrapałem się na szczyt wzniesienia. Zatrzymałem się, żeby chwilę odpocząć i spojrzeć na Hutę Tarnawacką i zamykający widnokrąg las, a także sąsiednie wzgórza otaczające okolicę. Przedemną błyszczała już nowym asfaltem droga mająca zaprowadzić mnie do następnej miejscowości.

Pauczne

Do Paucznego przyprowadził mnie prosty odcinek drogi prowadzącej od Huty Tarnawackiej. Dookoła mnie były same pola, gdzieś daleko wzgórza porośnięte lasami. Szybko zacząłem zbliżać się do rzadkiej zabudowy wsi. Sprzyjała mi i dobra nawierzchnia drogi, i wiatr, który delikatnie powiewał z południa.

Pierwsze wzmianki o wsi Pauczne pochodzą z roku 1870, kiedy to wchodziła w skład starostwa tarnawackiego. Spis wsi z roku 1921 nazwy tej nie zawiera, a dopiero w roku 1938 odnotowano ją jako Hatczyska-Pauczno. W tym miejscu wypada chwilę zastanowić się nad samą nazwą miejscowości i jej prawidłowym brzmieniem. Zgodnie z obecnie obowiązującym nazewnictwem powinna ona brzmieć: Pauczne. Jednak bardzo często używana jest nazwa Pauczno. Trochę trudno się temu dziwić, bo nawet powiatowi drogowcy na tablicach miejscowości używają tej błędnej nazwy. Skoro jesteśmy już przy oficjalnych dokumentach, to trzeba też powiedzieć, że na mapach i w rejestrach geodezyjnych trudno szukać wsi określanej mianem Pauczne. Cała wieś zlokalizowana jest bowiem na gruntach wchodzących w skład Huty Tarnawackiej. Zastanawiać może także samo pochodzenie nazwy tej miejscowości. Według naukowych opracowań ma ona być związana ze światem roślin i zwierząt i pochodzić od ukraińskiego słowa *pawuk* (po polsku pająk) i oznaczać skomplikowaną, pogmatwaną i nieregularną strukturę (sieć) terenowych wzniesień i obniżień. Przyglądając się krajobrazowi wsi, muszę przyznać, że mnie to wyjaśnienie przekonało. Krajobraz naprawdę ciekawy i urozmaicony. Znalazłem w nim to, co tak bardzo lubię, czyli otwarte przestrzenie rozciągające się tuż za zabudowaniami gospodarskimi, niewielkie wzniesienia porośnięte drzewami oraz dosyć głębokie urwiska.

Kiedy dojeżdżałem już do wsi, mój wzrok przyciągnęły sarny, najpierw nieruchomo wpatrzone w moją sylwetkę, a potem spłoszone, szybko umykające w bezpieczne miejsce.

*Sarny*

Pierwsze gospodarstwo, które mijalem w Paucznem, nie zrobiło na mnie dobrego wrażenia. Właściwie nie powinienem używać określenia gospodarstwo, tylko raczej to, co po nim zostało. Spalony kilka lat temu drewniany dom straszył pozostałością dachu, powybijanymi szymbami i osmolonymi belkami. Zarośnięte podwórze i na wpół zdziczały sad wydały mi się raczej scenerią dla miłośników horrorów niż amatorów sielskich klimatów. W sadzie zobaczyłem kilka pań zajętych zbieraniem dorodnych antonówek i nie były to żadne zjawy, tylko kobiety z krwi i kości. Zatęskniłem trochę za szarlotką pieczoną przez moją babcię. Ciekawe, czy ta z pauczniańskich jabłek będzie równie smaczna i na czyj stół w końcu trafi?

Na skrzyżowaniu skręciłem w lewo. Obok znajdował się cementowy krzyż, jakże charakterystyczny punkt każdej z naszych wsi. Na jego cokole widniał wyraźny napis: *BOŻE BŁOGOSŁAW TYM MIESZKAŃCOM*. Całość była dobrze utrzymana i zadbana. Nawierzchnia drogi wiodącej przez wieś niestety już tak dobrze się nie prezentowała. Stano-

wi ona własność powiatu tomaszowskiego, a mieszkańcy narzekają, że zarządca już chyba zdążył o nich zapomnieć.

Miejscowość należy do jednych z najmniejszych w gminie. Ostatnio nastąpiło w niej pewne ożywienie, bo kilka zabudowań znalazło nowych nabywców. Rozpoczęto także budowy paru całkiem nowych domów.



Pola kukurydzy

Po prawej stronie drogi spojrzałem na piękny wąwóz, którego wielkość najlepiej można ocenić późną jesienią, kiedy na drzewach nie ma już liści. Jednak każda pora roku ma swoje uroki i warto odwiedzić go także latem czy wiosną. Zaraz za nim pojawiły się plac zabaw, boisko do piłki nożnej i budynek świetlicy. Na placu zabaw bawiło się kilkoro dzieci, które na wyścigi witały mnie, głośno wykrzykując: *Dzień dobry*.

To było naprawdę miłe i ujmujące. Sytuacje takie zdarzają się bardzo często na terenach wiejskich. Dzieci po prostu kłaniają się wszystkim, którzy przejeżdżają przez ich miejscowość. Konia z rzędem temu, kto da mi taki przykład z miasta, nawet tego najmniejszego!

Pomału zbliżałem się do ostrego zakrętu drogi prowadzącej w kierunku Tarnawatki. Przypomniałem sobie, jakie problemy w czasach, kiedy w Polsce występowały jeszcze srogie zimy, ten odcinek jezdni sprawiał drogowcom. Droga przebiega w kierunku północ-południe, dlatego obfite opady śniegu, w połączeniu z silnym wiatrem, powodowały jej całkowitą nieprzejezdność. Trzeba było ściągać ciężki sprzęt, który i tak przegrywał nierówną walkę z przyrodą. Nie bez znaczenia pozostawał także fakt, że była to wówczas jedyna utwardzona droga prowadząca do Paucznego. Ja jednak nie miałem tego problemu, bo do zimy było jeszcze daleko, a moim celem nie była Tarnawatka. Zjechałem z drogi powiatowej i mijając jeszcze kilka gospodarstw, pojechałem w kierunku Sumina.

Sumin

Z Paucznego do Sumina wiedzie wygodna asfaltowa droga, którą bardzo przyjemnie jedzie się rowerem. Jak to na tego typu lokalnych drogach bywa, ruch jest niewielki. Dodatkowym atutem jest też fakt, że jezdnia wybudowana została w pagórkowatym terenie, który tylko dodaje jej smaczku i atrakcyjności.

Przy pierwszym ostrym zakręcie, z którego odchodziły także drogi w kierunku ulicy Północnej w Tarnawatce i do drogi krajowej nr 17, trwała właśnie budowa nowoczesnego domu z wielkimi oknami. Przyznam uczciwie, że pozazdrościłem trochę ludziom, którzy tu zamieszkają. I to nawet nie samego budynku, ale okoliczności przyrody, w których przyjdzie im żyć. Dalej stał kolejny nowoczesny budynek. Nie zdążyłem jednak przyjrzeć mu się zbyt uważnie, bo pobiegłem wzrokiem za kolo-

rowym bażantem, który właśnie przebiegł przez drogę, wesoło machając piórami ogona.



Droga Pauczne - Sumin

Zaraz na górze ukazał mi się kolejny widok, tym razem jednak jakby z innej bajki. Stary, odrapany domek wydawał się spoglądać zapadającymi się oknami gdzieś w odległe czasy swojej świetności, które nie mają prawa już powrócić. Zrobiło mi się trochę smutno. Pomyślałem jednak, że jestem przecież *na Sumieniu*, jak to czasami żartobliwie mówi się o tej miejscowości.

Pochodzenie nazwy wsi raczej nie nastrecza większych trudności, bo kojarzona jest z sumem, gatunkiem ryby. Podobno kiedyś w dolinie pomiędzy dwoma wzgórzami zawsze była woda i może tam pływały sobie sumy?

A może podróż przez Sumin powinienem zacząć inaczej? Na przykład tak: **Wszystko zaczęło się w Suminie**. Pod takim tytułem w nume-

rze 16 gazety *Co w Naszej Gminie*, wydawanej przez Gminę Tarnawatka, ukazał się wywiad z panem Marianem Gumiełą, pochodzącym z tej miejscowości, synem pani Marianny, znanej w Polsce śpiewaczki ludowej. Marian Gumieła jest muzykiem, folklorystą i choreografem, absolwentem Instytutu Artystycznego UMCS i Studium Choreograficznego w Lublinie. Jest też założycielem i dyrygentem chóru TOMASZOWIACY. Nie bez przyczyny pozwolę sobie przytoczyć jego wypowiedź sprzed lat.

Wszystko zaczęło się w Suminie. Dziś nie mam wątpliwości, że zamiłowanie do muzykowania dziedziczy się w genach - mówi pan Marian. Od kiedy pamiętam, nasz dom w Suminie zawsze rozbrzmiewał muzyką. Ojciec Władysław grał w kapelach ludowych. Moja mama Marianna śpiewała w domu, przy kapliczkach, na wiejskich uroczystościach. Była wyróżniana złotymi i srebrnymi „Basztami” na Ogólnopolskim Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu Dolnym n/Wisłą. Uhonorowano ją nagrodą im. Oskara Kolberga i odznaką Zastężonego Działacza Kultury. Oprócz śpiewania wychowywała nas: sześciu synów i córkę. Wszyscy muzykowaliśmy. Pięcioro z nas zawodowo pracuje w Szkołach Muzycznych. Mama miała 21 wnuków, z których aż 17-tu jest muzykami. Jestem z niej dumny.

Moim pierwszym celem w Suminie był dom państwa Gumielów, do którego jechałem na spotkanie z panem Sylwestrem, najmłodszym synem pani Marianny, i jego żoną Barbarą.

Zanim jednak miało to nastąpić, czekał mnie jeszcze spory odcinek trasy. Przerażony jednak nie byłem, bo wiedziałem, że nudzić się nie będę. I jakby na zawołanie otworzył się przede mną widok na poprzecznane wstęgami miedz roztoczańskie pola, ciągnące się gdzieś w kierunku wsi Budy i Huta Dzierążyńska w Gminie Krynice. Jedynie brzoźowy lasek rozdzielał ten pejzaż na dwie części. W oddali horyzont zamykała ciemna ściana lasu.

W tej części wsi domy rozlokowane zostały dosyć rzadko. Wjechałem w niewielki lasek, na którego końcu postawiono figurę. Pomnik, zwieńczony krzyżem, wykonano w sposób imitujący drewno z charakterystycznymi wypustkami w kształcie sęków. Napis na postumencie

brzmiał: *BOŻE BŁOGOSŁAW OJCZYZNĘ NASZĄ*. Ta część wsi nosi nazwę Petrynowka pochodzącą od ukraińskiego imienia Petro, czyli Piotr.

Dojechałem do świetlicy wiejskiej, która pełni także funkcję remizy strażackiej. Obok niej znajduje się plac zabaw. Kiedyś w tym miejscu funkcjonowała szkoła. Jednak placówkę zlikwidowano, a po latach drewniany budynek rozebrano. W roku 2014 oddano do użytku nową świetlicę. Tuż obok znajduje się boisko do gry w piłkę nożną. Wszystkie te obiekty położone są przy rozwidleniu dróg. Jedna z nich, odchodząca w lewo, prowadzi bezpośrednio do drogi krajowej, przez kolejną część wsi zwaną Zaolzie. Według znawców nazwa pochodzi od wyrażenia: *za olzą*. Tak, tylko co znaczy słowo *olza*? Czy chodzi o rzekę, czy może o drzewo olsza, bo jakoś tak mi się z tym skojarzyło? Zostawiając za sobą te etymologiczne dywagacje razem z Zaolziem, ruszyłem lekko pod górkę, w kierunku części Sumina noszącej nazwę - jak mogłoby być inaczej - Górka. Nad pochodzeniem tej nazwy nie zastanawiałem się już wcale. W potocznej mowie częściej spotykam się z określeniami Sumin Dół i Sumin Góra. Jeżeli ktoś choćby raz był w Suminie, nie będzie miał żadnych wątpliwości, gdzie która część jest położona. Znow dojechałem do ostrego zakrętu, na którym droga asfaltowa odchodziła w lewo. Ja jednak odbiłem w prawo, w nieutwardzoną drogę polną. Na wzgórzu zółcił się brzozy gąk, który miałem okazję oglądać wcześniej od strony Petrynowki. Pod górkę nie udało mi się podjechać. Szosowe opony nie nadają się na terenowe harce i trzeba było rowerek trochę popchać. Las zaczynał już pachnieć jesienią, a słońce przebijające się przez kolorowe liście tworzyło na trawie wspaniałe refleksy. Po wyjściu z tej niewielkiej brzeziny w kolejnej kępie drzew zobaczyłem budynki gospodarcze, co oznaczało, że cel mojej podróży jest tuż, tuż. Kiedy wjechałem na podwórze, gospodarz wychodził właśnie z murowanego budynku, usytuowanego przy samej bramie. Pan Sylwester Gumieła, na co dzień nauczyciel Państwowej Szkoły Muzycznej w Tomaszowie Lubelskim, jest także czynnym muzykiem i sześć lat temu założył zespół muzyki country *Ściana W*. Od 2019 roku pełni funkcję prezesa Stowarzyszenia im. Marianny Gumieły - Powrót do źródeł. Zanim jednak dowiedziałem się o tym, czym zajmuje się ta organizacja, pan Sylwester wraz z żoną Barbarą oprowadził mnie po swoich włościach. Centrum podwórza, lekko

nachylonego w kierunku południowym, zajmował pomalowany na zielono, drewniany dom mieszkalny. Obok znajdował się rząd budynków gospodarczych. Remont jedyne go drewnianego zabudowania był właśnie na ukończeniu. Z wyjaśnień gospodarza wynikało, że wszystkie prace wykonuje sam. Z drugiej strony domu zobaczyłem charakterystyczny kopczyk ziemi. Od razu domyśliłem się, że to nieodzowny element dawnych gospodarstw, czyli piwnica. *Loch* – powiedział pan Gumieła – *bo przecież na naszych terenach używa się tego właśnie określenia. Coś niesamowitego! Dawna spiżarnia i lodówka w jednym. Naprawdę mam wielki sentyment do tej budowli, która do dziś spełnia swoją funkcję. Zresztą całe to gospodarstwo wiąże się z pięknymi wspomnieniami lat dziecińczych. Moi rodzice, Marianna i Władysław, po ślubie zamieszkali w Hucie Dzierżyńskiej. Później, pod koniec lat czterdziestych, po komasacji gruntów Tarnawatki, przydzielono im pole w Suminie. Na tym właśnie polu wybudowali swoje gospodarstwo i tu spędzili większość swojego życia. Wychowali tutaj siódmkę swoich dzieci. Mama zmarła w 2003 roku, ale ostatnich dni swojego życia tutaj nie spędziła. Chociaż wydaje się, że gospodarstwo lata swojej świetności ma już za sobą, staramy się, żeby było inaczej. Wspólnie z żoną i rodzeństwem przygotowaliśmy niezbędne dokumenty i założyliśmy stowarzyszenie, którego zostałem prezesem. Cele, jakie postawiliśmy tej organizacji, to: stworzenie i prowadzenie Izby Pamięci Marianny Gumieła, stworzenie małego muzeum wsi, odkrywanie dawnych dokumentów, zdjęć, ochrona materialnego dorobku dawnych mieszkańców wsi, wspieranie działań zmierzających do poznania historii, kultury, obyczajów, tradycji tego regionu oraz wydawanie folderów i ulotek.*

Moja mama urodziła się 24 czerwca 1919 roku w Szarowoli. Zarówno ona, jak i ojciec pochodzili z muzycznych rodzin. Nas również wychowali w poszanowaniu tradycji, przede wszystkim zaś muzyki i śpiewu.

*Myślę, że osobę pani Marianny najlepiej przybliżą jej własne słowa. Zapisał je jej syn Marian w pracy magisterskiej pt. *Pieśni ludowe w wykonaniu Marianny Gumieła*. „(...) Od młodości pasłam krowy. Zazula kukąta, a ja śpiewałam: zazuli, lasowi, dziewczynom, chłopakom. Było nas w domu czworo: trzy siostry i jeden brat. Jak byłam młoda, wchodziłam za piec i słuchałam, jak śpiewają prządki lub pierzaczki. Szarowola – wieś nieduża, cztery kilometry. Zimą wybierano dużą chatupę na tańce, jeden grał na organce, inni tańczyli, wesoło było. Ukończyłam cztery klasy szkoły podstawowej. Mia-*

Łam 22 lata, jak wyszłam za mąż. Lubię śpiewać. Do dziś śpiewam. Mam sześciu synów i jedną córkę. Dzieci - jak ich siedmioro - wszyscy muzykalni. Śpiewać to dla mnie potrzeba, lubię to. Lubię przyśpiewki smutne i wesole. Czasami na weselach, podczas mojego śpiewania orkiestra stawała.

Do śpiewania jestem pierwsza, ale już nie te siły i zdrowie nie pozwala. Takiej melodii już się nie wyda jak za młodu. W naszym domu wszyscy śpiewali, szczególnie tato. Naśpiewałam się dzieciom brata, siostry i swoim, byłam najmłodsza. Przypominam sobie, jak z jedną z kobiet pałam krowy, ona była macochą. Kiedyś zaśpiewałam piosenkę o macosze, to się aż popłakała. I teraz chce mi się śpiewać przy kuchni, przy garnkach, w polu. Taka już się śpiewająca urodziłam (...)"



Dom Marianny Gumieli. (fot. S. Gumiela)

Mama znała bardzo dużo pieśni z regionu Lubelszczyzny. Zaczęła je wykonywać na wojewódzkich przeglądach w Tomaszowie Lubelskim i Zamościu. Brała udział w spotkaniach folklorystycznych w Warszawie, Krakowie, Płocku. Za pieśni pogrzebowe, ballady i kołysanki otrzymała nagrody i wyróżnienia. Na Ogólnopolskim Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu nad

Wisłą w roku 1976 otrzymała „Srebrną Basztę”, w 1978 „Złotą Basztę”, a II nagrodę w 1996. W uznaniu zasług dla kultury ludowej otrzymała nagrodę im. Oskara Kolberga z rąk Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. W 1997 r. otrzymała odznakę „zasłużony działacz kultury. Jej wykonania zachowały się na czterech płytach: „Polskie kapele ludowe” - Pronit 1980 - „Muzyka Źródła”; „Lubelskie” - Polskie Radio RCKL 199 - „Muzyka Źródła”; „Wokół dziecka” - Polskie Radio - RCKL wydana w 2010 r. oraz „Spod Niebieskiej Góry 2 - muzyka Roztocza polsko-ukraińskiego” wydana w 2016 r. – z prawdziwą dumą i szacunkiem powiedział pan Sylwester. Pani Barbara opowiedziała mi, że plany działania stowarzyszenia pokrzyżowała panująca epidemia. W grudniu 2019 roku realizując nasze cele, zorganizowaliśmy wspólne kolędowanie oraz wspomnienia o tradycjach i zwyczajach bożonarodzeniowych pod hasłem: „Jak dawniej bywało”. Do współpracy zaprosiliśmy Koło Gospodyń Wiejskich w Suminie, które przygotowało świąteczny wystrój świetlicy wiejskiej oraz stołki poczęstunek. Śpiewaliśmy kolędy i pastorałki, bardziej i mniej znane. W przerwach dzieliliśmy się wspomnieniami o tradycjach i zwyczajach bożonarodzeniowych. Na spotkaniu obecny był wójt Piotr Pasieczny i przewodnicząca Rady Gminy Kazimiera Mańdziuk. Była to wspaniała okazja do spotkania kilku pokoleń, wspólnego śpiewania kolęd i pastorałek oraz wspomnienia dawnych tradycji i zwyczajów związanych ze świętami.

W roku 2020 rozpoczęliśmy remont drewnianego budynku gospodarczego, w którym ma powstać małe muzeum wsi – powiedział pan Sylwester. Większe eksponaty znajdą swoje miejsce w stojących obok budynkach murowanych.

Nasze zbiory w tym roku naprawdę się wzbogaciły, a odnawiamy je sami – uzupełniła pani Barbara.

Plany na przyszłość stowarzyszenia to stworzenie w budynku mieszkalnym izby pamięci Marianny Gumieles, kącika pamięci mieszkańców wsi oraz kącika Mieczysława Kosza. Jak się okazuje, ten niewidomy artysta jazzowy był częstym gościem w domu państwa Gumielów. Mimo tego, że urodził się w nieodległej Antoniówce, to większość czasu spędzał u stryja w Suminie, a kolegował się z dziećmi Marianny i Władysława Gumielów.

Naszym zamierzeniem docelowym jest zorganizowanie cyklicznego festiwalu muzyki ludowej im. Marianny Gumieles, który będzie się odbywał w Sumi-

nie, w tym gospodarstwie. Chcemy także, żeby to miejsce żyło koncertami, przesłuchaniami, letnimi warsztatami muzycznymi, spotkaniami z ciekawymi ludźmi i wystawami tematycznymi – niejako na podsumowanie naszego spotkania powiedział pan Sylwester.

Siedlisko państwa Gumielów opuszczałem pełen podziwu dla zapалу gospodarzy, prawdziwej miłości do rodziców, poszanowania tradycji rodzinnej oraz przywiązania do ojcowizny i obyczajów. Na swojej drodze znów udało mi się spotkać dobrych i ciepłych ludzi.

To jednak nie koniec informacji na temat tej niezwykłej rodziny. Moi przemili gospodarze zaopatrzyli mnie bowiem w tak ciekawe materiały informacyjne, że wprost grzechem byłoby niezamieszczenie ich w niniejszej opowieści. Wszak - jak powiedział Marian Gumiel - *Wszystko zaczęło się w Suminie.*

Najważniejsze cele Stowarzyszenia im. Marianny Gumieli - Powrót do źródeł to:

- *utworzenie i prowadzenie Izby Pamięci Marianny Gumieli,*
- *utworzenie Małego Muzeum Wsi,*
- *ochrona materialnego dorobku poprzednich pokoleń mieszkańców,*
- *wspieranie działań zmierzających do poznania historii, kultury, obyczajów i tradycji tego regionu,*
- *inicjowanie i współudział mieszkańców regionu w rozwoju i upowszechnianiu kultury ludowej na wsi,*
- *organizowanie spotkań z ciekawymi ludźmi, koncertów i wystaw,*
- *prowadzenie różnych form działalności edukacyjnej, szkoleniowej, warsztatowej i muzycznej, wzmacnianie więzi międzyludzkiej,*
- *współpraca z władzami samorządowymi.*

Przedmiotem działalności organizacji jest:

1. *utworzenie i prowadzenie Izby Pamięci Marianny Gumieli wybitnej śpiewaczki ludowej z Roztocza o oryginalnej barwie głosu i unikalnym stylu zawartym w lirycznej ekspresji i bogatym zdobnictwie. Twórczość Marianny zawiera ponad 60 autorskich pieśni. Niektóre z nich zostały zarejestrowane przez Polskie Radio i wydane na 4 płytach. W Izbie Pamięci planowany jest również kącik pamięci o Mieczysławie Koszu - niewidomym, tragicznie*

zmarłym pianiście jazzowym, który był częstym bywalcem w domu Marianny, przyjaźnił się z jej dziećmi. On sam wstuchiwał się w pieśni śpiewane przez Mariannę, co znalazło swoje odbicie w jego późniejszej twórczości kompozytorskiej.

2. Utworzenie Małego Muzeum Wsi, w którym będą gromadzone i prezentowane narzędzia i przedmioty codziennego użytku, dawnych mieszkańcy okolicznych wsi.

Powyższe działania będą realizowane w miejscowości Sumin, gdzie siedlisko zamieszkiwane przez Mariannę Gumielę należy obecnie do jej syna Sylwestra, będącego przedstawicielem stowarzyszenia. Powyższe siedlisko położone jest w malowniczym zakątku wsi, z dala od sąsiadów. Zbiory rodzinne, które możemy udostępniać ludności, to liczne zdjęcia, dyplomy, dokumenty, recenzje, zapisy nutowe melodii wykonywanych przez Mariannę, nagrania płytowe i radiowe, publikacje oraz nagrody, odznaczenia i medale za działalność i twórczość ludową.

Jesteśmy również w posiadaniu licznych eksponatów gromadzonych przez wiele lat tj. narzędzi służących do pracy w rolnictwie, rzemiosła oraz przedmiotów codziennego użytku.

Kolejny obszar działalności stowarzyszenia to uaktywnienie mieszkańców wsi i regionu w życiu kulturalnym poprzez organizowanie koncertów, przeglądów twórczości ludowej, spotkań z ciekawymi ludźmi i wystaw oraz prowadzenie różnych form działalności edukacyjnej, szkoleniowej i warsztatowej. Kompetencje do tego typu działalności posiadamy bardzo szerokie jako rodzina.

Marianna Gumielą wybitna śpiewaczka z Roztocza, wielokrotna laureatka Festiwalu Folklorystycznego w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą, odznaczona przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego medalem Oskara Kolberga za zasługi dla kultury ludowej wraz z mężem Władysławem grającym na bębnie w kapeli ludowej przekazali swoim siedmiorgu dzieciom miłość do muzyki. Zapracowała ona w ten sposób, że niemal wszystkie dzieci i ich małżonkowie są pedagogami i zajmują się zawodowo różnymi formami muzyki. Kolejne II pokolenie to w 90% czynni muzycy grający w filharmoniach, pedagodzy oraz wykładowcy wyższych uczelni muzycznych posiadający w większości również małżonków wykształconych muzycznie. Obecnie III pokolenie rodziny Gumielów również zainteresowane jest muzyką i wielu prawnuków Marianny kształci się w szkołach muzycznych I i II stopnia. Wśród całej trzypokoleniowej rodziny

na dzień dzisiejszy 40 osób zajmuje się muzyką. Są wśród nich wokaliści, skrzypkowie, altowiolistki, pianiści, wiolonczeliści, gitarzyści, akordeoniści, saksofoniści, trębacze, perkusiści, waltorniści, organiści, klawesyniści, a także dyrygenci, kompozytorzy, autorzy tekstów piosenek, choreografowie.

Rodzina nasza zamieszkuje różne rejony Polski, część z jej członków mieszka na Roztoczu, ale miłość do muzyki przekazana z pokolenia na pokolenie jest elementem łączącym nas wszystkich. Mamy w sobie ogromny potencjał muzyczny, którym chcielibyśmy dzielić się z innymi.

Już od 2011 roku jesteśmy jako rodzina organizatorami Wieczornych Spotkań z Muzyką pod hasłem „Rodzina Miastu”. Ta impreza odbywająca się cyklicznie w Tomaszowie Lubelskim od 10 lat cieszy się ogromną popularnością wśród mieszkańców i przyjezdnych gości. Burmistrz miasta Tomaszowa Lubelskiego wpisuje ją do corocznego kalendarza imprez i jest ona wizytówką naszego miasta. Inicjatywa zorganizowania koncertów rodzinnych wyszła od nas i naszego syna Rafała, który jest kierownikiem artystycznych tej imprezy.

Stowarzyszenie im. Marianny Gumieli – Powrót do źródeł powstało 10.10.2019 r. w 100 rocznicę urodzin ludowej śpiewaczki o oryginalnej barwie głosu, unikalnym stylu i bogatym zdobnictwie. W tym też roku został skomponowany utwór pt. „Sempre nella memoria di Marianna” (z włoskiego znaczy „zawsze w pamięci Marianna”) przez wnuka Marianny, kompozytora Marcina Gumiele, i wykonany po raz pierwszy w Miejskim Centrum Kultury w Bydgoszczy przez Pianopticum - małżeński duet fortepianowy Agatę Nowakowską – Gumielę i Tomasza Gumiele, nauczycieli akademickich. W skład członków stowarzyszenia weszły osoby, które są najbardziej zaangażowane w misję organizacji i posiadają największe predyspozycje do działalności publicznej.

Tymczasem wróciłem na asfaltową drogę biegnącą przez Górkę lub Górę, jak kto woli. Teraz już moja trasa biegła prosto do krajowej siedemnastki. Ta część wsi, w odróżnieniu od Petrynowki, zabudowana jest dość gęsto. Miejscami droga położna jest tak wysoko względem sąsiednich terenów, że zastanawiałem się, czy to naturalny układ, czy też specjalnie zrobiony nasyp. Z pewnym żalem patrzyłem na nieczynny sklep i zamkniętą na głucho piekarnię. Jeszcze nie tak dawno pieczone tu pierogi z kaszą były regionalnym rarytasem, goszczącym na niejednym stole. Cóż, konkurencja dużych zakładów i supermarketów zmusiła ma-

łych sklepikarzy i drobnych rzemieślników do zamknięcia interesów, zdaje się, że już na zawsze.



Sumin Góra

Tymczasem dojechałem do miejsca, w którym według zapewnień krajowych drogowców, już za kilka lat będzie przebiegać nowy odcinek trasy ekspresowej S17. Z planów wynika, że żaden ze stojących tutaj budynków nie ucierpi przez inwestycję drogową. Zmieni się na pewno krajobraz i dlatego warto wykorzystywać każdą chwilę, żeby popatrzeć na stary, trochę senny Sumin.

Dojechałem do siedemnastki. Czekał mnie teraz zjazd w dół. Nie zdecydowałem się jednak na jezdnię, w tym miejscu ruchliwą i niebezpieczną. Tym bardziej, że chciałem jeszcze przystanąć na chwilę przy płycie upamiętniającej tragiczne wydarzenia, jakie miały miejsce w tej miejscowości w czasie II wojny światowej. Pomnik stoi przy chodniku biegnącym wzdłuż drogi krajowej. Przypomina o wydarzeniach, które rozegrały się w Suminie 29 stycznia 1943 roku. Wówczas żandarmi z Zamościa przeprowadzili akcję odwetową za napad partyzantów na oddział niemiecki w Tarnawatce. Życie straciło 119 mieszkańców Sumina. Część domów została spalona, a reszta rozebrana i wywieziona. Mogiły zamordowanych znajdują się na cmentarzu w Tarnawatce. Pamiątkową tablicę, poświęconą osobom, które utraciły życie w wyniku terroru niemieckiego, umieszczono także w kościele parafialnym w Tarnawatce.

Opuszczałem Sumin, a do kolejnego etapu zapraszał mnie usytuowany przy drodze krajowej drogowskaz z napisem *Krasnobród 12*.



Kunówka



Widok Kunówki od strony Tarnawatki

Do Kunówki wjechałem z Sumina. Znak przy krajowej siedemnastce wskazywał kierunek Krasnobród, informując, że odległość do tej miejscowości wynosi 12 kilometrów. Po przejechaniu kilkuset metrów już drogą powiatową okazało się, że do Krasnobrodu jest jeszcze 13 kilometrów. W delikatną konsternację popadłem, bo jak to, niby jadę w kierunku tej miejscowości, a ona się oddala. Czy to nie jest jakoś znormalizowane, że odległości z miasta A do miasta B mierzy się w jednakowy sposób? Wygląda na to, że chyba nie, i każdy wybiera sobie inne punkty odniesienia przy ustalaniu kilometrażu. Niby błażostka, ale

sprawą mógłby się zająć jakiś program telewizyjny traktujący o absurdach drogowych.



Pagórkowate pola Kunówki

Tymczasem po lewej stronie mijalem podmokle łąki, które kiedyś potrafiły zamieniać się w prawdziwe jezioro. Widywałem tu nawet łabędzie i czaple, że o kaczkach już nie wspomnę. Po prawej roztaczał się zaś widok na wzgórza sięgające Antoniówki w gminie Krynice. Miałem już okazję wspominać o tym, że granice niektórych miejscowości są tak dziwnie ustalone, że domy stojące po sąsiedzku, przy jednej ulicy, tak naprawdę znajdują się w innych miejscowościach. Tak jest też w przypadku Kunówki. Kilka gospodarstw do niej należących leży niby w Budach, przy drodze prowadzącej do Antoniówki. Ponadto, w ewidencji gruntów na próżno można szukać jednostki noszącej tę nazwę. Całe sołectwo leży na gruntach Tarnawatki.

Patrząc z zaciekawieniem na urozmaicony wzgórzami i dolinami krajobraz, dotarłem do pierwszych zabudowań Kunówki, którymi okazał się spory warsztat samochodowy. Zaraz za przystankiem, w kierunku Tarnawatki odchodziła gruntowa droga w lewo. Potocznie nazywa się ją *Kunową Greblą*. Tuż przy niej stał znak informujący mnie, że aby

dojechać do Kunówki, muszę skręcić w prawo, a odległość do przebycia to 1 kilometr. Orientuję się nieco w geografii Kunówki i wiem, że 1 km od tego miejsca wypadnie gdzieś w szczerym polu. Chyba trzeba będzie jednak coś zrobić z tą normalizacją w mierzeniu odległości, bo jak tak dalej pójdzie, niejedyn podróżny gotów jeszcze jakiej nerwicy dostać.

Wracając jednak do Kunówki, to jest ona jednym z najmniejszych sołectw w gminie Tarnawatka, i w dodatku najmłodszym, bo powstała w roku 1982, po wydzieleniu jej z Sumina. Były również plany, aby do nowego sołectwa dołączyć część Niemirówka-Kolonii zwanego Suminkiem, ale nie zostały one jednak zrealizowane.

Nazwa wsi pochodzi od jej dawnych właścicieli Walerii i Tadeusza Kun, którzy folwark, zwany wówczas Sumin, nabyli pod koniec XIX wieku. W 1907 roku majątek zakupili Tyszkiewiczowie i byli jego właścicielami do wybuchu II wojny światowej.

W połowie lat 60. przez wieś budowano drogę prowadzącą w kierunku Krasnobrodu. Część gospodarzy nie zgodziła się, żeby przebiegała przy ich domostwach. W tej sytuacji trasę wyznaczono w sporej odległości od ich zabudowań. W dodatku niezbyt wygodną, bo bardzo krętą. Wszystko było dobrze za czasów, w których ludzie poruszali się pieszo albo furmankami. Kiedy jednak samochody spowszechniały na tyle, że trafiły prawie pod wszystkie strzechy, zaczął robić się problem. Kogo było stać, żeby utwardzać dojazd do posesji długości kilkuset metrów? Do przyjemności nie należało też, w czasach niesprzyjającej aury, zostawianie aut przy drodze i brnięcie do domu w błocie po kolana.

Tym razem sami mieszkańcy wyszli z inicjatywą, żeby przy ich domach wybudować drogę. Tak też się stało i najpierw utwardzono im dojazd, który obecnie jest już normalną drogą asfaltową, przed którą właśnie się znalazłem. Nie dość, że w bok odchodziła właśnie ta nowa szosa, to jeszcze w promieniu stu metrów powstawały trzy nowe domy, a tuż obok kończyła się budowa budynku gospodarczego, który ma służyć miejscowym do różnego rodzaju spotkań. Jak na tak małą miejscowość, to naprawdę duża ilość inwestycji. Przy samym skrzyżowaniu stała kapliczka w postaci przydrożnego krzyża.

Przygotowując się do podróży w te okolice, zapytałem pewnego szacownego mieszkańca jednej z pobliskich miejscowości, co ciekawego mogę zobaczyć w Kunówce. Odparł mi, że krzyż z XIX wieku i że z tyłu jest napis z datą. Krzyż jest, ale kiedy podszedłem bliżej, okazało się, że napis brzmi: *BOŻE BŁOGOSŁAW TYM MIESZKAŃCOM 1981 R.* Może wtedy był odnawiany – pomyślałem. Zaszedłem z tyłu, a tam nic, żadnej daty. Cóż było robić, wsiadłem na rower i pojechałem w głąb wsi, w kierunku północnym, wąską drogą prowadzącą najpierw pod górkę, a potem dosyć stromo w dół. Dojechałem do samego końca asfaltu, gdzie znajdowała się baza autobusowa. Jednak nie to było najciekawsze. Po między okolicznymi wzgórzami utworzyła się dolina, której kierunek nachylenia skierowany była właśnie ku tej części wsi. Zastanawiałem się, co też dzieje się w tym miejscu, kiedy występują silne ulewę i dochodzi do gwałtownego spływu wód.

W drodze powrotnej miałem okazję patrzeć na zabudowania gospodarskie dawnego OHZ w Tarnawatce, rysujące się na horyzoncie. Widok ciekawy, bo wcale z pegeerem się nie kojarzył. Bardziej widziałem w nim dawny, przedwojenny majątek ziemski niż socjalistyczny kołchoz.

Dojechałem do oglądanego wcześniej krzyża i skręciłem w prawo. Tu rozlokowały się kolejne nowe domy. Widziałem też, że przy drodze powiatowej powstał następny warsztat samochodowy. Po prostu motoryzacyjna miejscowość się z Kunówki zrobiła. Dotarłem do końca drogi. Napis na ostatnim domostwie oznajmiał, że mieszka tutaj sołtys. Skręciłem w kierunku drogi powiatowej mało uczęszczaną, bo zarośniętą i dla samochodów raczej nieprzejezdną, gruntówką. Przejechałem koło rozpadającego się i całkowicie opuszczonego domostwa z zapadniętym dachem i wyjechałem na drogę powiatową. Już miałem opuścić Kunówkę, kiedy przypomniałem sobie, że przy niej stoi jeszcze jeden krzyż i to z pewnością ten, o którym mówił mój znajomy. Wróciłem kawaleczek i zatrzymałem się przy pięknym kamiennym krzyżu, pomalowanym na biało. Wtedy mnie oświeciło: *biała figura!* Przecież takiej właśnie nazwy używa się na określenie tego miejsca. Słyszałem także liczne opowieści

o tym, że w pobliżu tego krzyża straszy. Dziś może już mało kto wierzy w takie opowieści, ale kiedyś było zupełnie inaczej. Opowiadał mi pewien znajomy, że kiedy w młodości przychodziło mu, nieraz ciemną nocą, wracać tędy do domu, to robił wszystko, aby feralne miejsce minąć jak najszybciej. *Nie daj Boże – mówił – żeby z pobliskich łąk czy krzaków doleciał jakiś szmer. Wtedy włosy dosłownie stawały dęba, ciarki przechodziły po całym ciele, a człowiek dostawał takiego przyspieszenia, że śmiało mógłby stawiać w szranki z najlepszymi sprinterami.* Inna zasłyszana historia o strachach w pobliżu białej figury mówiła o tym, że mieszkająca w sąsiedniej wsi kobieta wracała nocą do domu. Nagle zza postumentu wyłoniła się czarna postać ni to dużego psa, ni to kozy, która zaczęła zmierzać w jej kierunku. Wystraszona, nie odwracając się za siebie, pobiegła w kierunku domu, odmawiając po drodze różaniec. Podobno nigdy więcej już nie odważyła się zjawić w tej okolicy po zmroku.

Obejrzałem krzyż bardzo dokładnie. I przyznać należy, że jest wspaniałym przykładem sztuki kamieniarskiej. Treść napisu na cokole brzmiała: *O JEZU NAZARAŃSKI KRÓLU ŻYDOWSKI RATUJ NAS W KAŻDEJ POTRZEBIE.* Mnie jednak najbardziej zaciekała i jednocześnie zaskoczyła inskrypcja znajdująca się na tylnej ścianie postumentu. *NA CZEŚĆ I CHWAŁĘ PANU BOGU PAMIONTKE POZOSTAWIAIĄ WŁAŚCICIELE FOL. SUMINA T. W. KUHN 1899 R.* Faktycznie wiek XIX, ale nazwisko właścicieli zostało napisane – *KUHN*, z niemym h. Ciekawe, bo wiele osób mówiło nawet, że nazwisko to brzmiało *Kuna*, a tu proszę – *Kuhn*. Czyli nazwa wsi, jeżeli od niego pochodzi, powinna brzmieć *Kuhnówka*. Oryginalny zapis nazwiska wskazuje na jego niemieckie pochodzenie, a to mogłoby znaczyć, że występująca w nim litera *u* mogła mieć u góry dwie kreseczki i być czytana jak polskie *i*. Wtedy wymowa nazwy wsi brzmiałaby nawet *Kinówka*.





Biała figura

Sam byłem zaskoczony dywagacjami na temat nazwy wsi, które pojawiły się w mojej głowie. Opuszczając Kunówkę, w takim właśnie brzmieniu jej nazwy, czułem się trochę jak dumny odkrywca. Może nie jak sam Krzysztof Kolumb po dopłynięciu do Ameryki, ale jednak.

Niemirówek-Kolonia

Zabudowania sołectwa Niemirówek-Kolonia łączą się właściwie z tymi położonymi w Kunówce. Część sołectwa położona od strony wschodniej nosi nazwę Suminek. Nazwa pochodzi od pobliskiej miejscowości Sumin. Wszystkie gospodarstwa położone są tutaj po północnej stronie drogi. Tak przynajmniej sądziłem do niedawna. Kilka lat temu, na łąkach na początku wsi pojawiła się przyczepa campingowa, potem tymczasowe budyneczki. Teraz mijając to trochę osobliwe siedlisko, przyglądałem mu się z uwagą i zastanawiałem się, czy ktoś zamieszkuje tu na stałe, czy może przebywa tu tylko latem.

Moją uwagę przyciągnęło nagle hałaśliwe stado srok, wzbijające się w powietrze z pobliskich zarośli. Próbowałem policzyć to rozkrzyczane towarzystwo, ale ptaki tak się kotłowały, że nie sposób było stwierdzić, ile ich jest. Spośród gmatwaniny biało-czarnych skrzydeł i ogonów dawał się zauważyć wyraźnie połyskujący w słońcu, piękny odcień granatu. Tak szybko, jak się pojawiły, sroki zniknęły w gęstwinie krzewów bujnie porastających okoliczne łąki.

W oddali widziałem już biel budynku dawnej szkoły w Niemirówku, kontrastującą jasnym odcieniem z otaczającą go zielenią. Zaraz też doszedłem do wniosku, że moje przekonanie o prawostronnej zabudowie Suminka stanowi już odległą przeszłość. Oprócz opisanego wcześniej obejsia jest tutaj jeszcze jedno, równie ciekawe i oryginalne jak poprzednie. Co do niego nie miałem żadnych wątpliwości, że zamieszkiwane jest tylko okresowo, od marca do sierpnia, było to bowiem gniazdo bocianie. Tym razem jednak historia jego powstania jest mi znana. Jeden z mieszkających w pobliżu mężczyzn postanowił, że wybuduje gniazdo bocianom. Jako że okolica jak najbardziej sprzyjała tym ptakom, inwestycja zdawała się dobrze rokować na przyszłość. Okoliczne pola

i podmokłe łąki powinny zapewnić ptakom obfitość pożywienia w całym okresie gniazdowania. Operacja została przeprowadzona modelowo. Specjalnie w tym celu zakupiony słup został wyposażony w metalowe rusztowanie, na którym bociany miały wybudować swoje domostwo. Całość ustawiono w niewielkim oddaleniu od domu, żeby móc kontrolować rozwój sytuacji. Dla zachęty na stelażu ułożono nieco gałązek, które miały stanowić wyraźne zaproszenie do skorzystania z oferty zamieszkania w tym miejscu. Pozostało tylko czekać. W pierwszym roku nie wydarzyło się nic. Żaden czerwonoński osobnik nie wyraził zainteresowania przygotowanym lokum. Kolejnej wiosny było już lepiej, bo pojawiła się para bocianów, która jednak nie wyprowadziła młodych. Za to potem było już tylko z górki. Nie dość, że ptaki gniazdują tu już stale i wychowują swoje potomstwo, to jeszcze zdarzają się spektakularne walki o zajęcie tego miejsca. A temu wszystkiemu czujnym i uzbrojonym w lornetkę okiem przyglądają się fundator bocianiego lokum i cała jego rodzina. Jak sami stwierdzają, jest to niesamowite widowisko, o wiele bardziej ciekawe niż niejeden program telewizyjny.

Znalazłem się w okolicach miejsca zwanego *Bartoszówka*. Nazwa ta nie pojawia się w żadnych opracowaniach, ale z relacji mieszkańców Suminka wynika, że dawniej mieszkał tutaj Ukrainiec o nazwisku Bartosz. Zapamiętany został jako dobry człowiek, a nawet osoba sprzyjająca polskim partyzantom. Tragiczne losy konfliktu polsko-ukraińskiego w czasie II wojny światowej zmusiły go jednak do opuszczenia rodzinnej wsi.

W pobliżu *Bartoszówki*, pod wzgórzem, funkcjonowała kiedyś cegielnia bazująca na tutejszym surowcu. Z pozostałości jej wyrobiska korzystali jeszcze w połowie lat 60. ubiegłego wieku budowniczowie drogi wiodącej z Sumina do Klocówki.

Przedemną pojawił się właśnie samochód dostawczy z charakterystycznym napisem *SKLEP*. Widok ten na wsi już dziś nikogo nie zaskakuje. Na początku transformacji ustrojowej w każdej, nawet najmniejszej, miejscowości sklepy powstawały jak grzyby po deszczu. Potem sytuacja zaczęła się zmieniać i biznes opłacał się coraz mniej, pojawiły się więc objazdowe punkty handlowe, zlokalizowane na samochodach. Choć jak

było naprawdę, czy ruchome sklepy zastąpiły stacjonarne, czy doprowadziły do ich upadku, kto wie?

Obserwowałem sobie, jak kierowca sklepu, bo tak chyba należałoby go określić, doskonale orientuje się, gdzie podjechać i przy którym domu ma się zatrzymać. Opowiadał mi kiedyś jeden z nich, że ludzie zostawiają na płótkach siatki z listami zakupów i pieniędzmi na ich opłacenie. Taka forma jakby samoobsługi. Dziś jednak klienci, korzystając z dobrej pogody, czekali na sklep osobiście. Takie nowe obyczaje - człowiek nie idzie do sklepu, tylko sklep przychodzi do niego. Rodzą się przy tym także nowe zwroty. Dla mnie naturalną i niezwykle sympatyczną rzeczą jest fakt, że kiedy spotykają się sąsiadki, to muszą sobie trochę pogadać. Niby nic nowego, ale słyszałem, że o rozmowach toczonych podczas oczekiwania na sklep mówi się: *przy chlebie mówili*. Brzmi pięknie i tak jakoś swojsko, aż czuje się ten zapach świeżego chleba, który przywodzi w pamięci wspomnienie rodzinnego domu i osób, których już nie ma.

Mijałem Suminek i spoglądając na łąki, myślałem, gdzież podziały się krowy, których kiedyś całe stada tutaj się pasły? Czasy się zmieniają, jak już zdążyłem nie raz zauważyć, i dziś miejscowość, podobnie jak sąsiednia Kunówka, staje się centrum naprawy samochodów.





Roztoczański krajobraz Suminka

Za ostatnimi zabudowaniami Suminka po raz kolejny otworzył się przede mną roztoczański krajobraz, poprzecinany polami wciskającymi się w porośnięte lasem wzgórza. Na tle brzozowego lasu, jak gdyby na warcie, stała myśliwska ambona z charakterystycznymi długimi nogami i lekko pochylonym dachem. Droga zaczęła się lekko wznosić, a na zakręcie witał mnie już czerwony dach pierwszego domu właściwego Niemirówka-Kolonii. Tu też początkowo domy rozlokowane zostały tylko po prawej stronie szosy. Im dalej jednak w głąb wsi, zabudowa stawała się coraz gęstsza. Minąłem drewniany krzyż przydrożny, gęsto przyozdobiony kwiatami. Jego górna część została zabezpieczona daszkiem tworzącym kształt kapliczki. Po lewej stronie na łąkach zieloną bryłą odznaczała się oczyszczalnia ścieków służąca mieszkańcom miejscowości. Rzecz wydaje się naturalna, ale w wielu wsiach jeszcze niedostępna i stanowiąca, co by nie mówić, symbol nowoczesności. Dojechałem do świetlicy wiejskiej i remizy strażackiej w jednym. Budynek ten, po likwidacji szkoły, służy także jako lokal wyborczy. Nieopodal niego znajduje się plac zabaw dla dzieci. Tuż obok przystanek, chodniczek i pasy wyznaczające przejście dla pieszych. Po drugiej stronie ulicy wi-

dok już nie tak piękny, bo opuszczony, drewniany dom straszy porzuconym dachem, powybijanymi szybami i białą firanką, powiewającą z okna ganeczku. Widać, że budynek poddał się już nieubłaganemu upływowi czasu i czekającemu go losowi. Za to nad sąsiednią posesją wydaje się górować figura Matki Bożej ustawiona na wysokim postumencie. Zadbana, ogrodzona metalowym płotkiem i odświętnie udekorowana.

W ten oto sposób znalazłem się w Kaliszakach. Pochodzenie tej nazwy wiąże się z ciekawą historią, której nie mógłbym pominąć.

Można by ją zacząć tak oto: działo się w roku pańskim 1880, kiedy to Józef Paszkiewicz sprzedał swoje dobra chłopom z Zagórowa w Wielkopolsce, których przy umowie reprezentowali Ignacy Wilant i Antoni Bogusławski. Rodziny nowych osadników miały stawić się na miejscu zimą, kiedy to cały świat przykrywała gruba warstwa śniegu. Wydawało się, że dookoła znajdują się żyzne pola, a nowa wieś, którą postanowili tutaj stworzyć, pozwoli im na godne życie. Wiosną, kiedy zginął śnieg, okazało się, że to, co wyglądało na pola, w rzeczywistości było podmokłymi łąkami, nieprzynoszącymi żadnych pożytków. Nie było wyjścia i trzeba było jakoś sobie radzić w tej sytuacji. Osadnicy wybudowali domy, tworząc kolonię, która później otrzymała status sołectwa z oficjalną nazwą Niemirowek-Kolonia. Jednak powszechnie zarówno wieś, jak i jej mieszkańców nazywano *Kaliszakami*, bo miejscowość, z której przybyli, położona jest w pobliżu Kalisza. Pomimo upływu czasu określenie to używane jest do dziś. Część pierwszych kolonistów sprzedała swoje posiadłości i wyjechała z tych okolic. Inni pozostali i mieszkają tu do dziś. Wśród nazwisk występujących na wsi nadal można spotkać tu Durasów, Kaszniów czy Kuczmaszewskich, których przodkowie przyjechali tutaj w roku 1880. Żyje czwarte, piąte i szóste pokolenie ludzi, którym Niemirowek-Kolonia zawdzięcza swoje istnienie.





Stary dom w zimowej szacie

Kontynuując podróż, wjechałem na wzniesienie w Kaliszakach. Po lewej stronie, zza domów, połyskiwało lustro wody stawu Jan Górny otoczonego zielenią łąk. Gdzieś tam znajdowały się piaskowe pagórki przez miejscowych zwane *Lisią Górą*. Zresztą nazwa ta nie wzięła się znikąd, ponieważ od lat jest ona prawdziwą ostoją lisów, które mają tam liczne nory i corocznie wyprowadzają kolejne mioty. Ja jednak nie o zwierzętach chciałem powiedzieć, tylko o świętych. Według lokalnej opowieści w dniu 20 stycznia, kiedy przypadają imieniny Fabiana i Sebastiana, te dwie postacie pojawiają się na *Lisiej Górze*, żeby stoczyć ze sobą walkę. Jeden ma na sobie kozuch i jest boso, a drugi rozebrany, ale na

nogach ma żelazne buty. Jeżeli walkę wygra ten pierwszy, to zima już długo nie potrwa, a jeżeli ten drugi, obuty w żelazo, to do wiosny trzeba będzie jeszcze trochę poczekać. Nikt nie był jednak świadkiem walki Fabiana i Sebastiana, dlatego o wyniku ich rozgrywki można dowiedzieć się dopiero wtedy, kiedy zima minie.

Po prawej stronie minąłem kilka domów, których elewacje utrzymane były w różnych odcieniach żółci. Musiałem bardzo uważać, żeby nie przegapić wjazdu w wąską polną dróżkę, który musiał znajdować się tuż za nimi. I był! Za parterowym domem, przed którym wartę dzielnie trzymał drewniany niedźwiedź. Dróżka zdawała się skrywać swoje tajemnice, mając oczy niewtajemniczonego wędrowca urokiem sąsiedniej posesji. A było na co popatrzeć! Tuż przy drodze znajdował się loch, którego nieco przekrzywione i otwarte drzwi, zamocowane na ceglanej ścianie, wprost zdawały się zapraszać do zanurzenia się w jego ciemne i wilgotne wnętrze. Dalej stał dom drewniany, tzw. chałupa stawiana na zrab. Na postarzałych brusach zachowało się jeszcze sporo wapna, którym kiedyś ją bielono zarówno w celach estetycznych, jak i zabezpieczających przed zbyt szybkim niszczeniem drewna. Od strony ulicy miała dwa okna, a pośrodku drzwi. Wszystkie malowane na jakże kiedyś popularny kolor – jasny orzech. Widać, że drzwi frontowe używane nie były, bo zabezpieczone zostały *zagatą* wykonaną z kostek słomy. Gdzie dziś jeszcze można zobaczyć *zagaty*, czyli zabezpieczenia domów, które wykonywało się przed zimą? Materiałem, którego używano do tego celu, mogły być: słoma, siano, liście czy ściółka leśna, u nas zwana także szczeciną. Ogacenie polegało na ociepleniu miejsc najbardziej narażonych na przemarzanie. Były to głównie podwaliny, ale zdarzało się też, że całe ściany przykrywano tą ciepłą kołderką. Do pełni szczęścia brakowało tylko słomianej strzechy lub gontów, które w czasach PRL-u zastąpiono niezbyt romantycznym eternitem.

Taką właśnie przykrywką dysponuje droga z Niemirówka-Kolonii do Antoniówki. Niezawodną wskazówką, która do niej zaprowadzi, jest liczba 17, bardzo dobrze widoczna z drogi powiatowej, a wypisana na podwójnym słupie energetycznym.



Droga do Antoniówki

Za ogrodzeniem *niedźwiedziej posesji*, dodatkowo obsadzonej tujami, biegał sobie wesoło biskoptowy labrador i co prawda czekał na mnie, ale raczej bez zbytniego przekonania. Ledwo znalazłem się na wysokości budynków gospodarczych, wydało mi się, że przeniosłem się w całkiem inny świat. Świat, który uchyliwszy mi już swoich drzwi, zdawał się zapraszać, żebym go odkrył i zachwyił się nim. Droga początkowo prowadziła w dół, pośród pól i łąk, a potem zaczęła wznosić się ku górze. Trasa z oświetlonej słonecznym blaskiem doliny wprowa-

dziła mnie w kępę drzew i krzewów, w której skrywał się wąwóz utworzony w lessowym gruncie. Miałem wrażenie, że przekroczyłem kolejne drzwi, które zaraz zamknęły się za mną, pozostawiając mnie samego wśród zacienionego korytarza.



Wąwóz w Kolonii

W niektórych miejscach jego ściany pokrywała bujna roślinność, a w innych z żółtej gleby sterczały korzenie drzew, niczym ptasie szpony strzygi, próbujące wciągnąć zbłąkanego wędrowca w podziemny świat i wypić jego krew. Wtedy przypomniła mi się książka popularnego autora literatury grozy - Stefana Dardy pt. *Dom na Wyrębach*, w której pojawia się ten kobiecy demon. Na ciele poczułem gęsią skórkę, a włosy jakby lekko mi się zjeżyły. Nacisnąłem mocniej na pedały. Trochę spokoju przyniosły promienie słoneczne przebijające się przez zielone sklepienie liści i rozlewające się jasnymi plamami po dnie wąwozu. Przedemną różnymi barwami mienił się już okrągły wylot tunelu.

Droga w wąwozie była utwardzona i bardzo przyjemna, bo dająca wytchnienie od upału panującego dookoła. Dalej jednak wznosiła się coraz bardziej i bardziej. Minąłem drogę wiodącą do Klocówki, określaną mianem *Rednicy*. Jazdę utrudniał lessowy pył, którego nie sposób było

uniknąć. Cały okurzony, ale szczęśliwy z osiągnięcia zamierzonego celu, stanąłem wreszcie na asfaltowej drodze prowadzącej przez Antoniówkę. Już po raz drugi zdarzyło mi się opuścić gminę Tarnawatka i tym razem stanąć na ziemi krynickiej, ale tylko na chwilę. Powód miałem jednak nie lada jaki, bo chciałem nacieszyć oczy najpiękniejszym widokiem miejsc i wsi, przez które przejeżdżałem podczas mojej podróży. Musiałem jeszcze podjechać kawałek w kierunku wschodnim, żeby stanąć w najbardziej dogodnym punkcie. Przede mną ciągnęły się paski pofalowanych pól, należące do Niemirówka-Kolonii i nazywane przez jej mieszkańców Wyrębami. Znowu zrobiło mi się nieswojo, bo to kolejna analogia do wspomnianej wcześniej książki Stefana Dardy. Uczucie niepokoju szybko minęło, bo mój wzrok przyciągał pejzaż, który roztaczał się dookoła. Niektóre pola błyszcząły już przeoraną, brunatną ziemią, inne żółciły się ścierniskami, a jeszcze inne zieleniły głębokim kolorem dojrzewającej kukurydzy. Wyraźnie rysowały się linie miedz, na których miejscami rosły sobie pojedyncze drzewa. Dwa wąskie pasma młodego lasu, odcinające się od opustoszałych już pól, sprawiały wrażenie, jakby przez nieuwagę pozostawił je na wykoszonej łące niezbyt doświadczony kosiarz. Z lewej strony widoku bronił porośnięty lasem garb. Za nim horyzont zamykało kilka linii lasu, wyraźnie odcinających się od siebie kolorem. W środku mojego pola widzenia znajdowały się zabudowania Niemirówka-Kolonii i Niemirówka. Za nimi pasmo łąk schodziło do błyszczącego lustra wody tarnawackich stawów. Wyraźnie widać było nawet kępy trzciny tworzących małe wysepki i groblę dzielącą dwa zbiorniki wodne. Całość delikatnie otulała wrześniowa mgła.





Stawy od strony Antoniówki

W miejscach takich jak to mógłbym stać i gapić się w przestrzeń przez wiele godzin. Trzeba było jednak ruszać dalej, a ja nie zamierzałem jeszcze wracać do Niemirówka-Kolonii, bo w Antoniówce chciałem odwiedzić cmentarz wojenny z 1939 roku. Wjechałem do Antoniówki. Zaraz za pierwszymi zabudowaniami tabliczka informowała, że aby dotrzeć do miejsca pamięci, należy skręcić w prawo. Cmentarz znajdował się kilkaset metrów dalej. Rosły na nim wysokie drzewa, które wyraźnie wskazywały kierunek jazdy. Całość otoczona została metalowym płotem. Centralne miejsce zajmowały pomnik wykonany z piaskowca oraz czarne tablice, na których umieszczono nazwiska pochowanych tutaj żołnierzy. Na oznaczonych betonowymi ogrodzeniami mogiłach stały rzędy białych krzyży. Złożono tutaj ciała blisko 500, w większości młodych ludzi. Historia bitew pod Tomaszowem Lubelskim jest dość dobrze znana. Ja zaś pozwolę sobie przytoczyć relację naocznego świadka tamtych tragicznych wydarzeń, nieżyjącej już dziś pani Krystyny Kawalec. Relacja ta ukazała się na łamach tarnawackiego miesięcznika *Co w Naszej Gminie* we wrześniu 2014 roku w numerze 12. Artykuł pt. *Wrzesień we*

wspomnieniach Krystyny Kobielarz napisany przez Mariana Zacharczuka przytaczam w całości.

„Dwie fazy bitwy pod Tomaszowem Lubelskim od 17 do 20 września i od 22 do 27 września 1939 roku historycy zaliczają do drugiej po bitwie nad Bzurą największej batalii kampanii wrześniowej. W pierwszej fazie bitwy uczestniczyły połączone Armie "Kraków" i "Lublin", dowodzone przez gen. Tadeusza Piskora. W drugiej bitwie walczyły wojska Frontu Północnego utworzone z Armii "Modlin", dowodzone przez gen. Stefana Dęba-Biernackiego.

Walki pod Antoniówką z 22 na 23 września 1939 roku toczono w drugiej fazie bitwy wspomina mieszkająca obecnie w Tarnawatce 92-letnia pani Krystyna Kobielarz.

Kiedy wybuchła II wojna światowa, miałam 16 lat, o napaści Niemców na Polskę dowiedzieliśmy się z „kryształkowego radia” na słuchawki. Mój ojciec był dróżnikiem na drodze na odcinku od Bud do Tarnawatki. W pierwszych dniach września już wiedzieliśmy, że dzieje się coś niedobrego. W pobliżu „kamiennej szosy” spadły pierwsze bomby. Drogą na Tomaszów Lubelski i dalej na Lwów dzień i noc jechało wojsko i cywilne tabory. Z Antoniówki uciekliśmy z rodzicami do „brzezinek”, takiego niewielkiego lasu. Każdy myślał, że będzie tam bezpieczny. Wówczas nikt z nas nie wiedział, co to jest wojna i jak ocalić życie. Dla nas „brzezinka” była ocaleniem.

Szosa na Tomaszów Lubelski jechały niemieckie tabory tak, że nie można było przejść na drugą stronę drogi - wspomina pani Krystyna. 23 września Niemcy byli już prawie w każdej okolicznej wiosce, w Antoniówce także. Dokoła słychać było bitwę. Działa strzelały gdzieś w okolicach Dąbrowy Krynickiej i na łąkach w pobliżu Niemirówka. Pamiętam, jak rannych żołnierzy zbieraliśmy z niemirowskich łąk i przywoziliśmy do szopy w Niemirówku. Do dziś mam przed oczami obraz ciężko rannego młodego polskiego porucznika, który zdołał powiedzieć: „Mieszkam w Warszawie, dajcie znać mojej żonie i córce, że umieram. Nazywam się Karol.....”, niestety nazwiska już nie podał, zmarł z odniesionych ran.

Antoniówka broniła się, jak mogła - mówi pani Kobielarz. W nocy z 22 na 23 września do wsi nadeszła polska szpica, którą przyprowadził Paweł Kraska, za szpicą do Antoniówki wkroczyły polskie oddziały. To wtedy wojsko

przecięto niemiecki kabel telefoniczny z Tarnawatki chyba do Tomaszowa Lubelskiego, uniemożliwiając Niemcom wojskową łączność. Jeden z polskich oddziałów zaszedł Niemców od tyłu, od południa i doszedł do „brzezinki”, gdzie stały już niemieckie działa i wojsko. Drugi oddział wszedł do Antoniówki od strony Bud i wtedy żeby przepędzić Niemców podpalono zabudowania Łopuszyńskiego i Stanisława Pasiecznego, bo tam już stacjonowali Niemcy. Był to także znak, że polskie wojska mogą atakować niemieckie oddziały stacjonujące w pobliskim lesie. Podpalono także folwarczną stodołę i budynki Franciszka Szabrakowskiego, gdzie także stacjonowali Niemcy wraz z wojskowym taborem. Zaskoczeni Niemcy nagłym atakiem polskiego wojska wycofali się w stronę debrów ŻADROGI.

To wtedy pod „brzezinkami” żołnierze polscy starli się z Niemcami, między innymi na bagnety, i zdobyli Antoniówkę.

Jak oceniają historycy, „natarcie wojsk polskich na Antoniówkę wyparło na krótko Niemców, ale atak załamał się pod ogniem niemieckiej artylerii i karabinów maszynowych, oddziały polskie poniosły ciężkie straty”. Dodają także, że w I i II bitwie pod Tomaszowem Lubelskim w dniach 17 - 27 września 1939 roku poległo 1952 żołnierzy Wojska Polskiego, a 2171 zostało rannych.





Cmentarz wojenny w Antoniówce

Walki żołnierzy polskich pod Tomaszowem Lubelskim zostały upamiętnione napisem na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie. W gminie Tarnawatka żołnierskimi cmentarzami i wojskowymi kwaterami z września 1939 roku opiekują się Urząd Gminy oraz uczniowie szkół.”

Opuszczałem krynicką Antoniówkę tą samą drogą, którą do niej przybyłem. Towarzyszył mi trochę nostalgiczny nastrój, tym bardziej, że za chwilę miałem stanąć w miejscu, które również wiąże się z tragicznymi wydarzeniami września 1939 roku.

W Kaliszakach znów powitał mnie poznany już wcześniej labrador. Skręciłem w kierunku zachodnim i dojechałem do ostrego zakrętu, od którego w prawo odchodziła wąska dróżka. Przy jednej z bram zauważyłem kilku stojących mężczyzn. Tak więc, nie bez powodu miejsce to nazywane jest *stójką*, bo po prostu zbierają się przy nim miejscowi, żeby najzwyczajniej w świecie sobie pogadać. Ot, taka lokalna tradycja.



Pomnik w Niemirówku - Kolonii

Na zakręcie drogi powiatowej znajduje się pomnik z piaskowca, obok którego stoi wysoki, drewniany krzyż. Pomnik poświęcony jest pamięci polskich podchorążych poległych we wrześniu 1939 roku z rąk żołnierzy Armii Czerwonej. Co roku odprawiana jest tutaj msza w intencji zamordowanych żołnierzy.

Zgodnie z tym, co opowiadają mieszkańcy Niemirówka i Niemirówka-Kolonii, zdarzenie miało miejsce 26 września 1939 roku o świcie. Oddział Sowiecki idący od strony tzw. „Rednicy” (drogi Klocówka-Antoniówka) otoczył polskich podchorążych, nocujących w stodole w folwarku Niemirówek. Zginęło 14 podchorążych, których powiązano drutem, a następnie obrzucono granatami. Śmierci udało się uniknąć dwóm żołnierzom. Jeden z nich ukrył się w budzie psa, który był tak groźny, że nikt nie odważył się nawet do niego zbliżyć. Drugi, ranny podczas egzekucji, miał udawać martwego, a następnie zostać odratowany przez miejscowych. Tragedia nie wydarzyła się w miejscu, w którym dzisiaj stoi pomnik, tylko po drugiej stronie drogi, w pobliżu nieistniejącej już studni. Szczątki pomordowanych zostały pochowane w Niemirówku, a niedługo potem przeniesione na cmentarz wojenny

w Antoniówce. Słyszałem również, że oprócz podchorążych w Niemirówku zginęło także 3 oficerów. Grozę i przerażenie budzą niepotwierdzone informacje o tym, że obrzuceni granatami i powiązani żołnierze nie upadli od razu, tylko stali jak upiorne posągi. Wspomina się także o tym, że miejsce noclegu polskich żołnierzy miała wydać Sowiетom ludność narodowości ukraińskiej.

Zaraz za pomnikiem, na wysokim cokole, otoczona drewnianym płotkiem stoi figura Matki Bożej. Po drugiej stronie drogi znajduje się budynek dawnej szkoły w Niemirówku, a za nim, aż do stawów w Tarnawatce, rozciągają się pola i łąki.

Niemirówek

Miejscowość powstała pod koniec XV lub w XVI wieku w dobrach Łabuńskich. Pierwsza wzmianka o niej pochodzi z 1507 roku. Wieś należała do dóbr ziemiańskich, w odróżnieniu od Tarnawatki, która była królewską. Jako jej właściciele wymieniani są Oleśnicy, Głogowscy, a także od 1863 roku Józef Paszkiewicz, o którym wspominałem już przy okazji pisania o *Kaliszakach*. Udokumentowane są fakty, że pod koniec XVII wieku wybudowano tu cerkiew unicką, którą rozebrano w 1817 roku. Funkcjonowała tutaj także karczma. Od 1916 roku we wsi działała szkoła, zamknięta w okresie II wojny światowej. Swoją działalność wznowiła w roku 1944. W Niemirówku w czasie okupacji utworzono oddział partyzancki, wchodzący w skład Batalionów Chłopskich. Partyzanci z tej miejscowości brali udział w wielu akcjach, w tym w bitwie pod leżącym nieopodal Zaborecznem.

Spotkałem się z różnymi teoriami na temat pochodzenia nazwy wsi. Pierwotnie miała ona brzmieć Niemierow i pochodzić od czasownika w formie przeczącej *nie mierzyć*. Mogła też powstać od rzeczownika *mir*, czyli pokój, jako jego zaprzeczenie. Ktoś inny wiązał ją z Niemirowem obecnie leżącym na Ukrainie.



Pofałdowane pola Niemirówka

Pierwszą rzeczą, która rzuca się w oczy przy wjeździe do Niemirówka, jest duży budynek dawnej szkoły. Obiekt ten został oddany do użytku w 1999 roku. Zaraz jednak nastąpiła reforma systemu oświaty i część roczników odeszła do gimnazjum. Postępował także niż demograficzny, co doprowadziło w końcu do jej zamknięcia w 2012 roku. Po kilku latach gmina budynek sprzedała i obecnie stanowi on własność prywatną. Żeby być w zgodzie z faktami, należy dodać, że zarówno stara, jak i nowa szkoła leżały na gruntach Niemirówka-Kolonii.

Z górki, na której oglądałem pomnik zamordowanych żołnierzy, zjechałem bardzo ostrożnie, bo nie dość, że zaraz znajdował się bardzo ostry zakręt, to ja zamierzałem zjechać z drogi głównej i pojechać prosto, obok odrestaurowanego niedawno budynku dworskiego. Udało mi się i jechałem teraz na południe, w kierunku pól i łąk.

Cały teren podworski objęty jest ochroną, ponieważ wpisany został do ewidencji zabytków jako dwór pochodzący z roku 1935 oraz park. Pięknie prezentują się drewniany budynek, kryty gontem, niewiele

jednak ma wspólnego z tym, który stał tutaj pierwotnie. Tamten został całkowicie rozebrany, a w jego miejsce postawiono nowy.

W roku 1944 do budynków dworskich przeniesiono szkołę, działała tam aż do wybudowania nowego obiektu. Placówka miała duże osiągnięcia zarówno wychowawcze, jak i społeczne. Dorobiła się kilku wybitnych absolwentów, którzy o swojej dawnej szkole opowiadali na łamach biuletynu *Co w Naszej Gminie*. Przytaczam najciekawsze fragmenty tych wypowiedzi.

Wspomnienie nieżyjącej już siostry Heleny Pasiecznej urodzonej w Suminku, o księdzu profesorze Edwardzie Walewandrze (numer 30 z marca 2016 r.):

(...) Na ogół nauczycieli zawsze wspomina się dobrze, gdyż ma się świadomość, że nawet jeśli kiedyś kogoś przycisnęli, to dla jego dobra. To się rozumie dopiero po latach, z oddali. Znaczy to, że teraz możemy już tak o tym mówić. Oni dbali, by duch szkoły był taki jak powinien. Dwie nasze dawne nauczycielki, pani Zofia Kielar (dziś Byra) i pani Wiesława Pióro (dziś Gwozda), jeszcze żyją. Inni choć odeszli z tego świata trwają w naszej wdzięcznej pamięci, m.in. kierownik szkoły Józef Grabek, pan Zenon Pióro, nauczyciel geografii.

Niezapomnianym pedagogiem był ks. Tadeusz Boguta, proboszcz tarnawacki, który uczył nas religii. Szkoła leżała bowiem na terenie jego parafii. Kilkadziesiąt metrów od szkoły zaczynała się już parafia krasnobrodzka. Pierwszą Komunię św. i bierzmowanie przyjęliśmy więc wszyscy, również dzieci pochodzące z parafii krasnobrodzkiej w Tarnawatce. Każdy przyjazd ks. Boguty do szkoły był dla nas, dzieci, świętem. Wybiegaliśmy na jego spotkanie, gdy wiozący go na furmance konnej gospodarz (zawsze był to ojciec jednego z uczniów uczęszczających na religię) zajeżdżał przed szkołę. Jeśli ksiądz miał godzinę wolną, tzw. okienko, to siadał w ostatniej ławce klasy i się modlił, odmawiając brewiarz. Zachowywaliśmy się wtedy bardzo cicho. (...)

Nauczyciel Grabek urządził kiedyś dla chłopców wycieczkę rowerową do najbliższego kopca powstańców styczniowych w Wólce Łabuńskiej. Nie wszyscy mieli własne rowery. Do tych, którzy nie posiadali jednoślada, należał Edzio Walewander. Wypożyczył sobie stary, zdezelowany pojazd od swoich sąsiadów i dojechał bez przygód na miejsce. W drodze powrotnej jednak rower całkowicie wysiadł. Trzeba było go prowadzić, podczas gdy pozostali szybko odjechali.

Pamiętam, jak zmęczony powrócił przed szkołę. Do dziś widzę go, jak był dumny, że pojechał. Dla nas wszystkich taka kilkukilometrowa wyprawa to było wielkie wydarzenie. Po raz pierwszy chłopcy pojechali tak daleko! Głębokie patriotyczne przeżycie pozostało w ich sercu i pamięci.

Profesor dr hab. inż. Józef Kuczmaszewski, pochodzący z sąsiedniej Klocówki, wieloletni rektor Politechniki Lubelskiej, szkołę w Niemirówku wspominał w numerze 8 z maja 2014 r.

(...) to tutaj chodziłem do szkoły podstawowej. Lata szkoły to bardzo ważny czas, to wówczas w największym stopniu kształtuje się nasz stosunek do świata, do ludzi, także nasz system wartości, nasze marzenia i potrzeby. To szkolna klasa staje się pierwszą wspólnotą. Poznajemy rówieśników, ich charakter, poznajemy także nauczycieli, cieszy nas pierwsza wiedza i pierwsze umiejętności, bolą pierwsze porażki. Szkole i książce bardzo wiele zawdzięczam, proszę pamiętać, że w latach mojej edukacji (1958-1965) nie mieliśmy w domach telewizorów, komputerów, z reguły także dostępu do prasy. Bardzo dużo wówczas czytałem, to książka przede wszystkim pokazywała mi świat, jego piękno i problemy, uczyła kultury języka, pobudzała wyobraźnię. Zapach nowej książki wspominam jako jeden z najprzyjemniejszych zapachów dzieciństwa. (...)

Profesor dr hab. Sławomir Buryła, pracownik Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, przewodniczący Rady Naukowej Żydowskiego Instytutu Historycznego, również pochodzący z Klocówki, w numerze 14 z listopada 2014 o swojej edukacji w Niemirówku mówił tak:

Klasy były nieliczne, a chodziłem do "największej", bo liczyła aż... 15 uczniów. W oddziale mojego o rok młodszego brata była niemal o połowę mniejsza. Z tego powodu bardzo często lekcje odbywały się w systemie łączonym. Dziś z całą odpowiedzialnością twierdzę, że pomimo tego nauczyciele przygotowywali nas do szkoły średniej nie gorzej niż uczniów z większych miejscowości czy dużych miast - wspomina profesor. Myślę, że w małej szkole w Niemirówku poziom, jak na ówczesne warunki nauczania, był bardzo dobry. Zawsze uważam, że najwięcej zależy od samego ucznia.

W grupie osób, które chodziły do Szkoły w Niemirówku, znajdują się także: biskup Mieczysław Cisło, dr hab. Anna Pasieczna, profesor Instytutu Geologicznego w Warszawie, ks. Józef Nadłonek, Wiesława

Grabek-Woś, nauczyciel PSM I i II stopnia w Zamościu, dyrygent chóru „TARNA-VOX”, reżyser Marek Pasieczny z Krakowa.



Widok z Zamczyska

Obok ogrodzenia zatrzymałem się, żeby spojrzeć na stojący za nim budynek. Piękny, drewniany, kryty gontem obiekt stoi w miejscu, w którym kiedyś stały zabudowania dworskie. Po przeniesieniu szkoły cały teren został podzielony, a część z dawnym dworem sprzedana prywatnemu właścicielowi. Stare budynki zostały rozebrane, a w ich miejsce, pod nadzorem konserwatora zabytków, powstał ten, który mogłem właśnie oglądać.

Ruszyłem dalej, a moim celem było *Zamczysko*. Miejsce określane w ten sposób przez miejscowych, położone jest na niewielkim wzgórzu. Według krążących opowieści miał tutaj znajdować się zamek wybudowany jeszcze za czasów Kazimierza Wielkiego. Podobno fundamenty tej budowli widoczne były w połowie lat 60. XX wieku. Niestety zostały rozebrane i użyte do budowy drogi. Podczas badań archeologicznych, które przeprowadzono tu w latach 1995-1996, odkryto ślady dwóch budowli murowanych. Jedną z nich miała być kaplica o wymiarach 22x8 m, a drugą dwór o wymiarach 33x14-10m. Naukowcy określili, że budynki

powstały w XVI-XVII wieku, czyli o wiele później, niż królem Polski był Kazimierz Wielki.

Od drogi powiatowej przejechałem ponad 600 metrów i wjechałem na niewielki pagórek. Bardziej wskazywał on na wyrobisko piasku niż na pozostałości zamku. Ale czas zrobił swoje, a ja byłem w miejscu, w którym kiedyś taka budowla stała. Pomimo tego, że dzień był słoneczny, nad okolicznymi łąkami i laskami unosiła się delikatna mgiełka. Za to widok na odrestaurowany dwór i szkołę miałem naprawdę doskonały. Budyńki, na które właśnie patrzyłem, znałem bardzo dobrze, jednak patrząc na nie z tej perspektywy, stwierdziłem, że właśnie odkrywam je na nowo. Nagle, gdzieś od pobliskich stawów w Tarnawatce, dobiegł mnie przeciągły, basowy ryk. Za chwilę z drugiej strony odpowiedział mu kolejny. Była połowa września i trwało właśnie rykowisko. Zaskoczony byłem jednak tym, że byki jeleni wydają godowe odgłosy także w ciągu dnia. Zastanawiając się, czy samce w tym okresie bywają agresywne, czym prędzej ruszyłem w kierunku cywilizacji.

Większość domów Niemirówka, często określanego słowem *Stary*, położona jest po północnej stronie drogi łączącej Sumin z Krasnobrodem. Działki są tutaj bardzo wąskie, a zabudowa gęsta. Niekiedy ma się wrażenie, że na jednym podwórzcu w rzędzie stoi kilka domów i budynków gospodarczych. Niektóre stare domy stoją nawet prostopadle do ulicy, zapewne z tego względu, że inaczej nie udałoby się ich ulokować. Trudno się też dziwić, że siedziby ludzkie powstały w większości w tym miejscu, bo z drugiej strony teren jest podmokły i bagnisty i tylko nieliczni zdecydowali się wybudować na nim swoje gospodarstwa. Poza tym, z góry roztacza się wspaniały widok na okoliczne łąki. Gorzej pewnie bywa zimą, kiedy trzeba pokonać samochodem strome podjazdy. Na wielu podwórzach widoczne były lochy, które wkopane w wysoką skarpe ziemi, za nic nie chciały poddać się nowoczesności.

Wśród sporych tuż zauważyłem figurę. Otaczał ją drewniany płótek, a kamienny postument wieńczył metalowy krzyż. Postument składał się jakby z trzech elementów zwężających się ku górze. Na najniższym odczytałem napis, który brzmiał: *POD TWOJE OBRONE UCIEKAMY SIĘ ŚWIETA BOŻA RODZICIELKO*. W niewielkiej niszy umieszczono obraz

Matki Bożej Częstochowskiej. Środkowy element tworzył kapliczkę, w której znajdowała się figurka Matki Bożej. Najwyższa i największa część tworzyła podstawę metalowego krzyża. Całość zrobiła na mnie wielkie wrażenie i polecam wszystkim zatrzymać się w tym miejscu choć na chwilę. Nauczony doświadczeniem z *białą figurą* z Kunówki, postanowiłem kapliczkę obejść dookoła. Bingo! Było warto, bo na jednej z bocznych ścian znalazłem napis: *BOŻE BŁOGOSŁAW TYCH MIESZKAŃCÓW --- FUNDATORY TEJ FIGURY WŁOŚCIANIE WSI NIEMIRÓWKI DNIA 3 MAJA 1907 R.*

Ileż ciekawych rzeczy w tych kilkunastu wyrazach! Ile można z nich wyczytać! Widać, jak bardzo w naszej świadomości i tradycji zakorzeniona jest nazwa *figura*, której używa się w naszych okolicach dla określenia różnego rodzaju kapliczek. Dalej nazwa miejscowości napisana w ten właśnie sposób. Pomimo tego, że oficjalna nazwa wsi brzmi Niemirówek, to potocznie nadal używa się jej w formie żeńskiej jako Niemirówka. I po trzecie - chyba najważniejsze - data 3 maja 1907 r. Przecież wtedy Polska nie istniała od ponad 110 lat. Trwały rusyfikacja, germanizacja, wynaradawianie, zmuszanie do zmiany wiary, a włościanie z Niemirówki, w rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja, fundują figurę. I to jaką! Wyobrażam sobie, że w tamtych czasach musiała ona sporo kosztować, bo widać, że nie wykonał jej byle amator. Tylko podziwiać religijność, patriotyzm, przywiązanie do tradycji i upór polskiego chłopca.

Na kolejnej ścianie kapliczki odczytałem napis: *IMIE JEZUS MARIA JÓZEFIE ŚWIĘTY OSWIECAICIE NAS I ZBAWCIE NAS.*





Wiejskie klimaty

Z nieskrywanym podziwem rzuciłem ostatnie spojrzenie na piękną figurę i ruszyłem dalej. Po przeciwnej stronie drogi znajdowały się świetlica wiejska, a za nią plac zabaw. W oddali widziałem już przystanek autobusowy, na którym miałem zrobić sobie mały odpoczynek. Podjechałem bliżej kolorowego budyneczku i zobaczyłem, że na łące obok pasie się kilkanaście krów. Ot sensacja, jeszcze nie tak dawno temu pomyślałaby większość osób. Jednak dziś już nie jest to takie oczywiste, przynajmniej w naszych okolicach. Nawet jeżeli rolnicy hodują krowy, to rzadko widać je na pastwiskach. Niemirówek łąkami stoi, więc są jeszcze

i krowy. Odruchowo odpiąłem telefon, żeby zrobić zdjęcia, a tu pojawił się i gospodarz. Zobaczywszy, co zamierzam zrobić, niby żartem rzucił, że za zdjęcie należy się po pięć złotych od sztuki. Zaskoczony zdążyłem tylko powiedzieć - dzień dobry, a ten uśmiechnął się i poszedł w swoją stronę. Trochę skonsternowany siadłem na przystanku, a obok towarzyszyło mi stadko krów zajadających się smakowitą trawą. Musiałem wzbudzić w nich pewne zainteresowanie, bo przyglądały mi się uważnie. Kiedy odjeżdżałem, jedna z nich raczyła nawet obejrzeć się za mną nieco zdziwionym spojrzeniem. Może nawet smutnym.

Na końcu wsi, w pewnym oddaleniu od drogi widziałem budynek ujęcia wody, z której korzystają mieszkańcy całej okolicy. Kiedy przejechałem dwa zakręty, moim oczom ukazała się tablica informująca o tym, że przejechałem właśnie cały Niemirówek.

Klocówka

Wjeżdżając do Klocówki, miałem w pamięci słowa, jakie o swojej maleńkiej wsi wypowiadali, przywołani przeze mnie przy okazji pisania o szkole w Niemirówku, profesorowie pochodzący z tej miejscowości.

Jadąc do Klocówki, widzę, także piękno przyrody Gminy Tarnawatka. Może mieszkając tutaj, nie widzimy tego tak ostro, ale wiem, co mówię. Łaskawy los pozwolił mi zobaczyć „kawatek świata” - Józef Kuczmaszewski.

Po miejscu urodzenia, miejsce i miasto studiów będą zawsze najpiękniejsze. Myślami jednak najczęściej wraca się do stron rodzinnych. W tym sensie nie jestem ani z Torunia, ani Olsztyna czy Warszawy, gdzie spędziłem znaczną część swojego życia, ale z Zamojszczyzny, z małej wsi KLOCÓWKA. Jest trochę tak, że dzielę Polskę na północ i południe. Od ponad dwudziestu lat mieszkam na północy naszego kraju. Najpierw w Toruniu, a obecnie w Olsztynie. Wolę jednak południe! Bardzo lubię Zamojszczyznę! Gdy jadę z Olsztyna, to już w Lublinie czuję się jak u siebie. To, co mnie tu urzeka, to ludzie. Są jacyś inni, bardziej otwarci, ciepli i bezpośredni. Poza tym w małych miejscowościach i wsiach czas jakby się trochę zatrzymał i płynie zdecydowanie wolniej.

Pomimo tego, że od lat mieszkam w dużych miastach, lubię wieś. Żałuję, że brak mi czasu, by częściej odwiedzać rodziców w KLOCÓWCE. Bywa, że uda mi się przyjechać w czasie świąt. Tęsknię za swoją KLOCÓWKĄ i zrobię wszystko, żeby przyjeżdżać tu częściej - Sławomir Buryła.

Żeby poczuć klimat miejscowości, warto także zapoznać się z wierszem mieszkającej tutaj, emerytowanej nauczycielki i poetki Jadwigi Kuczmaszewskiej pt.

MAŁA OJCZYZNA.

*Rzędy wysmukłych przydrożnych topoli
Prowadzą cię łagodnie
w rodzinne strony.
Mijają łąny złocistych zbóż
zielonych łąk pachnących ziołami
różnobarwne ogrody kwiatowo-warzywne
Cieszą oko, są takie pożywne
Widzisz też zagajnik
z kobiercem wiosennych przyłaszczek
i fiołków, gdzie słuchałeś
wieczornych koncertów małego słowika
przy wtórze żabiego chóru
naturalnych mieszkańców
brzozowego zagajnika.
Dalej płynie rzeczka
przez łąki kwieciste,
w głębi las ciemnieje
W nim grzyby, jagody*

*i powietrze czyste
Roztacza uroki ta mała ojczyzna
gdy wracasz z daleka
zmęczony, przygaszony
Ona przywraca ci radość dzieciństwa
zrelaksuje, odstresuje
poczujesz się odmieniony
Bardzo mała kropka
w wielkiej mapie świata
mieści w sobie twoje
najszczęśliwsze lata.*

Nazwa wsi pojawia się pierwszy raz w 1811 roku. Istnieją różne teorie dotyczące jej pochodzenia. Jedni uważają, że wywodzi się od słowa *kloc* i oznaczałaby wieś założoną na porębie z pozostałymi jeszcze pniakami, klocami. Inni uważają, że pochodzi od nazwiska rodziny Kloców, którzy mieli tutaj zamieszkiwać. Mnie zaś kojarzy się z drogą z kocich łbów i wrażeniami, jakie odczuwali jadący nią podróżni. W połowie lat 70. zdarzało mi się przejeżdżać autobusem przez tę wieś i pamiętam, jak ludzie mówili, że to prawdziwa K l o c ó w k a. Teraz to już tylko moje dawne wspomnienie, niemające nic wspólnego z rzeczywistością, bo jechałem równą, asfaltową szosą.

Droga powiatowa przebiegająca przez wieś zdaje się dzielić ją na dwie części: północną – pagórkowatą i południową – której teren jest już płaski i położony w dolinie płynącego w pobliżu Wieprza. Pozostały jeszcze topole, o których pisała J. Kuczmaszewska, choć już nie w takiej ilości jak pierwotnie. Zaraz za tablicami drogowymi, wskazującymi koniec Niemirówka i początek Klocówki, po lewej stronie, w sporej odległości od drogi, położona jest Kolonia Klocówka. Osada ta powstała w 1905 roku, kiedy to kilkanaście rodzin z Płusów i Aleksandrowa kupiło tutaj ziemię i zamieszkało na niej. Pierwsze wzmianki o samej miej-

scowości pochodzą z roku 1811 i znajdują się w krasnobrodzkich aktach stanu cywilnego, gdyż Klocówka należała i nadal należy do tej parafii. W roku 1845 we wsi istniała karczma należąca do Petroneli Głogowskiej. Karczma nosiła nazwę Klocówka albo Młynki.



Figura Głogowskich

Spoglądając na Kolonię i położone naprzeciwko niej wzgórze, dojechałem do kępy bzów, które otaczały kolejną już przydrożną figurę. Na kamiennym postumencie ustawiony został potężny krzyż z wizerunkiem Chrystusa. Napis na postumencie brzmiał: *O.M. GŁOGOWSCY D. 14 LISTOPADA 1888 R.* Zapewne inicjały oznaczają Michalinę i Onufrego Głogowskich, którzy byli właścicielami zarówno Niemirówka, jak i Klo-

cówki. Podobnie jak w innych wsiach, tak i tu widać było, że ludzie dbają o takie miejsca i odwiedzają je regularnie. Sprawdziłem oczywiście, czy z tyłu postumentu nie ma napisów, i ruszyłem dalej.

Niedaleko ujrzałem opuszczone gospodarstwo, przy którym ktoś zgromadził bele słomy. Patrząc na to obejście, stwierdziłem, że drewniany dom, stojący w prawdziwym gąszczu roślinności, raczej do zamieszkania nie będzie się nadawał. Usytuowany z tyłu murowany budynek gospodarczy być może ktoś jeszcze będzie w stanie wykorzystać. Przed zakrętem minąłem wysoki drewniany krzyż, obrośnięty tujami. Rosnące za nim brzozy połyskiwały w blasku wrześniego słońca żółknącymi liśćmi. Po drugiej stronie drogi zagajniczki modrzewiowe również szykowały się do jesieni, zmieniając barwę porastających je delikatnych igiełek. Przedemną pojawiła się tablica oznajmiająca, że właśnie zaczyna się teren zabudowany. Po lewej stronie wyraźnie rzucał się w oczy duży, piętrowy budynek świetlicy, służący także miejscowej Ochotniczej Straży Pożarnej. Tuż obok, przy wąskiej asfaltowej drodze, znajdował się plac zabaw.

Klocówka, chociaż jest małą wsią, sprawiła wrażenie, jakby miała trzy wyraźnie zaznaczone i oddzielone od siebie dzielnice. Pierwsza to Kolonia, o której już wspominałem, druga to część za świetlicą, a trzecia położona przy drodze powiatowej przez wieś i zaczynająca się za skrzyżowaniem z *Rednicą*. Nazwą tą określa się polną drogę biegnącą od Kunówki aż do Antoniówki. I właśnie widniejący przede mną krzyż wskazywał, że *Rednica* jest tuż, tuż. Postanowiłem przejechać chociaż kawałek tej drogi, która krojąc w poprzek liczne pola, wspina się na jedne z większych wzniesień znajdujących się w okolicy. Próbowałem nawet odnaleźć, skąd wzięła się taka nazwa, jednak żadne z dostępnych mi źródeł o niej nie wspomina. Może słowo *rednica* wzięło się po prostu od wyrazu *średnica*, bo dzieli pola na pół? To jednak tylko moja teoria, trochę intuicyjna, gdyż nie została poparta żadnymi badaniami.

Jeszcze do niedawna *Rednica* przysparzała mieszkańcom i przejeżdżającym przez wieś podróżnym sporo kłopotów, szczególnie po intensywnych opadach deszczu. Jak nietrudno się domyślić, spływały nią potężne ilości wody i błota, powodujące okresowe zamulenia drogi po-

wiatowej. Sytuacja zmieniła się, kiedy część wąwozu, przez który początkowo przechodzi, została utwardzona, a przydrożne rowy oczyszczono i także utwardzono. Czas jednak mija i pewnie niedługo niesforną *Rednicę* znów trzeba będzie remontować.



Wjazd na Rednicę

Za udekorowanym i obsadzonym kwiatami krzyżem skręciłem w prawo. Widok, jaki ukazał się przede mną, też przypominał kształt krzyża, tylko położonego na ziemi. Takie wrażenie dawały linie drzew, co prawda nieregularne i niewidoczne w całości, ale jednak. W moim kierunku wysuwała się dłuższa pionowa belka, którą tworzyła roślinność wąwozu. Dalej widnokraj zamykały poziome ramiona drzew porastających okoliczne pagórki. Forpocztę drogi wbijającej się łagodnie we wzgórze stanowiły dwie brzozy. Dalej drzewostan był już bardziej zróżnicowany. Miałem przed sobą prawdziwy plan filmowy, który można byłoby wykorzystać do kręcenia scen dziejących się w najróżniejszych epokach. Żadnych znaków cywilizacji widać nie było, jeżeli nie liczyć ledwo co widocznej, betonowej nawierzchni drogi. Może to wcześniejsze

skojarzenia z krzyżem nasunęły mi na myśl, że za chwilę z wąwozu wyłoni się grupa pątników zmierzających do nieodległego już Sanktuarium Matki Bożej Krasnobrodzkiej. Na ich przedzie będzie szedł mężczyzna z długą, płową fryzurą i obfitymi wąsami, dumnie niosący krzyż. Za nim kilkadziesiąt osób, wśród nich kobiety z dziećmi, śpiewających nabożną pieśń. Wszyscy w lnianych, jasnych ubraniach. A może z wąwozu wyjedzie furmanką Żyd, taki jak Szymszel z Kurzy, postać występująca w *Nocach i dniach* Marii Dąbrowskiej. Na jego wozie ciągniętym przez zabiedzoną szkapę zobaczę leciwą już Barbarę Niechcic, starającą się uciec przed ogarniającą świat pożogą wojenną.

Nic takiego jednak się nie wydarzyło, nie było filmu i nie przeniosłem się nagle w czasie do innej epoki. Wjechałem w *Rednicę*. Ściany wąwozu stale się podwyższały. Bezwiednie porównywałem to miejsce z podobnym, niedawno odwiedzionym, na trasie z Niemirówka-Kolonii do Antoniówki. Pomimo tego, że wszystko sprawiało wrażenie bardziej dzikie, nie miałem jakichś negatywnych odczuć. Wręcz przeciwnie! Z ciekawością patrzyłem na otaczający mnie gąszcz, zza którego ledwie wyglądały niebieskie skrawki nieba. Topole zaczynały już zrzucić liście, które stopniowo na ziemi układały się w kolorowy kobierzec, momentami rozświetlany promieniami słonecznymi. Czułem się trochę jak prawdziwy celebryta, stąpający po specjalnie dla niego rozłożonym dywanie.



*Wąwóz*

Droga zaczęła się bardziej wspinać pod górę, a rzadziejące drzewa i powiększająca się szczelina światła sygnalizowały, że wąwóz zaraz się skończy. U jego wylotu, na prawie pionowych ścianach, stały grube pnie drzew. Widać, że dla przyrody nie ma rzeczy niemożliwych. Człowiekowi zostaje tylko odkrywać te małe cuda natury i zachwycać się nimi. Przecież jest ich tak wiele, wystarczy tylko chcieć dostrzec piękno w małych, zdawałoby się prozaicznych, rzeczach.

Dalej droga prowadziła wśród wysokich traw i drzew gdzieniegdzie pojawiających się na jej skraju. Tym razem do Antoniówki nie pojechałem, ale wycieczka *Rednicą* i powrót do Niemirówka-Kolonii wydały mi się ciekawą propozycją na kolejny wyjazd.

Zatrzymałem się po wyjeździe z wąwozu. Z pagórka roztaczał się widok na pofałdowany teren, który w zachodniej części wyraźnie opadał. Wiedziałem, że tamtędy płynie niewielka rzeczka, stanowiąca dopływ Wieprza. W pobliżu mnie rosły krzaki jeżyny. Widziałem, jak w słońcu wygrzewają się dorodne jagody tego krzewu, czasami w naszych okolicach nazywane *dziadami*. Nie oparłem się pokusie i skosztowałem je. Były pyszne – słodkie i soczyste.

Pokrzepiony darmowym poczęstunkiem, ochoczo zjechałem z powrotem do wsi. Na wysokości skrzyżowania rósł młodnik modrzewiowy, który równą ścianą odcinał się od sąsiadującej z nim łąki. Plantacja desek – przeleciało mi przez głowę określenie, którego leśnicy bardzo nie lubią.



Modrzewiowy zagajnik

Skręciłem w prawo w kierunku Krasnobrodu. Za skrzyżowaniem zatrzymałem się przy murowanej kapliczce. W jej środku, za oszklonymi drzwiczkami ustawiono figurki i obrazki świętych. Całość przyozdobiono kwiatami. W gminnej ewidencji zabytków wpisano ją jako: kapliczka z krzyżem. Datę jej powstania określa się na 2. połowę XIX wieku.

Na skraju drogi rosła olbrzymia topola, na której gałęziach licznymi kulami zadomowiła się jemiola. Po drugiej stronie, trochę smutno, wyglądało opuszczone już gniazdo bocianie. Minąłem kilka nowych domów i powoli zbliżałem się do końca wsi. Moją uwagę zwróciło niezamieszkałe gospodarstwo. Od wschodniej strony drewnianego domu rosły potężne jesiony. Tuż przy nich stał stary, drewniany i pochylony krzyż. Obraz psuł tylko eternit, którym pokryte były wszystkie budynki. Kiedyś pewnie stanowił źródło dumy gospodarzy, a dziś jest niepożądanym reliktem minionej epoki. Może jednak jest nadzieja na powrót do życia tej posesji – pomyślałem, bo od strony drogi wybudowano nowe ogrodzenie z desek. Nawet bramę, według tradycji panującej w tych okolicach, wykonano ze sztachet szczelnie do siebie przylegających.



Gospodarstwo przy drodze do Krasnobrodu

Kolejne gospodarstwo stanowiło dla mnie kompletne zaskoczenie. Wyraźnie wyglądało na czyjąś daczę. Przed domem stała pomalowana na kolorowo furmanka na drewnianych kołach. Zgromadzono tam również dużo innych przedmiotów, mających tworzyć klimat tego miejsca. Nie sposób było nie zauważyć znów pełnej bramy, na której wymalowano pływające łabędzie. Nad nią znajdował się nawet rzadko już dziś spotykany daszek. Tylko ciągle ten nieszczęsny eternit i tabliczka na furcie z małą zachęcającym napisem.

Minąłem oznaczenie terenu zabudowanego i zbliżyłem się do rzeki, która spływała spomiędzy wzgórz położonych na północy, żeby za chwilę zasilić leniwie płynące po tutejszych łąkach wody Wieprza. Przy drodze leżały duże ilości bel siana, ściśle owiniętych białą folią. To znak, że w okolicy wciąż jeszcze hoduje się bydło. Bezwiedny uśmiezek pojawił się na moich ustach, kiedy mijałem kępę drzew, pod którą przyszło mi kiedyś przeczekać nagłą ulewę, jaka zaskoczyła mnie jadącego od Krasnobrodu do Tarnawatki. Zatrzymałem się wreszcie na moście. Na moście granicznym, rzec można, bo oddzielającym nie tylko Kłocówkę od Dominikanówki, ale także gminy Tarnawatka i Krasnobród oraz powiat tomaszowski od zamojskiego. Zaraz *za granicą* stało kolejne gniazdo bocianie. Przecież przyległe łąki to raj dla tych pięknych ptaków.

Oparty o metalowe barierki mostu patrzyłem, jak rzeka łagodnym nurtem płynie wśród zielonych traw. W oddali widać było dwa murki zamykające jej nurt. Musiało kiedyś funkcjonować tu jakieś urządzenie melioracyjne, a może nawet jakaś budowla.





Sielski krajobraz Klocówki

Zawróciłem, bo chciałem jeszcze odwiedzić trzecią *dzielnicę* Klocówki, tę położoną za świetlicą. I jako się rzekło, po przejechaniu około kilometra skręciłem w asfaltową dróżkę, biegnącą wzdłuż tej okazałej, jak na tak małą wieś, budowli. Zaraz za nią znajdował się niewielki staw. Za zakrętem drogi po raz kolejny otwierał się inny, bardzo urokliwy i dziś rzadko już spotykany świat. Pełne (deska przy desce) płoty i bramy przylegały prawie do samej jezdni. Kilka zachowanych jeszcze drewnianych domów tworzyło specyficzny klimat miejscowości wybu-

dowanej na małej przestrzeni. Przy jednej posesji stała odremontowana drewniana kapliczka. Ta również uwidoczniła została w ewidencji zabudowań jako: kapliczka domkowa z 2. połowy XIX wieku. Nad wszystkim zdawało się górować bocianie gniazdo, ulokowane na słupie energetycznym.

Dojechałem do niewielkiej zatoczki, gdzie kończył się asfalt. Miałem do wyboru albo zawrócić, albo przedzierać się przez pole do drogi powiatowej. Ponieważ było już po zbiorach, a w dodatku jedna z przyległych działek wydawała się nieużytkowana, wybrałem tę drugą opcję. Raz na wozie, raz pod wozem, jak mówi stare przysłowie - trochę jadąc, trochę pchając rower, wyjechałem na drogę wiodącą z Sumina do Krasnobrodu naprzeciwko drewnianego krzyża, stojącego na początku wsi.

Dąbrowa Tarnawacka

Kolejny etap swojego rajdu rowerowego przez gminę Tarnawatka rozpocząłem na cmentarzu wojennym w Dąbrowie Tarnawackiej. Miejsce to położone jest tuż przy drodze krajowej nr 17 po prawej stronie, jadąc w kierunku Tomaszowa Lubelskiego.

Według informacji podanych na znajdującej się przed wejściem tablicy cmentarz powstał w czasie I wojny światowej po roku 1915. Trochę to dziwne, bo największe walki na naszym terenie toczyły się w sierpniu 1914 roku. Opowiadała mi również mieszkająca w Tarnawatce-Tartaku pani Helena Mulawa, że zwłoki poległych żołnierzy zwożone były furmankami prosto z pól bitewnych, rozrzuconych po całej okolicy, a najczęściej ze wsi Zielone. Do tej pracy wyznaczani byli między innymi robotnicy zatrudnieni w tartaku, który w czasie działań wojennych został spalony. Wśród tych osób znajdował się także jej ojciec i z jego relacji poznała tę historię. Pani Helena była już naocznym świadkiem kolejnych tragicznych wydarzeń, które miały miejsce we wrześniu 1939 roku. Wtedy również zwożono zwłoki żołnierzy na cmentarz do Dąbrowy, a było ich tak wiele, że woda płynąca przydrożnymi rowami stała się czerwona.



Cmentarz wojenny w Dąbrowie Tarnawackiej

Kopiec ziemny, usytuowany po lewej stronie od wejścia, jest pozostałością pierwszych pochówków z czasów I wojny. Na znajdującym się tam krzyżu umieszczona została drewniana tabliczka, na której wyryto m.in. słowa: *Cześć bohaterom poległym za Polskę...* (pisownia oryginalna). Zawieszono ją w tym akurat miejscu z pewnością dość przypadkowo. Bo przecież nie bardzo wiadomo, jakiej narodowości żołnierze zostali tutaj pochowani. Mogiły ziemne z betonowymi krzyżami oznaczają miejsca spoczynku żołnierzy polskich, biorących udział w I bitwie pod Tomaszowem Lubelskim w dniach 17-20 września 1939 roku, których pochowano tutaj około trzystu. Na niektórych grobach znajdują się nawet tabliczki z danymi poległych. Jest jeszcze na cmentarzu jeden, nietypowy pomnik. Kamienny obelisk stoi pod płotem po prawej stronie. Kiedyś znajdował się na nim także napis wykonany metalowymi literami. Niestety padły one łupem hien cmentarnych, dla których żadne świętości nie istnieją. Warta opowiedzenia jest historia związana z jego powstaniem. Otóż, miała go przywieźć furmanką kobieta ubrana na czarno (najprawdopodobniej żona lub narzeczona pochowanego tutaj oficera armii austro-węgierskiej) i ustawić tę pamiątkę na jego grobie. Może sam

ten fakt nie byłby tak zaskakujący, gdyby nie to, że kobieta przyjechała aż z Czech.

Z cmentarza wyjechałem w kierunku wsi, która rozlokowała się po obu stronach drogi krajowej, chociaż tablica informacyjna kierunek wsi wskazuje tylko w jedną, zachodnią stronę. Skrzyżowanie znajduje się w niewielkim zagłębieniu terenu, przez co jest bardzo niebezpieczne. Z ruchliwej krajówki skręciłem w prawo. Przywitał mnie leśny tunel, na końcu którego widoczne były już zabudowania Dąbrowy.

Wieś powstała na początku lat 30. XX wieku z parcelacji należącego do Ordynacji Zamojskiej folwarku Wieprzowe Jezioro. Obecnie jest najmniejszą wsią w gminie. Pochodzenie jej nazwy nie jest trudne do odgadnięcia, bo miejscowość leży w lesie, a dla odróżnienia od sąsiedniej Dąbrowy Tomaszowskiej, tej nadano określenie Tarnawacka. Pierwotnie jednak nazwa brzmiała Kolonia Dąbrowa.

Przed inwazją na Związek Radziecki Niemcy, po wschodniej stronie obecnej drogi krajowej nr 17, wybudowali szereg baraków. W budynkach tych magazynowali broń i amunicję, której użyli do realizacji planu *Barbarossa*. Cały teren był pilnie strzeżony i stracił na znaczeniu po czerwcu 1941 roku. Polacy związani z podziemiem potrafili jednak dotrzeć do strażników magazynów i handlowali z nimi, zdobywając w ten sposób uzbrojenie. Pomimo likwidacji arsenału na miejscu pozostało wiele niebezpiecznych przedmiotów, które odnajdywane były jeszcze długo po zakończeniu wojny.

Wjechałem do większej, zachodniej części wsi. Zabudowa jest dosyć rzadka i znajduje się po obu stronach drogi. Pod koniec ubiegłego wieku i na początku obecnego funkcjonował tutaj zakład przerobu drewna. Później, w związku z rozwojem firmy, właściciele przenieśli produkcję do innej miejscowości. Początek działalności rodzinnej spółki związany był jednak z rolnictwem, a konkretnie z uprawą tytoniu. W latach 80. XX wieku Dąbrowa Tarnawacka była miejscem, w którym uprawiano tę roślinę na dużym areale i w sposób, jak na tamte czasy, dość nowoczesny. Z miejscem tym wiążą się także moje wspomnienia. Wśród zarobkowych zbieraczy liści tytoniu w roku 1984 znalazłem się i ja. Młody wówczas chłopak, zarabiający pieniądze na pierwszy poważ-

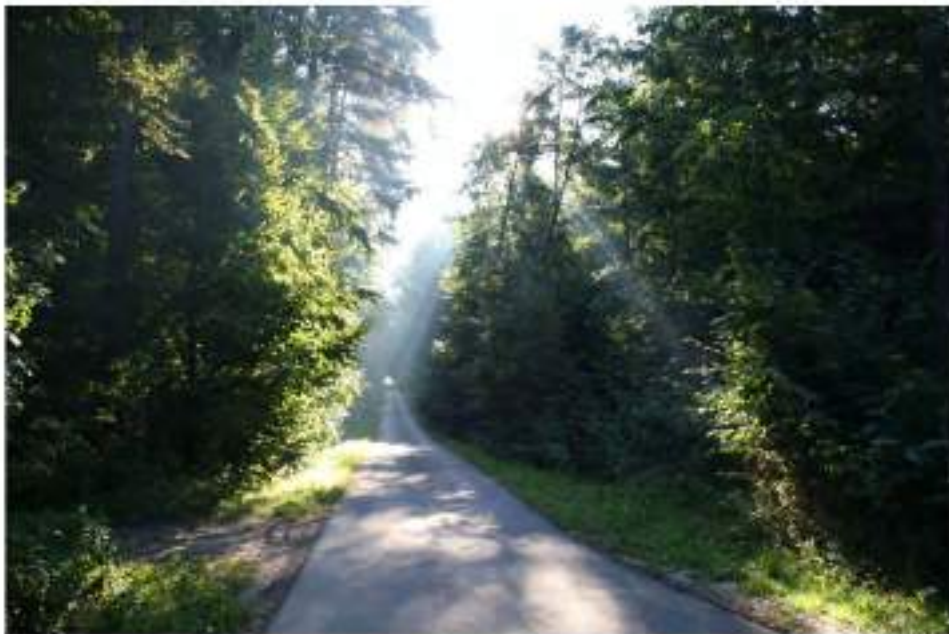
ny wypad rowerowy. Trasa o długości ponad 450 km przyniosła niezapomniane wrażenia, a pasja pozostała do dziś.

Przejechałem właśnie obok wyglądających na opuszczone budynków dawnego zakładu. Okoliczne pola zamykał las, tylko od strony północnej teren był otwarty, a nad nim górował tarnawacki znak rozpoznawczy - wieża radiowo-telewizyjna. Mijając kolejne zabudowania, dojechałem do miejsca, w którym droga rozchodziła się w trzech kierunkach. Tuż obok stał drewniany krzyż, a za nim plac zabaw. Trzeba było zawrócić, bo chociaż przy każdej dróżce znajdują się jeszcze pojedyncze gospodarstwa, dalszego przejazdu już nie ma. Miałem co prawda ochotę zobaczyć łąki, po których chodziłem dawno temu z pewnym *strategiem*, ale czas mnie gonił, bo we wschodniej części Dąbrowy miałem już umówione spotkanie. Użyłem określenia *strateg*, ponieważ był to człowiek opracowujący strategię rozwoju gminy. Pan zafascynowany był historią średniowiecza. Według jego koncepcji magnesem, który mógłby rozwinąć turystykę na terenie gminy, było wybudowanie kopii wczesnośredniowiecznej budowli, nawiązującej do Grodów Czerwieńskich. Jednym z miejsc, na którym ten obiekt miał powstać, były wspomniane wyżej łąki. Chodziłem z nim więc po zarośniętym i trochę bagnistym terenie. Oczami wyobraźni widziałem już wały ziemne i fosę otaczające drewniany zamek. Przy opuszczanej bramie stali wojowie odziani w skóry, trzymający w rękach długie włócznie. Łucznik na wieży bacznie obserwował okolice.

Jak to jednak z koncepcjami często bywa, tak i ta pozostała tylko na papierze. Dyskutując z panem od strategii, mówiłem mu, że nie ma dowodów na to, że na naszym terenie były jakieś osady związane z Grodami Czerwieńskimi. Odpowiedział mi, że nie ma też dowodów przeciwnych. Powiedział jeszcze, że jeżeli gdzieś nie ma żadnych atrakcji, to trzeba je po prostu stworzyć.

Jadąc do drogi krajowej nr 17, szczególną uwagę zwracałem na prawostronną część lasu. Według lokalnych opowieści miały znajdować się tutaj zapomniane mogiły z I wojny światowej, w których pochowano żołnierzy austriackich. Co więcej, miejsce to miało być nawiedzane przez duchy, a swego czasu mieszkańcy zaczęli unikać go jak ognia.

Przejechałem siedemnastkę i znowu asfaltem jechałem przez las. Zatrzymałem się przy metalowym krzyżu, na którym odczytałem napis: Ś.P. JAN ILEK W TYM MIEJSCU ZGINĄŁ TRAGICZNIE 6.09.1944.



Droga do Dąbrowy

Wiadomo na pewno, że krzyż upamiętnia tragiczną historię, która wydarzyła się tutaj latem 1944 roku. Młynarz z pobliskiej Tarnawatki-Tartaku Jan Ilek jechał wraz z żoną i córką po siano. W miejscu, w którym stoi krzyż, wóz najechał na minę. Ilek został rozerwany, a żonie i córce udało się przeżyć. Sytuacja była dosyć dziwna, bo droga była uczęszczana, a właśnie jemu przydarzyło się takie nieszczęście. Zaczęto snuć różne domysły. Jedna z wersji mówi o tym, że mogła to być zemsta na młynarzu. Podobno przed tym wydarzeniem został napadnięty i obrabowany. Potem głośno odgrażał się, że wie, kto to zrobił. Jego śmierć miała być zemstą i próbą uciszenia niewygodnego świadka. Po tym zdarzeniu rodzina młynarza wyjechała na stałe z Tarnawatki-Tartaku.

Pierwotnie ustawiono tutaj krzyż drewniany. Miejscem tym cały czas opiekowała się jedna z pobliskich mieszkanek, a kiedy drewno zmurszało i przewróciło się, ktoś inny postawił metalowy krzyż, który stoi do dziś. Jeszcze do niedawna, przynajmniej raz w roku, ktoś z krew-

nych Jana Ilka zjawiał się w Dąbrowie i przy krzyżu składał wieńce i zapalał znicze.

Dojechałem do drugiej części Dąbrowy. Tej wschodniej, o której drogowcy jakby zapomnieli, nie oznaczając jej odpowiednim drogowskazem. Po niecałych 400 metrach, na ostrym zakręcie, pojechałem w prawo. Domy leżały tutaj tylko po jednej stronie drogi, bo z drugiej niepodzielnie królował las, w przeważającej mierze liściasty. Moim celem było przedostatnie gospodarstwo, należące do Mariana Chmiela. Umówiłem się z nim na rozmowę, ponieważ jest on jednym z ostatnich garncarzy w okolicy.

Zanim gospodarz zaprowadził mnie do swojej pracowni, zapytałem go o historię jego rodziny. Usłyszałem, że do Dąbrowy Tarnawackiej, wówczas Kolonii Dąbrowa, sprowadzili się jego ojciec i stryj w połowie lat 30. XX wieku. Tutaj kupili pola i wybudowali domy. Ich ojciec też był garncarzem, podobnie jak i jego ojciec. Przed przybyciem w te strony mieszkali w hrubieszowskim, a rodzina pochodzi z okolic Bochni w Małopolsce.

Idąc w kierunku pracowni pana Mariana, zapytałem go, jak się mieszka w miejscu, w którym za sąsiada ma się las?

Mieszkanie koło lasu to kwestia przyzwyczajenia. Czasami odwiedzający mnie turyści pytają, jak tu jest w zimie, na pewno nie można dojechać. A ja wtedy mówię, że jeszcze się nie zdarzyło, żebyśmy nie mogli przejechać, bo droga jest odśnieżona na czas. Tu jest nawet lepiej jak gdzie indziej. Nie ma warkotu i szaleńczej jazdy samochodów. Cisza i spokój. Kiedy moja żona pierwszy raz zobaczyła to miejsce, zastanawiała się, jak będzie tu mieszkać. Dziś mówi, że nie zamieniłaby go na żadne inne.

Las ma też inne zalety. Bardzo lubię zbierać grzyby. Jak jeszcze zdrowie mi dopisywało, w czasie ich wysypu chodziłem na nie codziennie. Najlepsze miejsca znajdują się jednak po drugiej stronie szosy. Zbieram głównie prawdziwki, podgrzybki, kurki i kozaki. Na podmokłych terenach w pobliżu parkingu leśnego rodzą się piękne kozaki z czerwonymi kapeluszami.

Tak gawędząc, dotarliśmy do pracowni. Kiedy otworzyły się przede mną drzwi starej chałupy, wydawało mi się, że przeniosłem się

w czasie. Okazało się, że miejsce to nie jest *tylko* pracownią, ale także małym muzeum. W izbie stał stary stół z równie wiekowi krzesłami. Obok sofka, czyli drewniana ława z dużym, zamykanym pojemnikiem, który kiedyś, wyścielony słomą, mógł służyć także za posłanie. Na półkach poustawiano dawne przedmioty codziennego użytku typu: niecki, żelazka, zegary, butle, maselniczki, lampy naftowe. Królowały jednak rękodzieła wykonane z gliny: garnki, doniczki, talerze, gwizdki, popielniczki. Przy szerokich ławach, ustawionych przy ścianach, zamontowane były dwa koła garncarskie. Przy jednym z nich zasiadł pan Marian i rozpoczął swoją opowieść o tym zanikającym już zawodzie.

Garncarstwa nauczył mnie ojciec. Do dziś mam koło, przy którym pracowali mój ojciec i dziadek. Kiedyś z garncarstwa żyła cała nasza rodzina, to był bardzo opłacalny interes. Najlepiej, i to setkami, sprzedawały się gliniane doniczki, garnki na mleko, dwójaki na ziemniaki i zsiadłe mleko oraz gliniane donice, tzw. „makutry” do wyrabiania ciast i świątecznej kutii. Zawsze dużym powodzeniem cieszyły się gliniane ptaszki i dzwoneczki. Gospodynie wiejskie wiedziały, że mleko najlepiej przechowuje się w glinianym garnku. Zsiadłe mleko z takiego garnka kroić można nożem. Mój ojciec nie dość, że prowadził warsztat, to szkolił jeszcze uczniów. Kilku z nich stało się naprawdę dobrymi fachowcami.

Garncarzem trzeba się urodzić i być wszechstronnie uzdolnionym. Trzeba być plastykiem, projektantem, znawcą gliny, znać także parametry drewna, którym pali się w piecu, bo nie każde się do tego nadaje. Z gliny, z której wypalane są garnki, nigdy nie wypali się cegły i odwrotnie. Glina, z której robię swoje garnki, pochodzi z okolic Tarnawatki. Tajemnicą każdego rzemieślnika jest to, skąd ona pochodzi. Proces wypalania gliny to całkowicie inna i skomplikowana sprawa. Po uformowaniu garnków suszy się je na półkach, następnie polewane są specjalnymi polewami i dopiero potem wypalane w temperaturze 800 stopni Celsjusza. W piecu pali się wyłącznie specjalnie dobranym drewnem sosnowym. Po wypaleniu garnki stygną i dopiero wtedy są gotowe do użycia. Dziś garncarstwo to tylko hobby, bo glinę zastąpił wszechobecny plastik. Kiedyś z garnkami jeździło się na targi odbywające się w całej okolicy. Jak jechałem na przykład we wtorek do Łaszczowa, to nocowałem u kuzynów, bo zaraz w środę był jarmark w Tyszowcach. Nawet w czasach, kiedy nasze wyroby dobrze się sprzedawały, nie był łatwo. Ścigali nas wtedy milicja. Kiedyś nawet chcieli mi wlepić mandat, ale go nie zapłaciłem. Sprawę załatwiła moja mama, która pojechała do Toma-

szowa i pokazała milicjantom zezwolenie z podpisem samego szefa Wydziału Finansowego.



Marian Chmiel przy kole garncarskim

Garnki wyrabialiśmy w dużych ilościach. Jako młody chłopak pomagałem ojcu w warsztacie. Wiek miał jednak swoje prawa i chciałem też spotykać się z kolegami. Kiedyś powiedziałem ojcu, że chciałbym wyjść z domu, a ten pozwolił mi pod warunkiem, że zrobię 100 garnków. Nie było łatwo, bo to ciężka praca. Najpierw trzeba było przygotować glinę, a potem to wszystko zrobić, ale udało mi się i wieczorem mogłem spotkać się z kolegami.

Swoje wyroby wystawiałem na Jarmarku Hetmańskim w Zamościu, skierbieszowskim „Kilianie”, na wystawie hodowlanej w Sitnie, a także na różnych imprezach w Tomaszowie Lubelskim. Na takie okazje mam specjalne koło, które wożę ze sobą. Zapraszano mnie do stadniny w Dąbrowie Tomaszowskiej, gdzie odbywały się specjalne pokazy lepienia garnków. Kilkanaście lat temu postanowiłem zrobić u siebie takie miejsce, w którym będę mógł pokazywać, jak lepi się garnki dla odwiedzających mnie turystów. Z sąsiedniej wsi ściągnąłem tę starą chatupę, w której jesteście. Złożyłem ją sam, tylko przy kryciu dachu pomagał mi brat. Przy okazji warsztatu znalazło się też miejsce na małe muzeum, w którym mogę pokazać różne eksponaty. Jako ciekawostkę powiem, że w gablocie umieściłem uschnięte gałęzie sosny Grottgera, która rośnie w Dyniskach koło Ullhówka. Pod tym drzewem słynny malarz Artur Grottger miał spotykać się ze swoją narzeczoną Wandą Monne.

Przed warsztatem urządziłem też miejsce, w którym odwiedzający mnie goście mogą sobie odpocząć, posiedzieć przy ognisku. Odwiedzają mnie szkoły, grupy zorganizowane i osoby indywidualne. Kiedyś nawet poproszono mnie, żebym dla warsztatów terapii zajęciowej wykonał koło garncarskie. Zrobiłem je i teraz służy ludziom niepełnosprawnym. Ostatnimi laty trochę chorowałem, ale wszystko wróciło już do normy. Żeby jeszcze skończyła się ta pandemia, to można będzie dalej lepić garnki i wprowadzać ludzi w arkana tego pradawnego rzemiosła.

Tymi słowami opowieść o garncarstwie zakończył, mający już sporo po siedemdziesiątce, pan Marian Chmiel. Muszę jeszcze z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że do wszystkich talentów garncarza z Dąbrowy Tarnawackiej dodać należy wspaniałe gawędziarstwo. Takich ludzi można słuchać i słuchać. W jego słowach czuje się i pasję, i szczerść, i prawdziwą zyczliwość do drugiego człowieka i otaczającego świata.

Dziękując za wspaniałą lekcję rzemiosła, zapytałem jeszcze, czy uda mi się przejechać rowerem do siedemnastki przez las. Trochę zaskoczony usłyszałem: *Kiedyś u nas każde gospodarstwo miało swoją drogę w lesie. Pewnego razu przyszedł gajowy Kiszczyński i powiedział: „Zobaczycie już niedługo, że lasy będą pozamykane na kłódkę”. Jak to możliwe? - zdziwiliśmy się. No i tak się stało. Postawiali szlabany, pokopali rowy i lasy zostały zamknięte.*



Pasieka w Dąbrowie

Postanowiłem zaryzykować i spróbować przedrzeć się przez las. Przejechałem obok dużej pasieki ustawionej przy ostatnim gospodarstwie. Kiedyś gdzieś w tym miejscu mieszkała rodzina Skrzyńskich. W czasie wojny trzech braci: Czesław (Bąk), Eugeniusz (Odrzask) i Władysław (Odwrzask) należało do konspiracji. Służyli w kompanii gajowego Bomby z Dąbrowy. Historia ich walki to gotowy scenariusz filmu wojennego, w którym główną sceną mogłaby być ucieczka Czesława z więzienia w Zamościu, w której zorganizowaniu pomógł mu niemiecki strażnik. Najmłodszy z braci Eugeniusz swoją służbę w partyzantce przypłacił życiem. W 1943 roku został zastrzelony na posterunku w Tarnawatce. Miał ledwie 17 lat.

Udało mi się jednak przejechać przez las. Szlabany czy rowy dla rowerzysty nie stanowią większego problemu, więc dotarłem do drogi krajowej i wjechałem na leśny parking. Las w Dąbrowie słynie z rosnących w nim prawdziwków. Kiedy następuje wysyp grzybów, na tym śródleśnym postoju nie znajdzie się wolnego miejsca. Dziś jednak było pusto, to znak, że grzybów nie ma.

Moim następnym celem miał być Pańków. Ponieważ nie lubięjechać i wracać tą samą trasą, wybrałem nietypową drogę. Od parkingu pojechałem leśną drogą do Szarowoli w gminie Tomaszów Lubelski.

Pańków

Jadąc do Pańkowa, w Szarowoli, za szkołą skręciłem w prawo, w kierunku Tarnawatki-Tartaku. Po kilkuset metrach przejechanych wokół łąk i pól wjechałem w las. Miejscowi nazywają go *Batorowa Sośnina*, chociaż oficjalna nazwa brzmi: Batorowa Sośnica, która pochodzić ma od nazwiska Bator i lasku sosnowego. Na niewielkim wzniesieniu las ustąpił miejsca polom, a moim oczom ukazały się zabudowania wsi, a właściwie jej części nazywanej Gromada. Nazwa wywodzi się najprawdopodobniej od zespołu osadników lub określenia panujących tu stosunków społeczno-własnościowych, czyli wspólnej własności.

Pierwsze wzmianki o miejscowości pochodzą z 1548 roku. Właśnie wtedy król Zygmunt August nadał przywilej dla sołtysa wsi Adnuczka i jego braci. Sołtys Adnuczek wydzielił sołectwo obejmujące dwa łany, zagrodę oraz staw. Przywilej ten aprobował w 1775 roku Stanisław August. Nazwa wsi ma się wywodzić od ukraińskiego *Pańko*, czyli zdrobnienia od imienia Opanas (polskie Atanazy) lub Pantalejmon. Jest także druga wersja, również związana z imieniem, ale tym razem polskim – Pankracym. Przeważa jednak pogląd, że właściwa jest ta pierwsza, gdyż wieś założono na prawie wołoskim. Na austriackiej mapie Galicji i Lodomerii z lat 1779-1782 miejscowość określono jako *Bainkowce*. Chyba mało komu jest wiadome, że po odzyskaniu niepodległości istniały plany dotyczące zmiany nazw wielu miejscowości na terenie powiatu tomaszowskiego. Wśród nich znalazł się także Pańków, któremu Wydział Powiatowy w roku 1923 zamierzał nadać nazwę Piastów.

W 1970 roku Pańków został wpisany do rejestru zabytków. W miejscowości tej ochronie prawnej podlegają wody, drogi wiejskie oraz układy działek własnościowych, przyzagrodowych. Z uzasadnienia

decyzji konserwatorskiej można wyczytać następujące informacje: (...) *Układ gruntów i zabudowy wsi Pańków jest charakterystycznym planem wsi tzw. OWALNICZY, jednego z najstarszych typów wsi, unikalnego na terenie woj. lubelskiego. Układ ten jest przykładem historycznego planu wsi i zgodnie z obowiązującymi przepisami prawa stanowi zabytek.*

Układ wsi najlepiej prezentuje się z lotu ptaka. Można także spojrzeć na mapę gruntów, gdzie wyraźnie widać, jak działki odchodzą promieniście od centrum, którym jest staw położony w środku wsi.

Pierwszym miejscem, które chciałem odwiedzić w Pańkowie, był cmentarz. Na zakręcie drogi, przy pierwszych zabudowaniach skręciłem w lewo. Za ponad sto metrów droga rozchodziła się. W prawo wiodła asfaltowa jezdnia, którą można dojechać do Majdanu Małego w gminie Krasnobród. Kilka gospodarstw tej wsi terytorialnie leży jeszcze na gruntach Pańkowa, jednak mieszkańcy zameldowani są w Majdanie Małym. Jako ciekawostkę mogę podać, że zamieszkała przez nich część wsi nosi nazwę Tarnawatka. Żeby nie wpędzić kogoś w przysłowiowe *maliny*, dodam też, że asfalt położony został na odcinku ok. kilometra, a dalej jest niezbyt przejezdna droga gruntowa. Jeżeli kiedyś doczeka się utwardzenia, będzie mogła stanowić ciekawą alternatywę dojazdu do Krasnobrodu. Dla porządku trzeba też dodać, że jest to droga powiatowa. Obecnie najczęściej wykorzystywana przez leśników oraz rolników mających swoje działki na tzw. *Długich Polach*, czyli gruntach położonych za lasem, a ciągnących się aż do Majdanu Małego.

Chcąc dojechać do cmentarza, na rozwidleniu dróg musiałem odbić w lewo. Za chwilę zobaczyłem ogrodzenie i rzucające się w oczy już z daleka, stare nagrobki wykonane z piaskowca. Pierwotnie należał on do Kościoła Grecko-Katolickiego, a po jego skasowaniu w zaborze rosyjskim do wyznawców prawosławia. W 2005 roku cmentarz został ponownie uotwarty jako rzymsko-katolicki.

W 1939 roku Pańków znalazł się w ogniu walk toczonych w I bitwie pod Tomaszowem Lubelskim. Duże straty poniósł tu 5 Pułk Strzelców Konnych z Tarnowa, wchodzący w skład Krakowskiej Brygady Kawalerii. Kilkunastu jego oficerów i żołnierzy zostało tutaj pochowanych, a po wojnie ich ciała ekshumowano i przeniesiono na cmentarz wojenny

do Łaszczowa i na zamojską Rotundę. W 70. rocznicę bitew pod Tomaszowem Lubelskim kontynuujący tradycję 5 Pułku Strzelców Konnych - Tarnowski Oddział Jazdy, wspólnie z gminnymi i powiatowymi władzami samorządowymi, zorganizował w Pańkowie uroczystości poświęcone tamtym wydarzeniom. Również w roku 2009 w terenie ustawiono tablice informacyjne, a w ścianę miejscowego kościoła wmurowana została tablica pamiątkowa poświęcona ułanom z 5 Pułku Strzelców Konnych z Tarnowa.



Cmentarz w Pańkowie

Na cmentarzu pochowano również ofiary mordu, którego dokonali Niemcy na mieszkańcach wsi 2 lutego 1943 roku. Chcąc przybliżyć tę tragiczną historię, pozwolę sobie przytoczyć treść nigdzie dotąd niepublikowanego listu, skierowanego do nieżyjącego już Edwarda Gramatyki. Autorem był ówczesny mieszkaniec Pańkowa pochodzenia ukraińskiego Mikołaj Szumada, który jeszcze w czasie wojny został przesiedlony do ZSRR.



Kuroka 17-01-1988 roku.

Mieck. Bógcie pochwalony Jezu Chryste!!!

Dzień dobry Edet. wraz z Twoją całą rodziną. Cóż sieka czebiecie a także od swojej rodziny zaszyłam Wam wszystkim w Lipcu nowym 1988 roku samego miłego zdrowia, szczęścia rodzinnego, szczęścia w pracy, w ławie szkolnej. I już niech nigdy nie powrócą te ciężkie lata, które przyszło mi przeżyć razem z wami.

Siemę ci Edetu, kolego, listy. Tępe i chęć aby one jak najrychlej dotarły do Ciebie, do Twojej rodziny, do miłych redakcji w Pankowie.

Edet. Mi serce miśka, że już nigdy więcej nie mogę zobaczyć się z moim kolegą a z jego bratem Polkiem. Kto mógłby pomyśleć że może go spotkać w życiu tak nieprzewidzianym tragedia. Cóż podziwiamy, Edetu.

Wła to wszystko co miśka nas zabłądzi - jest wola Boga. Wierzy miśka i niech z Bogiem odpoczywa. Wby do niego przyjdziemy, on do nas - nie.

Jak ci Edetu wiadomo, że już blisko 2-2 1988 roku. Ten dzień tragiczny (wtorek 2 lutego 1943 roku) miśka wszystkie zgadza się za 45 lat. Tamten, gromniczny dzień był ciepły, słoneczny. I kto mógłby pomyśleć, że on będzie ostatnim w życiu dla szóstki osób naszych redakcji. Chyba że nikt. A przecież z Ciebie tych szóstki

była tuż najdłuższą matką i dwóch
tychże młodszych bratów - Janek i Chania.

Jestem pewien Edzia, że w razie
nieobecności mojej na garbie razem z
Niną żyłobowem (wybacz mi Edzio kotku
nie wiem nazwiska towarzyszywego), Stiope,
Klan, jego żony i ich syna - Fawła - to
napewno nikt byby nie pozostał wzywany.

Nina napewno pamięta jak nas
pocięto postawili pod Szejnowym płotem
na garbie. Jak na naszych oczach byli
rostrzelani pod dębem 10 osób. Ja miałem
pęciopięc małych dzieci i pięć osób w dorosłych.

Nina pamięta jak ja oderwałem się
od płotu, przedtym wspiąłem się na dach
dopomóż mi Bóg i najświętsza Panna w
dzień Groźniejszy i nie pozwól powrócić
na to, postędiłem do przedwodniczącego tu
Faszkowską ofensywę majora SS, który
począł szukać tam polowickich i wszyscy ludzie
są bandyci, wszyscy uciekają do lasu!

Ja już stałem przodem. Jm i zabiłem
kani ludzie nie są bandyci, a uciekają do
lasu tylko ten, że się uciekają. Dali ja
prosiłem majora żeby poszła do wójty
Gnatyny bo on lepiej rozumie, po nic nie
ku, a nie ja i że żyje nie daleko. Major
mnie zapytał - jak daleko do wójty?
ja odpowiedziałem - sto metrów. Major
powiedział - Loua i my poszli do przodu
a wszyscy za nami. W wójcie byli

roztrząsane. Gracy kona i ciska najinteligentniej, już nie pamiętam, jak ona narysowała się. Przymusiłmy do Graty i major SS zapotrzebował słabiej mu słońca. Ja sam nie chciałem się za nim do niewskazania, to zrobił to Stiope Piront, Graty i zastępcę. Kiedy przyszedł Graty do majora SS i powtórzył moje słowa i stwierdził, że w naszej wsi zupełnie niema bandytów i partyzantów, wtedy to, Edziu, wyjął major SS z kieszeni gwizdek i zaczął gwizdać i krzyżać, nie strzelać! Ścisła Jwan na swą żonę Olenkę i ciwornymi słowami już docierał do drugiego brzo gu jeziora, do Graty i był z żoną i dziećmi zawrócony do domu. Potem major dorucił mi damnie i poroźadzał, zabioraj swych ludzi i idźcie do domu i powiadz wszystkim sąsiadom, aby nie wycho- dźli z domów i myśleć nie strzelać, usz bo mogą być roztrząsani.

J my poszli do domu. Droga ja sobie pomyślał: Z Bożką pomocą udać mi się uratować swych ludzi, ludzi naszego Faichowa, ale już nie wszystkich.

Jednocześnie, major SS, kiedy ~~ja~~ zaproc- oit strzelać, podziwiał oficjerskie jednostki sztumnowych i przyka dał rozkaz: termino- wa postawić post na budynkach naszej wsi, aby zmócili strzelać ludzi i palić budynki drugiej cypri niemieckich żołnierzy,

która już sła z interwalem 250-300 metrów i która powinna być palić budynki, a strzelać kto jeszcze pozostał żywym. Edziu, wybacz mi bo już dalej pisać nie mogę. Wszystko stało mi przed oczyma i widzę jak coraz częściej statem dopuszczają błędy w piśmie, t.j. gramatyce. Zelenenowcałem się. Oboj wiramy, że jest to zbyt ciężki temat opowiadania.

W tym konczę moje opowiadanie. Jeżeli coś mi nie wiadomo, to jeszcze raz proszę mi wybaczyc.

Jestem bardzo zdenerwowany z tego, co przyjechał mi brat Berguiz. Już mam fotografię naszego Pałkawa).

Chciałbym zobaczyć się z tobą i twą rodziną, ale jeszcze niewiem jak to wszystko urządzić. Witanuj się Edziu od nas i siostrę Barbarę. Hełomy, Marysi i Stachu Chroń, i ich dzieciom, Ninie i jej rodzinie, Gieni i jej rodzinie i wszystkim, tym, które, jak sam sądzisz, są tego warte.

Może masz ochotę, Edziu, przyjechać do nas do Zwiaztku, to proszę mi napisać i ja wyślę ci z żoną zaproszenie. Jest to bardzo bliskiej kupić unas coś się znajdzie.

Ciekaw jestem czy żyje Janek Dincuk. Macieja i Fran, ze psobki z Kłoscio. Kiedyś był żydowski chłopak. A więc czekamy na odpowiedź. Zawsze wasz - Szumlej

Stałem nad mogiłami mężczyzn, kobiet i dzieci, których ostatnie chwile życia opisał Mikołaj Szumada. Wiatr delikatnym podmuchem zakołysał lasem otaczającym cmentarz, a drzewa, przerywając panującą ciszę, odpowiedziały mu delikatnym szlochem liści i igieł. Nad grobami katolików i prawosławnych wielki drewniany krzyż szeroko rozkładał ramiona, na których widniał napis: *JEZU UFAM TOBIE*.



Nagrobek unicki

Przeszedłem do części, na której znajdowały się stare, wykonane z piaskowca nagrobki. Na wielu z nich zachowała się jeszcze niebieska farba, którą kiedyś je pomalowano. Napisy, o dziwo, w większości były

wyraźne, dzięki czemu dawały się z łatwością odczytać. Wszystkie pochodziły z przełomu XIX i XX wieku. Zamieszczone na nich inskrypcje w zdecydowanej większości zapisane zostały cyrylicą. Kilkanaście postumentów, przeważnie zwieńczonych krzyżami, stoi na oczyszczonym terenie, dając świadectwo historii.

Nagle, gdzieś znad lasu, dobiegł mnie skrzeczący klangor żurawi. Wielkie stado tych majestatycznych ptaków kołując, leciało w kierunku południowego wschodu. Może szykują się do noclegu na łąkach pomiędzy Pańkowem a Tartakiem, położonych w dolinie niewielkiego tutaj jeszcze Wieprza - przeleciało mi przez myśl.

Wychodząc z cmentarza, starannie zamknąłem za sobą furtkę, bo zauważyłem, że odwiedzający go ludzie bardzo dbają o ten szczegół. Z pewnością chodzi o ograniczenie dostępu dzikim zwierzętom, bo przecież pańkowska nekropolia położona jest tuż przy lesie.

Zanim jednak skierowałem się z powrotem do wsi, pojechałem jeszcze polną drogą na zachód. Za niewielkim laskiem zobaczyłem zabudowania gajówki Pańków. Obiekt ten służy nie tylko leśnikom jako biuro i miejsce zamieszkania. Jego część posiadająca pokoje gościnne jest wynajmowana przez Lasy Państwowe. Reklamowana jest jako *Kwatera myśliwska Pańków*, posiadająca 12 miejsc noclegowych, 7 łazienek, saunę, salon z jadalnią i kuchnią. Na terenie gajówki jest miejsce na ognisko, wiata do grillowania, miejsce na przyczepę kempingową oraz parking. Leśnicy piszą też, że *Budynek usytuowany jest na skraju wioski w kompleksie leśnym „Uroczysko Pańków”*.

Obiekt z zewnątrz wygląda naprawdę imponująco. Nowa elewacja budynku, zadbane otoczenie na pewno skuszą nie tylko amatorów polowania. Na podwórzu, przy wiacie grillowej, zauważyłem olbrzymi pień drzewa pokryty płaskorzeźbami. Nie mogłem jednak przyjrzeć mu się bliżej, bo moje uszy drażnił ujadający i biegający wzdłuż ogrodzenia pies.

Krążą różne legendy na temat tego, kto ze znanych ludzi przyjeżdżał tutaj na polowanie. Według jednej z nich miał tu przebywać późniejszy premier, nieżyjący już Józef Oleksy i właśnie wtedy przypadko-

wa kula miała wybić szybę w jednym z domów. Czy to prawda? Trudno powiedzieć, ale na pewno we wsi widziany był znany aktor Bogusław Linda, który ze swojego samochodu pozdrawiał przypadkowo spotkanych mieszkańców.



Leśniczówka

Zawróciłem do Pańkowa. Przy pierwszym domu po prawej stronie stała pokaźnych rozmiarów, pomalowana na biało figura, która nazywana jest też *Krzyż Polski*. Na jej zwieńczeniu znajdował się wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa, a poniżej kapliczka z obrazem Matki Bożej. Od strony ulicy widniał napis: *POD TWOJĄ OBRONĘ UCIEKAMY SIĘ ŚWIĘTA BOŻA RODZICIELKO*, na zachodniej stronie: *PAMIĄTKA WŁOŚCIAN WSI PAŃKÓW 1905 R.*, a na wschodniej: *BOŻE BŁOGOSŁAWNAS*.

Figurę ustawiono na wzgórku przed domem. Okalał ją drewniany płot, który rozszerzał się w kierunku drogi, sprawiając wrażenie rozpościerania ramion w zapraszającym geście.

Pierwotnie figura stała w centrum wsi, przy grubej topoli. Tam została jednak sprofanowana i przewrócona. Podobno sytuacja ta miała się

powtarzać, więc Polacy postanowili ją przenieść na koniec wsi, na posesję sołtysa Bukały. Wydarzenia te miały miejsce w roku 1905. Wówczas Pańków zamieszkiwało 97 rodzin, z czego 17 polskich i 80 ukraińskich. W tamtych czasach określenie Ukraińiec nie było jeszcze powszechnie używane, a przedstawicielej tej narodowości nazywano Rusinami.



Krzyż polski

W miejscu, gdzie wcześniej stał *Krzyż Polski*, Rusini postawili swój, który przewrócił się sam i najprawdopodobniej wpadł do stawu.

Z ustnych relacji, przekazywanych z pokolenia na pokolenie, dowiedziałem się, że w Wielką Sobotę przy krzyżu odbywało się święcenie pokarmów. Schodzili się tutaj wszyscy Polacy i siedząc na okolicznych

pagórkach, oczekiwali na księdza z Krasnobrodu, którego przywoził miejscowy leśniczy. Jakże w takim momencie nie pomyśleć o historii własnej rodziny, bo przecież mój pradziadek, gdzieś na przełomie wieków XIX i XX pracował w Pańkowie jako leśniczy.

Według kolejnych zasłyszanych przeze mnie historii w pobliżu krzyża stała kiedyś tętniąca życiem karczma. Chłopi jadący na pole wozami, jeszcze zaprzęgniętymi w woły, zatrzymywali się tutaj, a potem w wesołym nastroju odjeżdżali do swoich zajęć. Budynek miał ostatecznie zostać rozebrany w latach 60. ubiegłego wieku. Po drugiej stronie drogi znajdował się cmentarz, o wiele starszy od obecnego. Kości pochowanych tam osób znajdowano jeszcze długo po jego zamknięciu.

Jak wspominałem już wcześniej, na terenie Pańkowa we wrześniu 1939 roku toczyły się walki wojsk biorących udział w bitwie pod Tomaszowem Lubelskim. Do dziś na stodole gospodarstwa, na terenie którego stoi figura, można zobaczyć ślady po kulach powstałe w tamtym czasie. Ostrzał artyleryjski prowadzono z góry położonej w Tarnawatce. Był on na tyle celny, że straty Polaków były bardzo duże. Wspomina się do dziś, że zginęło wówczas bardzo dużo koni, które następnie zakopywano w pobliskim lasku. Żołnierze z rozbitych jednostek albo poddawali się i szli do niewoli, albo na własną rękę próbowali się przedrzeć dalej. Jedna z opowieści mówi o tym, że w pewnym domu schronił się taki wojak. Gospodarz zaproponował mu cywilne ubranie, na co ten odpowiedział, że munduru nigdy nie zdejmie. Poprosił jedynie o zamianę dużego modlitewnika, który nie chciał mu się zmieścić do plecaka, na mniejszy. Oprócz modlitewnika zostawił także laskę i rower.

Na skrzyżowaniu dróg pojechałem w kierunku Tarnawatki-Tartaku. Tu także przy niektórych domach zachowały się jeszcze służące do dziś lochy. Znajdowałem się na terenie Gromady, która jest dosyć gęsto zabudowana. Zresztą cały Pańków charakteryzuje się zwartą zabudową, co najlepiej widać w okolicy stawu. Podobnie jak w całej wsi, tak i tutaj stare drewniane domy mieszają się z nowymi, wybudowanymi w ostatnich latach.

Mijając drewniany budynek mieszkalny, wystawiony na sprzedaż, zauważyłem, że tuż przy nim, na wysokim pniu drzewa znajduje się

gniazdo bocianie. No i proszę, nie dość, że można sobie kupić dom, to jeszcze bociana dostanie się gratis, a jeżeli nie jego, to urokliwe gniazdo już z pewnością.



Pańkowski tytoń (bakon)

W niektórych gospodarstwa pozostały jeszcze typowe kiedyś dla tej okolicy budyneczki, czyli suszarki do tytoniu. Pańkowskie ziemie w większości są słabe i nieurodzajne i rzadko która roślina daje tutaj dobre plony. Do jednej z nielicznych należy tytoń, na uprawę którego prawdziwy boom zrobił się w latach 70. ubiegłego wieku. Przez wiele lat na tutejszych polach królował *bakon*, bo takiego określenia bardzo często używano w naszej okolicy. Dziś we wsi pozostał jeden duży producent tej rośliny, a kiedyś późnym latem i jesienią wszędzie dymiły suszarki. Płoty i stodoły obwieszane były wiankami suszących się w ten sposób liści.

Rozglądając się po wsi, zauważyłem olbrzymi dąb, stojący na środku rozległego podwórza. Pomimo tego, że widać było, że to wspaniałe, pomnikowe drzewo poddane było ostatnio zabiegom przycinania korony, robiło niesamowite wrażenie. Znajdujące się obok budynki gospodarcze wydawały się wręcz zdominowane jego majestatem i siłą.

Prawie fizycznie odczułem, jak dąb z wyższością spoglądał na mnie i cicho szeptał: *Co ty możesz wiedzieć o historii tego miejsca i jego mieszkańcach? Gdybyś mógł ze mną porozmawiać, wtedy dopiero otworzyłyby ci się oczy na to, co działo się tutaj przez ostatnie kilkaset lat.*

Trochę zawstydzony, pojechałem dalej. Przede mną widniał już budynek kościoła, ale zanim do niego dotarłem, minąłem jeszcze starą drewnianą kaplicę, która kiedyś służyła mieszkańcom, a dziś stoi na uboczu trochę zapomniana.



Staw Jęzior w Pańkowie

Kościół pod wezwaniem NMP Anielskiej w Pańkowie wybudowany został w latach 1999-2000 i jest kościołem filialnym parafii w Szarowoli. Postanowiłem przejechać obok niego, robiąc rundkę wokół stawu Jęzior położonego w samym centrum wsi. Staw nazywany bywa także *jeziorem*. Droga była nie dość, że wąska, to jeszcze nie najlepszej jakości. Zarówno staw, jak i okalająca go od południa jezdnia, położone są na gruntach Wspólnoty Gruntowej wsi Pańków. Do gospodarowania wspólnotą powołana jest specjalna spółka z zarządem na czele. W latach 60. XX wieku na podstawie różnych nadań i przywilejów ustawa uregulowała własność gruntów użytkowanych dotąd wspólnie przez miesz-

kańców wsi. Te pańkowskie swój rodowód mają wywodzić jeszcze od ukazu carskiego, który nadał mieszkańcom wsi prawo użytkowania lasów, pastwisk i innych terenów.

Domy wokół Jeziora usytuowane są bardzo gęsto. Niektóre działki mają po zaledwie kilka metrów, przysparzając w ten sposób właścicielom wielu problemów. Dziś patrzyłem na piękne lustro wody, na pomost spacerowy wychodzący na jego środek. Jeszcze kilka lat temu widok zbiornika przedstawiał się zgoła inaczej. Brzegi były bardzo zarosnięte, od lat nieoczyszczane dno stawało się coraz płytsze. Suche lata spowodowały, że w pewnym momencie w stawie prawie nie było wody, a zalegało go tylko czarne błoto, stwarzające przygnębiające wrażenie. Przychylając się do wniosków mieszkańców, gmina Tarnawatka przygotowała dokumentację na remont zbiornika. Udało się pozyskać środki na to zadanie i w 2018 roku rozpoczęły się prace, a ukończono je na wiosnę 2019 roku. W lipcu tegoż roku miało miejsce huczne, bo okraszone pokazem sztucznych ogni, otwarcie inwestycji. Oprócz oczyszczenia dna i umocnienia brzegów stawu powstał pomost dla kajaków i spacerowy, przeciwpożarowe ujęcie wody i parking.

Bywając wcześniej w Pańkowie, widziałem, że ludzie faktycznie wykorzystują nowe możliwości *jeziora*, pływając po nim pontonami i kajakami. Dojechałem do południowo-wschodniej części stawu. Tę część wsi nazywa się Wydmuchówką, co związane jest zapewne z częstymi tutaj podmuchami wiatru. Na skrzyżowaniu z drogą powiatową biegnącą przez wieś skręciłem w lewo, żeby dojechać do nowego pomostu. Przed nim ustawione zostały stojaki na rowery. Na dużych tablicach zamieszczono wiele informacji dla odwiedzających te tereny. Wszedłem na pomost. Po stawie pływało stadko dzikich kaczek, a gdzieś przy brzegu czapla siwa cierpliwie wpatrywała się w wodę, oczekując okazji do zdobycia pożywienia. Kilka lat temu, jeszcze przed remontem zbiornika, para łabędzi niemych założyła na nim gniazdo i nawet dochowała się młodych. Miejscowi ludzie chętnie dokarmiali te piękne ptaki. Kiedy młode dorosły, łabędzie odleciały, jednak za rok okazało się, że powróciły na swoje tereny lęgowe. Ponownie gniazda jednak nie założyły, bo w oczyszczonym zbiorniku nie było już wystarczającej ilości pożywienia.

Podobno co jakiś czas wyklute tu ptaki odwiedzają swoje rodzinne strony. Ostatnio widziano już trzecie pokolenie pańkowskich łabędzi. Ptaki stanowiły nie lada atrakcję dla mieszkańców, którą dodatkowo spopularyzował filmik zamieszczony na jednym z kanałów internetowych pt. *Pańków – łabędzie przyleciały*.

Z pomostu widziałem świetlicę wiejską, obok której wybudowano plac zabaw. Za nimi znajdował się budynek nieczynnej już dziś szkoły. W miejscu tym była kiedyś cerkiew. Pierwsze wzmianki o niej pochodzą z roku 1679. Wówczas jako świątynia filialna parafii unickiej należała do Tarnawatki. W latach 1875-1938 istniała tutaj parafia prawosławna. Cerkiew rozebrano w roku 1938 w ramach rządowej akcji, mającej na celu polonizację kresów i przechodzenie ludności prawosławnej na katolicyzm.

Przy wyjeździe ze wsi w kierunku Tarnawatki-Tartaku, po lewej stronie drogi położona jest kolejna część wsi nazywana Łanowe Sołtysy. Nazwa pochodzi od ziemi nadanej przez księcia osadnikowi do wykarczowania i uprawy, od której zobowiązany był płacić czynsz i daninę. Za zabudowaniami położonymi na Łanowych Sołtysach funkcjonuje oczyszczalnia ścieków, bo Pańków w roku 2012 został skanalizowany.

Zanim opuściłem zabudowania wsi, pomyślałem jeszcze, gdzie też mógł znajdować się skarb, który w 1984 roku wyorał na swoim polu jeden z mieszkańców. Znalaziono wtedy 122 monety z XVII i początku XVIII wieku. Obecnie całość stanowi eksponaty Muzeum Regionalnego w Tomaszowie Lubelskim.

Przed zakrętem drogi wchodzącej już w las skręciłem w lewo. Chociaż śródpolna dróżka była bardzo piaszczysta, postanowiłem jednak z niej skorzystać, żeby spojrzeć na okolicę z trochę nietypowej strony. Warto było, bo nie tylko Pańków widziany od północnej strony prezentował się ciekawie, ale przyroda fundowała nie mniej interesujące widowisko. Malownicze laski i łąki mieszały się z polami. Pagórki skłaniały się ku płaskim i podmokłym nadwieprzańskim łąkom. Na wielu polach rosły, popularne ostatnio wśród rolników, plantacje malin. Skoro byłem w Pańkowie, to nie mogło zabraknąć wysokich łodyg tytoniu, na których pojawiały się biało-fioletowe kwiatki.



Brzozowy zagajnik

Wróciłem do drogi powiatowej i pojechałem w kierunku wschodnim. Na jednej z leśnych polan widać było wyraźne ślady działalności bobrów, które w ostatnich latach licznie powróciły na zajmowane kiedyś tereny. Powalone drzewa i woda podchodząca coraz wyżej to ich nieomylny znak rozpoznawczy. Chciałem sobie zrobić kolejny przystanek na moście na Wieprzu, kiedy tuż nad głową przeleciał mi jakiś ptak. Kątem oka zauważyłem kurę bażanta, kryjącą się szybko w nieodległych zaroślach.



Rzeka Wieprz

Wieprz w tym miejscu nie przypomina jeszcze największej rzeki Lubelszczyzny. To zaledwie wąska nitka, czasem nawet niewidoczna pośród łąk. Tuż przed mostem od rzeki odchodzi rów, którym woda doprowadzana jest do tarnawackich stawów. Na poboczu drogi ustawiono tablicę informacyjną opowiadającą historię potyczki, jaką stoczyli w tym miejscu żołnierze 5 Pułku Strzelców Konnych z Tarnowa, w wyniku której wielu z nich poniosło śmierć.

Zbliżając się do gruntów Tarnawatki i Tarnawatki-Tartaku, opuściłem Pańków.

Tarnawatka-Tartak

Wjeżdżając do *Tartaku* - jak popularnie mówi się o tej miejscowości - drogą powiatową od strony Pańkowa, widziałem przed sobą potężny wał ziemi, tworzący tzw. *Tarnawacką Górę*. Na ostrym zakręcie szosa krzyżowała się z dwiema drogami polnymi, obydwie mogłyby mnie zaprowadzić na ulicę Wola w Tarnawatce. Po prawej stronie stała biała figura przystrojona kwiatami, z dobrze już mi znanym napisem: *BOŻE BŁOGOSŁAW TYM MIESZKAŃCOM*.

Kilkaset metrów dalej minąłem tablice oznaczające początek miejscowości, a także taką, która informowała mnie, że znajduję się na ulicy Zachodniej. Chociaż administracyjnie byłem już w Tarnawatce-Tartaku, to według nomenklatury geodezyjnej znajdowałem się w Tarnawatce. Tylko wschodnia część wsi, przyjmując za punkt odniesienia drogę krajową, pokrywa się geodezyjnie i administracyjnie z jej nazwą.

Historia miejscowości wiąże się z nazwą Skrzypny Ostrów, która po raz pierwszy pojawia się w składzie dóbr tarnawackich, stanowiących wówczas własność Dzieduszyckich, w roku 1812. Sama nazwa wywodzi się od zestawienia dwóch słów: gatunku rośliny - skrzyp oraz ostrów - wyspa, i oznacza pole między smugami bądź łąkami, wzniesienie na łące lub polu, ewentualnie pole wśród lasu.

Istnieją zapisy, że już około 1880 roku istniały tutaj dwa tartaki parowe i smolarnia. Jedną z części Skrzypnego Ostrowa była Kocia Wólka, czyli ta położona po prawej stronie obecnej szosy Tomaszów Lubelski - Zamość. Generalnie miejscowość była położona bardziej na wschód w pobliżu dawnego traktu królewskiego, którym miałem okazję jechać, będąc w Wieprzowie. Z czasem jednak zaczęła rozbudowywać się w kierunku nowej drogi wybudowanej w latach 40. XIX wieku. Sołectwo

Tarnawatka-Tartak powstało dopiero w roku 1945, kiedy to zostało wydzielone z Tarnawatki.



Figura w Tarnawatce - Tartaku

Od roku 1916 w miejscowości funkcjonowała stacja kolejki wąskotorowej, której tory prowadziły od Bud Dzierżyńskich do Bełzca. Kolejkę zlikwidowano w roku 1924.

Już pod koniec sierpnia 1914 roku Tarnawatka-Tartak znalazła się w zasięgu działań armii biorących udział w I wojnie światowej. W ich

wyniku prawie cała miejscowość została zniszczona. Przed II wojną światową funkcjonowały tutaj Zakłady Przemysłu Drzewnego, w skład których wchodziły tartak i fabryka mebli. W czasie wojny zakład przejęli Niemcy, którzy prowadzili tutaj produkcję na potrzeby wojska. W 1942 roku partyzanci podpalili tartak i fabrykę mebli. W tamtym czasie we wsi istniały młyn prowadzony przez Jana Ilka, którego tragiczną historię udało mi się opisać w części poświęconej Dąbrowie Tarnawackiej, oraz cegielnia. Po wojnie Zakład Drzewny został przejęty przez państwo. Ostatnim jego państwowym właścicielem były Zamojskie Fabryki Mebli, które zaprzestały produkcji w 1994 roku. Podczas likwidacji ZFM główną część zakładu kupiła spółka z hiszpańskim kapitałem, która gospodaruje tu do dziś. Niewielka część gruntów przypadła gminie. Dziś na tym terenie znajduje się siedziba firmy związanej z energetyką.





Ptaki przy ul. Zachodniej

Jadąc równiutką i prostą ulicą Zachodnią, spoglądałem na dwa, bardzo różniące się od siebie, krajobrazy. Po stronie północnej cały czas miałem górzysty teren, całkowicie zajęty pod pola uprawne, a po lewej płaski, głównie łąkowy, delikatnie schodzący ku korytu Wieprza. Wśród łąk szerokimi pasami odznaczyły się rowy melioracyjne, gęsto porośnięte krzakami i drzewami. Kiedyś starannie oczyszczane, żeby zapewnić najwyższy plon siana, dziś opuszczone i oddane z powrotem przyrodzie, stanowią wymarzone miejsce pobytu dzikich zwierząt. Swoją zasługę w tej swoistej przemianie czy w tym powrocie do natury mają też bobry,

które nieustannie starają się zajmować nowe tereny, budując żeremia i przyczyniając się tym samym do zalewania okolicznych łąk.

Przejeżdżając tędy, nie raz miałem okazję obserwować liczne sarny i dziki. Słyszałem także opowieści o kilku łosiach, które dostojnie wędrowały wzdłuż płynącego w pobliżu Wieprza.

Tak rozmyślając nad prawami natury, wjeżdżałem powoli w teren, w którym rządzą już prawa człowieka. Nowoczesne domy coraz gęściej rozsiadały się po obu stronach ulicy. Zielony kierunkowskaz przede mną pokazywał, że odległość do Tarnawatki wynosi 1 km. Spojrzałem w lewo na ulicę Widokową. Pięła się stromo w górę, stanowiąc całkiem spore wyzwanie dla rowerzysty, a powstające tam nowe osiedle mieszkaniowe prezentowało się bardzo ciekawie. Zostawiłem sobie jednak ten odcinek niejako na deser, postanawiając właśnie nim przejechać do Tarnawatki. Zanim jednak skręciłem w prawo w ulicę Wesołą, naszły mnie pewne refleksje. Jeszcze nie tak dawno zachodnią część tartaku nazwano przecież wsią, w odróżnieniu od pozostałej, czyli miasta. A jaka tu wieś, skoro dookoła prawdziwe wille z pięknymi ogrodami? Z tej wsi, w niedługim czasie zrobiło się prawdziwe podmiejskie osiedle, gdzie ludzie chętnie się budują, by mieszkać w spokojnej okolicy.

Ulica Wesoła dla rowerzysty stanowi nie lada gratkę. Najpierw stromo opada tuż koło domu sołtysa, a potem funduje jeszcze przyjemne hopki. Tu także mijałem nowe i te nieco starsze domy, ale wszystkie zadbane, cieszące oko swoim widokiem. Skręciłem w lewo i znalazłem się na ulicy Zielonej, która biegła wprost do łąk stykających się z Wieprzem. Przejechałem kolejny zakręt, tym razem w lewo i byłem, jakże by inaczej, na ulicy Łąkowej, która łączy się z drogą krajową nr 17, noszącą tutaj nazwę: ulica Tomaszowska. Chociaż Tarnawatka-Tartak jest wciąż mniejszą miejscowością od Tarnawatki, to nazwy ulic zostały w niej nadane wcześniej. Nie tak dawno w obydwu wsiach wykonane zostało nowe oznaczenie ulic z ich nazwami, kategorią drogi oraz herbem gminy.



Teren dawnych ZFM

Odbijając nieco w prawo, skręciłem w ulicę Topolową, żeby chodnikiem, wzdłuż drogi krajowej i płotu dawnych Zamojskich Fabryk Mebli, dojechać do kolejnej figury znajdującej się na mojej trasie. Ta stała nieco schowana, bo tak naprawdę znajdowała się na terenie zakładu, a tylko odgradzona była od niego metalowym płotem. Tu też widać, że mieszkańcy kultywują tradycję porządkowania i przystrajania tego typu miejsc. Napis na cokole brzmiał: *NA PAMIĄTKĘ TOLERANCYI RELIGIJNEJ ROBOTNICY TARTAKÓW TARNAWACKICH D. 1 SIERPNI*

1906 R. Wokół obrazu Niepokalanego Serca Najświętszej Maryi Panny napisano: *KRÓLOWO NASZEJ ZIEMI PRZYCZYŃ SIĘ ZA NAMI.*



Obumarły dąb

Z pewnością ten właśnie napis rzuca światło na zagadkę roku 1905, który widnieje na wielu odwiedzonych przeze mnie przydrożnych figurach. 17 kwietnia 1905 roku car Rosji Mikołaj II wydał ukaz o tolerancji religijnej. Na mocy tego dokumentu unicy, zmuszeni w 1875 roku do przejścia na prawosławie, mogli swobodnie decydować o wyborze wyznania. W Polsce przywrócono język polski w szkołach prywatnych, za-

twierdzono też działalność polskiej Macierzy Szkolnej. Trzeba też dodać, że język rosyjski nadal obowiązywał w instytucjach państwowych. Ustępstwa, na jakie zgodził się car, były pokłosiem wydarzeń, które miały miejsce na początku tego roku, czyli tzw. rewolucji 1905 roku.

Na terenie obecnie stanowiącym własność hiszpańskiej spółki znajduje się zabytkowa, murowana hala fabryczna wybudowana w roku 1902. Za bramą wjazdową dawny budynek biurowy nieco straszy swoim wyglądem. Nieużytkowany od lat, został w zamian za zadłużenie przejęty przez gminę, a teraz niszcząc bezskutecznie oczekuje na inwestora. A przecież kiedyś tętniło w nim życie. Nie dość, że mieściło się tu biuro zakładu, to były jeszcze ośrodek zdrowia i sklep, duża świetlica, w której działało także kino objazdowe. Zaraz za nim, trochę w głębi trwał właśnie remont budynku remizy strażackiej, mający na celu jej adaptację na potrzeby całej społeczności wiejskiej. Tuż przed nim znajdował się plac zabaw dawnego przedszkola, pierwotnie przyzakładowego. Tak naprawdę, kiedyś całe życie we wsi skupiało się wokół zakładu.

Prawdziwą żyjącą legendą miejscowości jest pani Helena Mulawa. Żeby przybliżyć osobę tej niezwykłej kobiety, pozwolę sobie zacytować wywiad przeprowadzony z nią przez Mariana Zacharczuka, a zamieszczony w gazecie *Co w Naszej Gminie* w numerze 10 z 2014 roku.

„Niuta” ze Skrzypnego Ostrowa

Helena Mulawa z d. Sikora - "NIUTA" jest jedną z trzech najstarszych osób mieszkających w gminie Tarnawatka.

Ma 93 lata, jest w znakomitej kondycji fizycznej i ciągle pisze, pisze pamiętniki, ale nie tylko. Znakomita pamięć i "pamiętnikarski" dar pozwoliły pani Helenie ocalić od zapomnienia niemal całą historię Tarnawatki począwszy od lat trzydziestych ubiegłego wieku. Pamiętniki pani Helena rozpoczęła pisać, mając 9 lat (w 1930 roku), i pisze je do dziś. Opublikowała je własnym nakładem w formie książki pt. "Mój pamiętnik - opowieści znad Wieprza".

„Mając 9 lat, zachorowałam na gruźlicę. Pieniądzy na lekarza nie było, leczyła mnie mama. Do dziś mam wstręt do mleka z tłuszczem, czosnku i tranu - "mamusinyh" lekarstw, które, o dziwo, postawiły mnie na nogi.

Kiedy byłam chora, mamusia uczyła mnie w domu czytać, pisać i rachować. Czytałam już płynnie i z rachunkami także dawałam sobie radę. Mama opowiadała mi różne wydarzenia z naszej historii. Zaczęła od: "Kto Ty jesteś? - Polak mały", później było o rozbiorach Polski, powstaniach, wywózce na Sybir. Każda lekcja mamusinej historii kończyła się nauką powstańczych i patriotycznych pieśni - wspomina pani Helena.

Wyzdrowiałam i poszłam po „mamusinej szkole” do drugiej klasy szkoły powszechnej. Pamiętam, że w tarnawackiej szkole nie było nawet mapy Polski, a jedyną pomocą naukową, jaką miała nasza kochana nauczycielka pani Regina Cieślak, był... piszczący globus. To były inne czasy. Wszyscy chcieli się uczyć i wyrwać ze wsi. Kto dziś czyta książki?! My w czwartej klasie czytaliśmy np. "Faraona". Każdy, któremu pozwalały na to rodzinne warunki i chęć „bycia kimś”, dosłownie potykał wiedzę. Było naprawdę ciężko. Sześcioklasową Szkołę Powszechną w Tarnawatce ukończyło sześć osób, w tym także i ja. Pozostali albo pracowali już we dworze, albo byli pastuchami. Takie były czasy.

Dla mnie Tomaszów Lubelski w tamtych czasach był metropolią. Postanowiłam zostać tomaszowską gimnazjalistką, i tutaj rozczarowanie. Dyrektor gimnazjum policzył koszty i wyszło, że na naukę w gimnazjum trzeba... 300 zł! Książki, fartuszki, zeszyty, wpisowe - to kosztowało olbrzymią kwotę. Niestety takich pieniędzy nie udało się nam zebrać i marzenie o tomaszowskim gimnazjum przysło jak bańka mydlana. Z pomocą przyszedł mi wujek z Tczewa. Tam w gimnazjum byłam tylko rok. Wpłynęły na to zarówno powody rodzinne, jak i tęsknota za domem. Na Pomorzu nazywano nas wtedy „ANTKAMI", jak mawiał dyrektor gimnazjum Jan Hinza. Jedynym chyba plusem pobytu w Tczewie był mój udział w 1935 roku w słynnym Świącie Morza, gdzie mogłam zobaczyć Marszałka Rydza Śmigłego. Wróciłam do Skrzypnego Ostrowa, bo tak wtedy nazywała się Tarnawatka-Tartak.

Kolejne moje spotkanie życia to spotkanie z Prezydentem Ignacym Mościckim w Krasnobrodzie podczas otwarcia sanatorium i szkoły. To tam chciałam prosić Prezydenta, ażeby pomógł nam, młodzieży z Tarnawatki zbudować łódź i popłynąć nią Wieprzem aż do Bałtyku. Takie młodzieńcze marzenia.

Z pobytu pana Prezydenta w Krasnobrodzie do dziś zapamiętałam twarz jego pięknej, młodej żony i jej... powiewny szal. O wybuchu II wojny światowej dowiedziałam się z radia na "kryształek". Miałam wtedy 18 lat. Była mobilizacja, wszystkie takie panny jak ja musiały ukończyć w Tomaszowie Lubelskim

kurs sanitariuszek. Jeszcze dziś lepiej zabandażuję rozbitą głowę niż sanitariusz - mówi pani Helena.

Okupacja hitlerowska to temat na osobną opowieść. Widziałam bitwę pod Tomaszowem, uciekinierów do Rumunii, pędzonych drogą na Lwów Żydów. Podobnie jak inni z Tarnawatki dostałam kartę na przymusowe roboty w Niemczech. Uciekłam. Mieszkałam u rodziny w Nedeżowie i Zwierzyńcu. Ukrywaliśmy się także w lesie i w piecach cegielnianych w Skrzybnym Ostrowie. W lipcu 1944 roku z jednej strony byli już sowieci, a z drugiej ciągle Niemcy. Stałam już, razem z moim przyszłym mężem pod drzewem, gotowa na śmierć. Dał Bóg, że się przeżyło. Zawsze miałam powodzenie u chłopaków. Z trzech konkurentów wybrałam najstarszego. Mam troje dzieci. Najstarszy Andrzej jest emerytowanym pułkownikiem po Akademii Sztabu Generalnego, córka Krysia pracowała w służbie zdrowia, a najmłodszy Stasio mieszka przez płot.

Starłam się dać dzieciom to, czego sama nie miałam - wykształcenie. Zawsze im mówiłam: "Nie ruszaj tego, co nie Twoje; pracuj, bo młody człowiek musi mieć jakieś obowiązki; szanuj innych!"

Pani Helena oprócz pamiętników wydanych w formie książkowej pisze także opowiadania np. „Natalka” czy „Bajka dla dorosłych z morałem” - zapewniam, że jest co poczytać.

Problemy ze wzrokiem przeszkadzają pani Helenie w pisaniu, ale jej nieco wcześniejsze pamiętniki to przepiękny charakter pisma. Tak się pisało kiedyś. Dziś to już historia. Pani Helena jest ciągle aktywna i na bieżąco śledzi wydarzenia w kraju i gminie. Chciałaby, żeby władze gminne zajęły się problemem, który dręczy ją od lat. Chodzi mianowicie o nazwę miejscowości, w której się urodziła i mieszka do dziś. Tarnawatka-Tartak to taka nazwa, która niczemu nie odpowiada. Ani to Tarnawatka, ani to tartak, którego nie ma już od wojny. Skrzybny Ostrów – to taka piękna, staropolska nazwa. Dobrze byłoby znowu mieszkać w Skrzybnym Ostrowie – powiedziała na zakończenie pani Mulawa.

Kiedy spotkałem się z panią Heleną i przypomniałem jej tę rozmowę sprzed ponad 6 lat, ta prawie 99-letnia kobieta powiedziała mi: Tak, rozmawiałam z tym panem, ale to było dawno.

Na temat gminy Tarnawatka usłyszałem od niej takie słowa: Ta ziemia wydała wielu znamienitych ludzi. Jednak największy wkład w jej wygląd włożyli prości ludzie: fornale, którzy z reformy rolnej dostali ziemię. To im i ich

dzieciom zawdzięczamy obecny wygląd gminy. To już nie ta sama okolica co przed wojną. Trzeba oddać hołd tym prostym ludziom, bo to oni zbudowali tę gminę. Dziś Tarnawatka wygląda naprawdę pięknie.

Helena Mulawa wciąż pisze swoje pamiętniki i wydaje ich kolejne tomy. Sam miałem okazję widzieć 3 nowe książeczki z jej wspomnieniami. Chociaż jak sama mówi: *nauczyłam się pisać na ślepo, bo wzrok coraz gorszy*, to charakteru pisma szczerze jej pozazdrościłem.

Pani Helena wiele prac w domu wykonuje jeszcze sama. Powiedziała mi na przykład, że zbiera gałęzie opadające z drzew, a potem siada na stołeczku i rąbie je, żeby były na podpałkę. Niejako na podsumowanie naszej rozmowy powiedziała mi: *Chcę jeszcze tak wiele napisać. Nie wiem, czy Pan Bóg mi na to pozwoli, ale chciałabym opisać historię partyzantów z AK.*

Z ulicy Tomaszowskiej wjechałem w Topolową. Po prawej stronie miałem łąki, przez które płynął Wieprz. Na jednej z nich robotnicy uwijali się przy budowie domu. Czyli Tartak rozrasta się dalej – przebiegła mi przez głowę taka myśl. Zaraz też znalazłem się w pobliżu boiska. Obok znajdowało się miejsce integracji, przy którym można chwilę odpocząć. Sprzyjają temu znajdujące się tam urządzenia: zadaszony stół z miejscami do siedzenia, boisko do siatkówki czy grill. Ponieważ teren położony jest trochę na uboczu, czasami bywają z nim problemy, a konkretnie z utrzymaniem na nim czystości. Pomimo tego, że ustawiono tam kosze na śmieci, nie każdy ma chęć z nich korzystać. Zdarzają się dewastacje. Tym razem jednak wszystko było w jak najlepszym porządku. Siedząc sobie na ławeczce, patrzyłem na część Tarnawatki-Tartaku nazywanej *Młyn*. Nazwa pochodzi oczywiście od młyna, który funkcjonował tutaj do połowy lat 40., a historię śmierci ostatniego młynarza przedstawiłem przy okazji opisywania podróży przez Dąbrowę Tarnawacką.

Przejechałem obok odremontowanych domów, znajdujących się po prawej stronie. Droga skręcała ostro w lewo. Przejazd do lasu zamykał zielony szlaban. Olbrzymia topola zdawała się być wręcz oblepiona gniazdami jemioli. Widok przedstawiał się naprawdę sielsko. Trzeba starać się dosłownie łapać takie chwile, bo jeżeli ziszczą się plany dro-

gowców, to za kilka lat ani las, ani łąki w tym miejscu już nie będą wyglądały tak samo, bo pobiegnie tędy droga ekspresowa S17.



Ulica Leśna

Trochę zasapany, dojechałem do ulicy Leśnej i chociaż znak oznajmiał koniec miejscowości Tarnawatka-Tartak, pojechałem dalej w kierunku Wieprzowa, żeby zatrzymać się przy leśniczówce Skrzypny Ostrów. Zamiast jednak przyglądać się polanie, na której leśnicy mieli swoje budynki administracyjne, wpatrywałem się jak urzeczony w stary dąb, stojący tuż przy drodze. Wyglądało na to, że drzewo jest już martwe. Jego uschłe konary zostały przycięte, żeby nie stwarzać zagrożenia. Przyroda jednak nie pozwoliła, żeby obumarły pień stał bezużytecznie do czasu, aż sam runie. Po kikutach gałęzi wspinało się czerwieniejące już dzikie wino. Słońce przeświecające przez korony sąsiednich drzew w niektórych miejscach rzucało jasne promienie, a w innych malowało ciemne smugi cieni. Gdybym potrafił malować, to rozstawiłbym tutaj sztalugi i utrwalił ten piękny, słońcem malowany obraz.

Zawróciłem i trochę dziurawą ulicą Leśną kierowałem się w kierunku zachodnim. Z lewej strony stromo opadała ulica Nowa, przy której nie tak dawno powstało, *nomen omen*, nowe osiedle mieszkaniowe. Pozwoliłem sobie jeszcze skręcić w ulicę Ogrodową. Domy, pięknie położone na południowym zboczu góry, powstały w miejscu, w którym przez całe lata mieszkańcy uprawiali ogródki działkowe. Asfalt kończył się przed samym chodnikiem położonym przy siedemnastce. Moja droga wiodła w dół, a potem w prawo w ulicę Zachodnią. Przejechałem nią blisko kilometr do skrzyżowania z ulicą Widokową, żeby właśnie tędy dojechać do Tarnawatki. Patrząc na stromy podjazd (8%), pomyślałem sobie, że żarty się skończyły i zaczęły się schody.

Po lewej stronie powoli mijałem zamieszkałe już i jeszcze budujące się domy. Niektóre z nich położone nieco w głębi, a inne tuż przy drodze, na skraju stromego zbocza góry. Najbardziej podobały mi się te, które architektom udało się wkomponować w trudny, ale ciekawy teren.



Ulica Widokowa

Przed samym szczytem minąłem tablice oznaczające koniec Tarnawatki-Tartaku i początek Tarnawatki. W tym miejscu kończyła się też ulica Widokowa, a zaczynała Szkolna. Wreszcie byłem na samej górze i mogłem patrzeć do woli na to, co zafundowała nam sama natura, oraz na to, czego dokonała ręka człowieka. Roztaczał się przede mną widok na dolinę Wieprza płynącego pośród łąk, a potem ginącego w gęstych

zaroślach. Za nim, ciemnymi pasami, układały się kolejne linie lasów. Nieco w prawo - zabudowania Szarowoli i Pańkowa. Wreszcie las po prawej, za którym znajdowały się ukryte tarnawackie stawy. Podnóże góry przecinała droga łącząca Pańków z Tartakiem, stanowiąc prawdziwą linię demarkacyjną pomiędzy polami i łąkami, ostatnio już gęsto najeżoną nowymi domami.

Wystarczyło, że obróciłem się ku północy i już patrzyłem na Tarnawatkę.

Tarnawatka



Wieża nadawcza

Być w Tarnawatce i nie stanąć u zbiegu ulicy Szkolnej i Widokowej w Tartaku, to prawie tak, jak być w Rzymie i papieża nie widzieć. W tym stwierdzeniu nie ma wiele przesady, bo krajobrazy, jakie można tutaj

zobaczyć, zapierają dech w piersiach. Dlatego też, nieprzypadkowo postanowiłem, że właśnie stąd rozpocznę objazd Tarnawatki.

Przede mną ulica Szkolna pędziła stromym zjazdem wprost do drogi krajowej, noszącej w Tarnawatce nazwę: ulica Lubelska. Z prawej strony miałem najbardziej charakterystyczny obiekt miejscowości i całej gminy, czyli wieżę nadawczą. Wybudowano ją w końcówce lat 70. ubiegłego wieku. Wtedy zapewniała ona nie dość, że lepszy odbiór telewizyjnej *jedynki*, to jeszcze dawała po raz pierwszy możliwość oglądania *dwójki*. Maszt ma wysokość 154 metrów, a usytuowany jest na wysokości 317 m n.p.m. W czasie jego budowy krążyły historyjki, że pierwotnie miał być o wiele wyższy, ale nie zgodzili się *Ruscy*. Rzekomo nasza telewizja i radio mogły źle wpływać na obywateli *Sojuza*. Chyba uznano, że ówczesna polska propaganda sukcesu mogła nieustannym pasmem triumfów wpędzić w prawdziwe kompleksy społeczeństwo *bratniego kraju*, czyli tzw. *ludzi radzieckich*.

Obecnie właścicielem Radiowo-Telewizyjnego Centrum Nadawczego w Tarnawatce jest spółka EmiTel.

Krajobraz na zachodzie zamykały lasy położone już w gminie Krasnobród. W dolinie rozłożyły się zabudowania Tarnawatki. Nad nimi w oddali widziałem Antoniówkę, potem Budy z ostro tnącymi niebo masztami telekomunikacyjnymi. Komin nieczynnej cegielni wyglądał przy nich jak ubogi krewny, żeby nie użyć słowa *Kopciuszek*. Szarą linią asfaltu droga krajowa nr 17 przecinała całą okolicę, wywijając efektownego zawijsa w samej Tarnawatce.

Moją uwagę zwracały budynki Szkoły Podstawowej z jej niedawno oddaną do użytku halą sportową. W dali widać było kościół z jego charakterystyczną wieżą. Dolna część ulicy Szkolnej została już prawie w całości zagospodarowana. Wydaje się, że jeszcze niedawno biegła tędy błotnista droga, a zabudowania kończyły się na, delikatnie mówiąc, zaniedbanej lecznicy i jednym jedynym domu mieszkalnym. Obok były strzelnica, pola, a droga coraz bardziej dziurawa i wąska. Miejscami porastały ją dzikie róże, głogi i tarnina. To wszystko miało też swój smak i urok. Uroków zresztą było więcej! Jednym z nich była jazda na sankach czy workach z wysokich skarp strzelnicy.

Dziś wielu kierowców, jadących od strony Zamościa, szczególnie nocą, zastanawia się, jaki też obiekt mają przed sobą, bo oświetlenie ulicy Szkolnej sprawia wrażenie zeskoku skoczni narciarskiej.

Zjeżdżając powoli w kierunku centrum Tarnawatki, minąłem ulicę Wichrową. Jej nazwa nie wzięła się znikąd, bo oprócz niezaprzeczalnych walorów mieszkania w pięknej okolicy, są także i jego minusy. Jednym z nich jest wiatr, który potrafi hulać w tej okolicy niczym szalony rumak, czasami uszkadzając komuś dach, a czasami nawet porywając stojący na jego drodze garaż.

Naprzeciwno szkoły zjechałem w prawo kierunku przystanku, gdzie ostatnio powstało miejsce edukacyjno-rekreacyjne. Podjechałem sobie chodniczkiem na utwardzony plac. Rower postawiłem na przygotowanym do tego celu stojaku i poczytałem to, co napisano na tablicach edukacyjnych. Rzuciłem także okiem na mapę gminy. Przestrzeń dookoła została fajnie urządzona. Teren uporządkowano i obsadzono dekoracyjnymi roślinami. Znajdujący się obok nowy przystanek autobusowy, skonstruowany w stylu metal i szkło, dopełniał całości. Zrobiło się tu jakby luksusowo. W niepamięć odszedł stary budynek z metalowym napisem *TARNAWATKA*, w którym funkcjonowały kiedyś nawet sklepy.

Siadłem na ławeczce i spojrzałem na budynek Urzędu Gminy, który właśnie był remontowany. Na nowej elewacji zamontowany został napis: *GMINA TARNAWATKA*, poniżej znalazło się miejsce na herb.

Historia herbu gminy jest dość nowa, bo uchwalono go dopiero w roku 2017. Wraz z nim ustanowione zostały flaga, pieczęć, sztandar i insygnia gminy.

Nieco później, bo dopiero w roku 2019, Rada Gminy Tarnawatka przyjęła uchwałę ustanawiającą odznakę honorową gminy oraz zasady jej przyznawania. Do tej pory odznaki jednak nikomu nie przyznano.



Herb gminy Tarnawatka

Autorem projektu symboli gminy jest dr hab. Henryk Seroka z UMCS w Lublinie specjalizujący się w heraldyce. Do opracowania dołączone zostało uzasadnienie, które warto przytoczyć, gdyż zawiera ono także rys historyczny Tarnawatki.

Projekt herbu i innych symboli Gminy Tarnawatka oraz Odznaki Honorowej za Zasługi dla Gminy Tarnawatka.

Etymologia nazwy „Tarnawatka” według językoznawców wywodzi się od słowa „tarn” (tarń) i jest formą zdrobniałą, nawiązującą do miejsca „tarnawatego” (tarnowatego), czyli charakteryzującego się występowaniem tarniny. Tarnina, choć ma swoje odniesienie w kulturze symboli chrześcijańskich, nie zadomowiła się w świecie symboli heraldycznych.

Dzieje Tarnawatki poświadczone źródłowo sięgają początków XVI wieku. W początkach panowania króla Zygmunta Starego Tarnawatka wchodziła w skład dóbr królewskich położonych w starostwie beńskim.

W 1535 roku król Zygmunt I Stary potwierdził rozgraniczenie dóbr królewskich od dóbr prywatnych przeprowadzone przez komisarzy królewskich: Jerzego Krupskiego z Orchowa wojewody beńskiego, Stanisława Kmity z Wiśniczka kasztelana przemyskiego, Mikołaja z Pilczy kasztelana beńskiego, Stanisława Sienickiego podkomorzego beńskiego oraz Mikołaja Rachańskiego chorążego beńskiego. Dokument Zygmunta I Starego wymienia wchodzącą w skład dóbr królewskich miejscowość Tarnawatka seu Wolica (Tarnawatka czyli Wolica) oraz miejscowość Rachanie i Wierzch (ob. Wierzchrachanie między Tarnawatką

a Rachaniami?¹). Rozgraniczenie dóbr królewskich dotyczyło m.in. wyznaczenia granicy z miejscowością Niemirów, która wówczas wraz z Krynicami należała do dóbr dziedzicznych Jana Oleśnickiego podżupnika bocheńskiego oraz jego małżonki Katarzyny Rogaliny. Określenie w dokumencie Tarnawatki jako Tarnawatka seu Wolica świadczy o tym, że wieś ta, lub jej część, była założona stosunkowo niedawno, już w XVI wieku. Tarnawatka mogłaby zatem mieć metrykę podobną do Niemirowa po raz pierwszy wzmiankowanego w roku 1507 jako wsie wołoskie. Tarnawatka wzmiankowana w źródłach skarbowych z pocz. XVI w. wymieniana jest jako wieś odznaczająca się żyznością gleb.

W 1559 r. doszło do zamiany wsi królewskich Tarnawatka, Wieprzowe Jezioro i Pańków (ob. na terenie gminy) oraz Wierzchrachanie, na wsie Damanice i Turów położone koło królewskich Niepołomic należące do synów Jana Oleśnickiego - Łukasza, Marcina i Andrzeja Oleśnickich. Zamiana ta jako niesprawiedliwa dla dóbr królewskich została w części cofnięta w 1569 r. i z wymienionych wsi już tylko Niemirów pozostał w dobrach Oleśnickich.

Po powrocie Tarnawatki do dóbr królewskich miejscowość ta stała się ośrodkiem dóbr królewskich jako siedziba starostwa niegrodowego. Rejestry poborowe i lustracje dóbr królewskich notują w Tarnawatce w roku 1531 - 3 i $\frac{3}{4}$ łana użytków, a w 1578 r. - 6 i $\frac{3}{8}$ łana, 16 zagrodników, 19 komorników oraz cerkiew (wzmiankowaną też w 1541 r.). Dawniejsza literatura jako datę erekcji cerkwi w Tarnawatce podawała fundację króla Jana III Sobieskiego z 1697 r., tymczasem było to zapewne ufundowanie nowej budowli cerkwi unickiej pod wezwaniem św. Trójcy. Lustracja z 1564 r. notowała w Tarnawatce folwark, młyn, karczmarza, tywona, 11 bartników, 16 zagrodników oraz 25 kmieci osiadłych na przeszło 12 łanach. Dobra starostwa tarnawackiego, dzierżawione m.in. przez Zamoyskich, po roku 1772 r. zostały skonfiskowane przez władze austriackie.

Istniejąca od XVI w. parafia unicka w Tarnawatce w II poł. XIX w. włączona została do cerkwi prawosławnej. Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę, w 1919 r. zniszczona działaniami wojennymi cerkiew przejęta została dla

¹ Wierzchrachanie jako Werechanie koło Tyszowiec identyfikuje M. Janeczek (Osadnictwo pogranicza polsko-ruskiego..., Wrocław 1991 s. 149). Dane historyczne przytoczone są za opracowaniem M. Janeczka i J. Niedźwiedzia, Leksykon miejscowości dawnego województwa zamojskiego, Zamość 2003. Wiadomości o niektórych miejscowościach gminy zestawia W. Gruner na stronie internetowej gminy (bip).

kościół powszechny. Dla nowego kościoła obrane zostało wezwanie charakterystyczne dla kościoła zachodniego: w 1921 r. bp lubelski Marian Fulman erygował parafię pod wezwaniem śś. Piotra i Pawła (wyłączając Tarnawatkę z parafii w Krasnobrodzie).

Tradycja ośrodka starostwa niegrodowego z czasów I Rzeczypospolitej w połączeniu z rolą Tarnawatki jako siedziby parafii rzymsko-katolickiej współcześnie otworzyły przed tą miejscowością możliwość usytuowania tutaj lokalnego ośrodka administracji. W II poł. XX w., w wyniku decyzji z lat 70. i 80. XX w. Tarnawatka stała się siedzibą gminy. Projekt herbu gminy nawiązuje do świętych patronów kościoła parafialnego w Tarnawatce. Wybór herbu stanowi także przypomnienie lokalnych dziejów towarzyszących wskrzeszeniu państwa polskiego w 1918 r. i w latach najbliższych. Odbywać się to będzie w pierwszym roku ogólnonarodowych obchodów jubileuszu 100. rocznicy odzyskania niepodległości.

1. Pierwszy komplet symboli.

Herb.

Projekt herbu Gminy Tarnawatka przedstawia w polu czerwonym tarczy klucz srebrny (biały) i takiż miecz ze złotą (żółtą) rękojeścią i jelcem skrzyżowane ze sobą w skos. Układ figur, gdzie klucz umieszczony w prawo skos (lewo dla patrzącego) skierowany jest tzw. piórem do góry, a miecz umieszczony w lewo skos ostrzem w dół wynika z przyjmowanych w heraldyce rozwiązań.

Herb nawiązuje do kościoła parafialnego w Tarnawatce noszącego wezwanie śś. Piotra i Pawła. W heraldyce polskiej wezwanie głównego kościoła (farnego, kolegiackiego, katedralnego) często dostarczało motywów do utworzenia herbu, które odbywało się z odwołaniem się do wyobrażeń postaciowych świętych patronów lub poprzez odpowiednie ich symbole zwane atrybutami. Atrybutami świętego Piotra są klucze. W heraldyce spotykane są przedstawienia dwóch lub jednego klucza jako odniesienia do św. Piotra. Z kolei św. Paweł symbolizowany jest przez atrybutem księgi oraz miecza. W herbach odnoszonych do obydwu świętych umieszcza się: dwa klucze Piotrowe z mieczem lub jeden klucz i miecz w skrzyżowane w skos lub umieszczone pionowo obok siebie.

Wizerunki klucza i miecza z herbu Gminy Tarnawatka nawiązują swymi kształtami do wyobrażeń widniejących w witrażu kościoła parafialnego w Tarnawatce.

Flaga.

Flaga ma proporcje boków jak 5:8. Pierwszy projekt flagi przedstawia tzw. flagę heraldyczną, tj. taką, w której czerwony płat flagi odpowiada polu tarczy herbowej, a na nim pośrodku widnieją figury klucza i miecza.

Drugi projekt flagi ma płat dzielony pionowo na dwie połowy, w pierwszej od drzewca czerwonej widnieją figury klucza i miecza, druga część tzw. swobodna jest barwy białej, odpowiadającej drugiej brawie herbu.

Pieczenie urzędowe z herbem gminy.

W pieczęciach widnieje godło herbowe gminy (bez tarczy) oraz napis, zgodnie z tradycją i praktyką pieczęci samorządowych inicjowany krzyżykiem, odpowiadający nazwie dysponenta. Średnica pieczęci powinna wynosić 36 mm.

Sztandar.

Płat sztandaru na prawo od drzewca jest koloru białego, pośrodku którego widnieje herb gminy oraz napis czerwony GMINA TARNAWATKA.

Płat na lewo od drzewca jest koloru czerwonego i przedstawia wizerunek Orła białego, jako godła państwowego, pośrodku.

Głowica sztandaru przedstawia grot złocisty, w którym widnieją klucz i miecz jako figury herbu gminy.

Płaty sztandaru obwiedzione są frędzlą złocistą o długości ok. 8 cm. Wielkość płatów rzeczywistych powinna wynosić ok. 110-120 cm.

Przedstawia się trzy warianty płata sztandaru z herbem gminy. W dwóch pierwszych widnieje motyw dekoracyjny modrzewiowy, zgeometryzowany lub bardziej naturalistyczny. Trzeci wariant strony po prawej stronie drzewca przedstawia herb z nazwą gminy oraz wizerunki śś. Piotra i Pawła z obydwu stron tarczy herbowej, wspartych jedną dłonią na tarczy i z biblią w drugiej. Motyw świętych patronów kościoła parafialnego w Tarnawatce ze zmianą barwy szat świętych ze złocistej na błękitną zaczerpnięty został z witraża z tegoż kościoła. Przedstawienie herbu z postaciami świętych patronów jest niejako alegorycznym wyrażeniem powstania herbu gminy.

Insygnia.

Insygniami gminy są łańcuch wójta oraz łańcuch przewodniczącego rady gminy. Pierwszy komplet insygniów przedstawia projekt łańcucha wójta składający się z herbu gminy oraz ogniw łączących, 19 pełnych i 2 o zmodyfikowanym kształcie, w których w zaokrąglonych polach widnieje motyw dekoracyjny modrzewiowy, przedstawiający w przedzielonych polach po dwa wizerunki igieł modrzewiowych oraz wizerunek szyszki. Motyw roślinny modrzewia nawiązuje do rezerwatu przyrody modrzewia polskiego znajdującego się na terenie gminy. Łańcuch wójta jest koloru złocistego, a łańcuch przewodniczącego rady ma kolor srebrzysty.

Drugi komplet insygniów przedstawia projekt złocistego łańcucha wójta z medalionem, w którym widnieje herb gminy z postaciami świętych Piotra i Pawła z obu stron tarczy herbowej (medalion wraz z dwoma bocznymi ogniwami tworzyć będą jeden element). Ogniwa łączące łańcucha mają formę ażurową, w których umieszcza się na przemian klucz i miecz jako figury herbu gminy. Łańcuch przewodniczącego rady ma kolor srebrzysty.

Odnzaka Honorowa Zasłużony dla Gminy Tarnawatka.

Wstążka odznaki ma szerokość 40 mm i składa się z barw herbu gminy, dwóch pasów czerwonych zewnętrznych o szerokości 10 mm każdy, dwóch białych pośrodku o szerokości 8 mm każdy, przedzielonych żółtym prążkiem o szerokości 4 mm. Medal odznaki jest koloru złocistego i ma kształt okrągły, przedstawia pośrodku herb gminy z wizerunkiem śś. Piotra i Pawła. W otoku odznaki widnieje jej nazwa. Na rewersie medalu odznaki przewiduje się grawerowanie imienia i nazwiska odznaczonego oraz numer bieżący odznaki i datę roczną jej nadania. Dołącza się projekt wzoru dyplomu nadania odznaki.

Rozważany był także wariant symboli zamieszczonych na zielonym tle. Ostatecznie jednak w głosowaniu Rada Gminy zdecydowała o przyjęciu czerwieni jako koloru dominującego. Patrząc na herb widniejący na ciemnej elewacji budynku, pomyślałem, że była to decyzja słuszna, widok sprawiał imponujące wrażenie.

Ruszyłem ulicą Lubelską w kierunku Zamościa. Przejechałem obok siedziby poczty. Gniazda kawek, wybudowane na okolicznych drzewach, tętniły życiem. Dookoła rozlegał się skrzekliwy głos ich lokatorów, sprawiając wrażenie niemal awantury domowej.



Budynek dawnej karczmy w Tarnawatce

Na sąsiedniej posesji znajdował się starannie odremontowany budynek, który kiedyś służył jako zajazd. Obiekt ten został wpisany do rejestru zabytków jako dawna karczma w zajeździe oraz dziedziniec w zajeździe. Całość powstała w połowie XIX wieku, a obecnie stanowi własność prywatną i nie jest udostępniona do zwiedzania. Z tą budowlą wiąże się historia, która miała się wydarzyć podczas budowy drogi łączącej Zamość z Tomaszowem Lubelskim w końcu lat 30. i na początku 40. XIX wieku. Plany budowy przewidywały, że droga przez Tarnawatkę przebiegać będzie prosto, omijając stojącą w centrum wsi karczmę. Właściciel zajazdu narodowości żydowskiej, nie chcąc utracić zysków, przekupił budowniczych i trasa drogi została zmieniona z korzyścią dla niego. Drugorzędnym pozostał interes podróżnych, którzy już od około 160 lat muszą pokonywać niebezpieczne zakręty, znajdujące się w Tarnawatce. Wygląda jednak na to, że sytuacja wkrótce się zmieni, bo plany budowy drogi ekspresowej przewidują jej przebieg w odległości ponad 300 m od tego miejsca.

Minąłem skrzyżowanie ulic Lubelskiej z Jasną i Boguty. Pokonałem naprawdę niebezpieczny odcinek drogi, bo nie dość, że ruch był duży, to

jeszcze zakręt i ostry podjazd. Na szczęście, na szczycie moja trasa prowadziła w zdecydowanie spokojniejsze okolice. Skręciłem w prawo, w szutrową drogę. Pomimo tego, że wciąż słyszałem odgłosy wydawane przez przejeżdżające obok samochody, poczułem się bezpiecznie. W miejscu, do którego dotarłem, znajdowały się raptem 3 posesje i to nie wszystkie zamieszkałe. Kiedyś musiało tutaj być zdecydowanie gwarniej, bo przez wiele lat funkcjonował tu młyn. Drewniany budynek został rozebrany, a teraz prawie w tym samym miejscu powstaje dom mieszkalny. Zostawiłem rower i podszedłem do kopca, na którym ustawiono duży drewniany krzyż. Zamieszczona na nim tabliczka sugeruje jego związek z powstaniem styczniowym. W niektórych opracowaniach pojawiają się wprost informacje, że jest to mogiła powstańcza z tamtego okresu. Zastrzegam, że nie jestem historykiem i żadnych badań naukowych w tym zakresie nie prowadziłem. Jednak, kiedy ten krzyż został ustawiony, zacząłem sprawie przyglądać się bliżej. Kupiłem nawet książkę Stanisława Zielińskiego pt. *Bitwy i potyczki 1863-1864*, żeby zobaczyć, czy pod Tarnawatką lub w pobliżu niej wydarzył się jakiś krwawy epizod powstańczy. No i niczego nie znalazłem. Wydaje mi się, że pochówki w mogiłach zbiorowych urządzone są wtedy, kiedy poległo wiele osób w jednym czasie i nie ma możliwości grzebania ich osobno. W końcu natrafiłem na informację zamieszczoną w przedwojennym lokalnym wydawnictwie *Ziemia Tomaszowska*, w którym napisano, że przydrożny kopiec w Tarnawatce, podobnie jak i w Wólce Łabuńskiej, jest pamiątką pozostawioną przez budowniczych drogi w połowie XIX wieku.





Wjazd do Tarnawatki od strony Zamościa

Jaka by nie była prawda historyczna, która - co muszę z ubolewaniem stwierdzić - często się zmienia, miejsce jest godne uwagi i zobaczenia.

Znajdowałem się w bliskiej odległości miejsca przez mieszkańców Tarnawatki nazywanego *Kamionką*, a to z racji tego, że kiedyś wydobywano tu kamień wapienny, wykorzystywany do budowy domów.

Chociaż to już październik, pogoda była wprost wymarzona! Ledwo wyjechałem wąską dróżką pomiędzy zabudowań, przywitał mnie łań cytrynowo kwitnącej gorzycy. Jeden rzut oka dookoła pozwolił stwierdzić, że oto jestem świadkiem prawdziwego cudu natury. Przedemną w dole rozciągała się ulica Jasna. W dali widać było las Skrzypny Ostrów. Miałem wrażenie, że liście drzew płoną wszystkimi odcieniami złota, brązu i czerwieni. Promienie słońca, nisko wędrującego po niebie, jeszcze bardziej podkreślały całą paletę barw jesieni. Gdzieniedzie widać było smugi dymu ścielące się delikatną chmurką po polach i zaroślach. Tarnawatka oglądana z zupełnie innej perspektywy, niż oglądałem ją przed niecałą godziną, robiła zupełnie inne wrażenie. Wieś, która jeszcze do niedawna zajmowała dolinę pomiędzy wzgórzami, dziś śmiało

rozbudowała się w kierunku szczytu ulicy Szkolnej. Dopiero stąd dało się zauważyć, jak imponujące wrażenie robi to nowe osiedle. Pewnie mógłbym tak przestać długie godziny, podziwiając krajobrazy i moją ulubioną porę roku. Niestety trzeba było jechać dalej. I trochę z nostalgią pomyślałem, że może to już mój ostatni pobyt w tym miejscu, zanim wszystko się zmieni. A zmienić ma się wiele. W 2021 roku rozpocznie się budowa drogi od cmentarza przy ulicy Jasnej aż na samą górę. Co ciekawe droga gminna przebiegać będzie w miejscu, które planiści drogowi od wielu lat rezerwowali pod inwestycję *wyprostowania* krajowej siedemnastki w Tarnawatce. Na miejscu widocznych jeszcze wyrobisk, pozostałych po wydobyciu *opoki*, jak nazywany jest ten popularny kiedyś budulec, powstanie duża hala przemysłowa. Zakład, który zostanie tu wybudowany, zajmuje się produkcją konstrukcji stalowych, nawet bardzo dużych. Powstawać będą tu między innymi śmigła do elektrowni wiatrowych.

Pojechałem dalej w kierunku ulicy Północnej. Moja nostalgia nie trwała długo. Ukoiła ją otaczająca mnie przyroda. Nie miałem sił, żeby oprzeć się kolorom i pejzażom, jakie roztaczała przede mną jesień. Jak zaczarowany gapiłem się na odległą Antoniówkę, Sumin, Pauczne, lasy i pola. Mojemu zapatrzeniu towarzyszyły wróble wesoło rozrabiające w zaroślach. Beztróskiego nastroju nie zmienił nawet dym gęsto buchający z ogniska palonego przez dwóch młodych dżentelmenów. Całkiem nieźle już „okadzony”, dojechałem do ulicy Północnej. Ta część Tarnawatki położona jest w sporym oddaleniu od reszty zabudowań, a jej tradycyjna nazwa brzmi Pucharki i nadal jest często używana. Jej pochodzenie wydawało mi się przez wiele lat jednoznaczne, bo kojarzyło się ze zdrobnieniem słowa *puchar*. Tymczasem nie. Według naukowców nazwa Pucharki ma się wywodzić od ukraińskiego słowa *pohority* oznaczającego tyle co: palić się, płonąć, używanego na określenie wypalonego lasu. Ukraińskie słowo *pohar* oznacza miejsce, w którym wypalono las.

Kiedy na początku XX wieku w Tarnawatce nadawane były nazwy ulic, ulica Północna pierwotnie została nazwana: Pucharki. Jednak mieszkańcom ten pomysł nie przypadł do gustu i teraz mają ulicę Północną. A życie płynie tu sobie powoli i spokojnie. Jakby trochę na prze-

kór nazwie większość z kilkunastu gospodarstw położonych jest po południowej stronie asfaltowej drogi biegnącej przez tę kolonijkę.



Widok z ul. Północnej

Kiedy dotarłem do skrzyżowania z drogą powiatową prowadzącą do Paucznego, czyli ulicą Polną w Tarnawatce, przed sobą miałem kolejny widok, którym zawsze się zachwycam. Po lewej stronie obsadzony lipami stał drewniany krzyż. Za nim droga utwardzona częściowo pły-

tami schodziła w dół, w wąwóz porośnięty dookoła drzewami. Daleko na widnokręgu widoczne były odległe tereny Grzędy Sokalskiej. Zrezygnowałem z powrotu do Tarnawatki, chociaż wiedziałem, że później opłacę to sporym wysiłkiem podjazdu pod górę. Pociągnęła mnie droga w kierunku Huty Tarnawackiej. Szybko przejechałem utwardzony odcinek i znalazłem się w innym świecie. Prosto ze słonecznych gór wjechałem w zacieniony, trochę tajemniczy wąwóz. Szczyty zboczy były jasno oświetlone, a na jego ocienionym dnie rozgościł się delikatny mrok. Tuż przy drodze rosły gęste krzaki tarniny, a na nich granatowe koraliki tarrek. Kiedyś zdarzyło mi się nawet zbierać w tym miejscu te owoce, żeby przyrządzić z nich tradycyjną nalewkę. Bo jakże miejscowość, która swoją nazwę wywodzi od tarniny, mogłaby się obejść bez tarninówki?

Dla większej popularyzacji tarninówki pozwolę sobie podać najprostszy, ale sprawdzony sposób na przygotowanie tego trunku. Kilo-gram tarniny zalewamy litrem wódki, dodajemy do tego dwie szklanki cukru (może być ciut mniej), 3 goździki, korę cynamonu i skórkę otartą z cytryny. Owoce powinny być przemrożone. Jeżeli nie zrobiła tego natura, można włożyć je na 2 doby do zamrażarki. Zalecam również ich przebranie, bo zdarzają się zgniłe oraz takie, które mają na sobie wyraźne ślady ucztowania ptactwa, które bynajmniej ptasim mleczkiem nie są... Przebrane i przemrożone owoce należy również opłukać. Tak przygotowana nalewka powinna stać przez 6 tygodni w ciepłym i nasłonecznionym miejscu, a co kilka dni należy ją zamieszać. Po tym czasie płyn zlewamy i odstawiamy w ciemne miejsce, najlepiej na pół roku.

I tak oto, w zupełnie nieplanowany sposób znalazłem się w Hucie Tarnawackiej. Ledwo odbiłem w prawo i już byłem na drodze łączącej Werechanie z Tarnawatką. Czekał mnie znów dosyć ciężki podjazd, ciągnący się aż do samego lasu. Zatrzymałem się przed jego granicą i z pola po lewej stronie znów patrzyłem na okolicę. Tym razem w dole na pierwszym planie miałem Hutę Tarnawacką z wyróżniającymi się budynkami kościoła i szkoły.

Przejechałem około kilometra wzdłuż lasu, żeby bez zbytnich przeszkód ominąć opuszczony szlaban. Znalazłem się na leśnej drodze prowadzącej na południe. Teraz moim celem stał się rezerwat przyrody

Skrzypny Ostrów. Tę formę ochrony przyrody dla części lasu położonego w gminie Tarnawatka, na terenie wsi Wieprzów Tarnawacki, ustanowiono w roku 1967. Rezerwat utworzono w celu zachowania ze względów naukowych i dydaktycznych fragmentu starego lasu mieszanego naturalnego pochodzenia ze stanowiskiem modrzewia polskiego. Od roku 2015 jest on także chroniony na podstawie prawa międzynarodowego, gdyż wchodzi w skład Rezerwatu Biosfery *Roztocze*.

Muszę przyznać, że w rezerwacie Skrzypny Ostrów nie byłem jeszcze nigdy, chociaż próby dotarcia tam podejmowałem już kilkakrotnie. Do tej pory usiłowałem zrobić to od strony drogi Wieprzów - Tarnawatka-Tartak. Teraz podjąłem wyzwanie z drugiej strony. Nigdy nie udało mi się znaleźć w terenie znaków, które zaprowadziłyby mnie w to miejsce, więc sprawa do łatwych nie należała.

W lesie, przez który jechałem całkiem dobrą drogą, roznosił się warkot pił motorowych. Zaraz też, przy jednym z duktów, zauważyłem odpoczywającego robotnika. Zapytany o drogę do rezerwatu, wskazał mi kierunek i ścieżkę, którą powinienem do niego dotrzeć. Sam jednak przyznał, że dawno tam nie był. Na nowej trasie nie mogło być już mowy o jeździe. Trzeba było zsiąść z roweru i próbować go pchać. W końcu zdecydowałem się nawet zostawić go w jednym z charakterystycznych punktów, tymczasem las stawał się coraz bardziej dziki, a droga trudniejsza. Zacząłem nawet porównywać ją z tą pokazaną w słynnym radzieckim filmie *Syberjada*. Najpierw przez całe życie budował ją jeden z bohaterów z bali drewnianych, a po wielu latach przejechał po niej jakiś pojazd gąsienicowy. Tak mniej więcej prezentował się przede mną odcinek, który miałem do przebycia - bajora wody i błota, z których sterczały gałęzie i połamane konary drzew. Dookoła istny busz, ani przejść bokiem. Zarośla robiły się coraz gęstsze, więc w końcu poddałem się i po raz kolejny wracałem na tarczy z podboju Skrzypnego Ostrowa.





Leśny dukt w Skrzypnym Ostrowie

Po wyjściu z lasu pojechałem już wygodną asfaltówką w kierunku Tarnawatki. Minąłem stojące tuż przy drodze domy dawnego gospodarstwa Pucharki, należącego za czasów PRL do OHZ Tarnawatka. Za nimi znajdowały się budynki gospodarskie, w których kiedyś prowadzono hodowlę krów. Dziś całość opuszczona, niszczyje, bo od lat nie prowadzi się tutaj tej formy działalności rolniczej. Budynki zrobiły jednak na mnie duże wrażenie. Nawet oglądane tylko z drogi. Widoczne wyraźnie, bo usytuowane jak wyspa pośród zaoranego już pola. Szczególnie ciekawie prezentowały się olbrzymia, murowana stodoła i spichlerz. Oba obiekty stanowią dziś zabytek, a wybudowane zostały jeszcze w 1829 roku, czyli

wtedy, kiedy właścicielami majątku Tarnawatka byli Dzieduszyccy. Moje skojarzenia znowu pobiegły do filmu. Tym razem widziałem Serbinów z ekranizacji *Nocy i dni* Marii Dąbrowskiej, dokonanej przez Jerzego Antczaka. I to nic, że może okolica inna i wszechobecny eternit trochę psuł ten obraz, mnie się wydawało, że zaraz zjawi się Bogumił Niechcic ze swoją pozytywistyczną pasją i wszystko ponownie ożyje, a Pucharki-Serbinów ponownie rozkwitną.



Gospodarstwo Pucharki

Cuda się jednak nie zdarzają, a w pobliżu gospodarstwa planowana jest budowa węzła Tarnawatka przy drodze ekspresowej nr 17, więc znów trzeba się spieszyć, żeby łapać dzień i zapamiętywać chwile, które niesie ze sobą.

Przyjemnie zjeżdżałem z góry do Tarnawatki. Po lewej stronie rozciągały się pola. Na południowym zachodzie, nad lasem, tarnawacka wieża zdawała się sięgać chmur. Dobrze widoczne były ruiny owczarni, z zawalonym dachem i chylącymi się ku upadkowi ścianami, pośród których zdążyły już wyrosnąć wcale niemałe drzewa. Nieco powyżej znajdowały się zabudowania ujęcia wody Tarnawatka. Mijałem domy

ulicy Jasnej położone na wysokiej skarpie, które od szosy oddzielała linia chodnika.

Za przejściem dla pieszych skręciłem na cmentarz parafialny. Zawsze, kiedy przekraczam tarnawacką „Bramę Życia”, wracam pamięcią do swoich lat młodzieńczych. Zaczytywałem się wówczas w twórczości Edwarda Stachury. W jednej ze swoich opowieści pt. *Wszystko jest poezją* autor przyjeżdża do Tarnawatki na grób Mieczysława Kosza. Jako młody chłopak z głową pełną ideałów wybrałem się śladami mojego literackiego idola. Podróż nie była zbyt odległa i odbyłem ją oczywiście rowerem. I chociaż po latach oceniam, że utwory Stachury wpływały na mnie w sposób depresyjno-nostalgiczny, to jednak z pewnym sentymentem wspominam tamten czas. A gdzieś w głębi serca mała nutka melancholii pozostała...

Tarnawatka. Cmentarz na wzgórzu za piekarnią. Te słowa Stachury nadal pozostają aktualne.

Zanim jednak doszedłem do grobu pochowanego tutaj słynnego muzyka jazzowego Mieczysława Kosza, pospacerowałem trochę po cmentarzu. Lubię ciszę tego miejsca; lubię zadumać się w samotności nad przemijaniem i powspominać ludzi, których kiedyś znałem. Wydaje się, że nie tak dawno z kimś rozmawiałem, potem byłem na jego pogrzebie. Tymczasem minęło już 5, 10, 20, a nawet 30 lat od tamtej pory.

Groby były w większości czyste i zadbane. Bogate, marmurowe pomniki. Całość sprawiła na mnie wrażenie ładu i porządku. Niestety nie mogłem tego samego powiedzieć o działkach przylegających bezpośrednio do niego. Cóż, to dawny teren pod budowę drogi. Zapuszczony. Zakrzaczony i zachwaszczony. Spacerując po cmentarnych ścieżkach, dostrzegłem napisy nagrobne osób wciąż żyjących. Taka moda. Może zapobiegliwość? Dziwiło mnie to zawsze. Osobiście nie chciałbym zobaczyć swojego imienia i nazwiska na nagrobnej płycie. Mogiły poległych w czasie II wojny światowej czyste i wypielęgnowane. Tutaj także znajdują się groby osób zamordowanych w Suminie w styczniu 1943 roku. Natknąłem się też na grobowiec kolegi. Jego życie skończyło się tragicznie już ponad 30 lat temu. Gdzieś w pobliżu pochowano jego siostrę, którą również znałem i szanowałem. Tu znajomi, tu rodzice kolegów, tu

małżonkowie, tu sąsiedzi, tu małe dzieci... Tak wolno wędrując, dotarłem do wzgórka, na którym ustawiono stare nagrobki osób wyznania unickiego. Pomniki te zebrano z całego terenu cmentarza i ustawiono w jednym miejscu. Trafiłem kiedyś w Internecie na słowa oburzenia z tego powodu. Myślę, że nie jest to złe rozwiązanie. Lepiej zachować dla potomnych te prawdziwe dzieła sztuki kamieniarskiej, niż zastanawiać się, w jakich to „niewyjaśnionych okolicznościach” zniknęły one ze swojego miejsca i skąd raptem wziął się ten nowy nagrobek. Uważam też, że przy likwidacji starych pomników nie miała znaczenie wiara, jaką wyznawały osoby pod nimi pochowane. Po prostu opuszczenie i czas decydują o tym, że w miejscu starych powstają nowe mogiły. Jak by to nie zabrzmiało: takie życie! Czytając stare inskrypcje (pisane cyrylicą), dowiedziałem się, że pochodzą one z przełomu wieków XIX i XX. Niektóre osoby urodziły się jeszcze w latach 20. XIX wieku, czyli prawie 200 lat temu! Większość nagrobków znajdowała się w dobrym stanie. Niektóre wciąż zwieńczone były kamiennymi, sękatymi krzyżami. Zagadka ich powstawania pozostanie dla mnie chyba na zawsze nieodgadniona, a ich piękno wciąż będzie mnie zachwycać. Tuż przy lapidarium, niestety, zlokalizowano miejsce gromadzenia odpadów powstających na cmentarzu...



Nagrobek Mieczysława Kosza

Główną alejką wróciłem do grobu Mieczysława Kosza, który urodził się 10 stycznia 1944 roku w nieodległej Antoniówce, należącej do parafii Tarnawatka. W dzieciństwie wiele czasu spędził jednak w Suminie. Życie od początku go nie oszczędzało. Pochodził z wielodzietnej rodziny, w której w jednej izbie mieszkało szesnaście osób. Mieczysław bardzo kochał swoją matkę Agatę, to ona była jego duchową i materialną podporą. Matka wcześniej spostrzegła, że syn źle widzi. Po operacji okulistycznej w Lublinie wzrok Mietka nie poprawił się. W wieku 12 lat chłopiec stracił wzrok. Jego zdrowiem zainteresował się proboszcz Tarnawatki, ksiądz Tadeusz Boguta. Dzięki jego pomocy udało się umieścić pięcioletniego Mietka (już tracącego wzrok) w przedszkolu Zakładu dla Niewidomych w Laskach k/Warszawy. To w przedszkolu do Mietka uśmiechnęło się szczęście. Po muzycznych przesłuchaniach komisja kwalifikująca dzieci do nauki zawodu skierowała Mieczysława Kosza do Państwowej Szkoły Muzycznej dla Niewidomych w Krakowie. Nauki gry na fortepianie uczył się u prof. Olgi Oxeull, a następnie u prof. Romany Witeszczakowej. Mieczysław okazał się wyjątkowo zdolnym uczniem. Ten nieduży, szczupły chłopak jako jeden z nielicznych muzyków potrafił wziąć w akordzie decymę. Wydarzeniem, które dramatycznie odbiło się na życiu Mieczysława, było fizyczne rozebranie jego rodzinnego domu w Antoniówce. Od tej chwili wakacje spędzał w domu swojej ciotki Feliksy lub na koloniach letnich organizowanych przez szkołę. Jak wspominają jego koledzy, Mieczysław w szkole był chłopcem bardzo koleżeńskim, ale także melancholijnym i często zamkniętym w sobie. Jazzem Mieczysław Kosz profesjonalnie zajął się w 1957 roku podczas I Ogólnopolskiego Festiwalu Muzyki Jazzowej w Sopocie. Fascynowała go muzyka Bacha, Liszta, Chopina, a szczególnie Beethovena. W swojej muzycznej twórczości inspirował się muzyką tych kompozytorów. Łączył pianistykę jazzową z muzyką romantyczną i często w swoich utworach nawiązywał do polskiego folkloru. Jego grę najwybitniejsi muzycy jazzowi porównywali do grupy BILLA EVANSA. Mieczysław Kosz nazywany przez kolegów *MITIA* współpracował z najwybitniejszymi polskimi muzykami jazzowymi, w tym także z Janem "Ptaszy-nem" Wróblewskim. Był stałym bywalcem prestiżowych festiwali jazzowych JAZZ JAMBOREE i JAZZ NAD ODRĄ.

Sukcesem był jego koncert w 1968 roku w Wiedniu, gdzie z własnym trio (M. Kosz, J. Ostaszewski i S. Perkowski) na VII Osterreichisches Amateur Jazz Festival zdobył pierwsze miejsce w kategorii międzynarodowej. MITIA koncertował w Monchengladbach, Budapeszcie czy w Montreux w Szwajcarii. W czerwcu 1969 roku grał w znanym paryskim klubie jazzowym "Cameleon" i ponownie na Węgrzech, w RFN, Berlinie, Pradze. Dużo czasu poświęcał na nagrania radiowe i telewizyjne, między innymi w programie TV A. Trzaskowskiego pt. "Spotkanie z jazzem". Niestety pomimo obracania się w wielkim jazzowym i artystycznym środowisku był człowiekiem samotnym i potrzebującym pomocy. Na początku czerwca 1973 roku miał koncertować w Lublinie, a następnie w Wiedniu. Niestety tych koncertów już nie było.

31 maja 1973 roku wypadł z okna pokoju swojej stacji przy ul. Pięknej 31/37 w Warszawie. Upadek okazał się śmiertelny. Do dziś nie wiadomo, czy popełnił samobójstwo, czy był to wypadek. Ten znakomity polski muzyk jazzowy stracił życie, mając 29 lat. Pozostało po nim pięć płyt, Klub Jazzowy im. Mieczysława Kosza w Zamościu, Festiwal Pianistów Jazzowych w Kaliszu i płyta dedykowana MITII przez zespół RGG TRIO pt. "Unfinished Story - Remembering Kosz". W roku 2019 o Koszu znów zrobiło się głośno za sprawą filmu Macieja Pieprzycy pt. *Ikar. Legenda Mieczysława Kosza*. Główną rolę brawurowo odegrał Dawid Ogrodnik, a w obsadzie filmu znaleźli się m.in. Jowita Budnik i Piotr Adamczyk.

Wyszedłem z komentarza, żeby kontynuować swoją podróż przez Tarnawatkę. Z ulicy Jasnej, przekroczywszy krajową siedemnastkę, wjechałem na ulicę Księdza Boguty.

Kim był ksiądz Boguta, postać, która w mojej opowieści pojawiła się już kilkakrotnie? Myślę, że najlepiej scharakteryzował ją ks. prof. dr hab. Edward Walewander w artykule pt. *Proboszcz dobroci - ks. Tadeusz Boguta (1906-1982)*, który ukazał się w numerze 23 miesięcznika *Co w Naszej Gminie*.

Życie ks. Tadeusza Boguty było bardzo zwyczajne, spokojne, ciche, pozbawione jakichkolwiek efektownych momentów. Swoją kapłańską postawą dawał wyraz autentycznej, otwartej odwagi, torującej mu drogę przez życie, które-

go celem jest Bóg. Docieranie do tajemnicy Chrystusa, szczodrze i obficie objawiającego się w tajemnicy człowieka, to jednocześnie przybliżanie postaci kapłana, który zawsze był wierny chrześcijańskiej miłości, a kierując się Ewangelią, szerzył ją w swym codziennym życiu kapłańskim.

Tadeusz Boguta urodził się 8 października 1906 r. w Modliborzycach. Jego ojciec pełnił tam funkcję organisty. Później rodzina przeniosta się na Podlasie, do Woli Gułowskiej, a następnie do Wojcieszkowa. Po ukończeniu w 1927 r. szkoły średniej Tadeusz Boguta wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego w Lublinie. Świecenia kapłańskie otrzymał 19 czerwca 1932 r. z rąk ks. bpa Mariana Leona Fulmana. Swoją postugę kapłańską oparł na wezwaniu: „Opowiadać Ewangelię ubogim postać mnie Pan”, które umieścił na obrazkach prymicyjnych.

Zaraz po święceniach został skierowany do pracy duszpasterskiej w parafii Klementowice. Niecały rok później, w maju 1933 r., skierowano go do parafii Rozesłania Apostołów w Chetmie. Był tam wikariuszem do 1 maja 1937 r. Tego dnia otrzymał nominację na samodzielną placówkę w Tarnawatce. Pracował w niej 45 lat, do końca życia.

Kiedy do Tarnawatki przybył nowy proboszcz, parafię zamieszkiwała ludność mieszana: ukraińska – wyznania prawosławnego, i polska – wyznania rzymskokatolickiego. Katolicy z Tarnawatki i pobliskich wsi modlili się wówczas w kościele przerobionym w 1920 r. z cerkwi prawosławnej (wybudowanej 30 lat wcześniej, w 1890 r.). Prawosławni zrzekli się jej po pierwszej wojnie światowej, twierdząc, że potrzeba im narzędzi rolniczych do uprawy ziemi. Nie stać ich na odbudowanie zniszczonej świątyni. W końcu zdecydowali się wznieść nową drewnianą cerkiew-kaplicę w Tarnawatce na Woli. W głównym ołtarzu umieścili obraz Matki Boskiej Kazańskiej. Stan taki trwał do 1938 r. Którejś nocy drewniana cerkiewka została rozebrana. Nie pozostało po niej śladu. Wówczas nasiliła się wzajemna niechęć, nienawiść między ludnością ukraińską a polską, której punkt kulminacyjny przypadł na okres okupacji. Nowy proboszcz odegrał wówczas ważną rolę, łagodząc rozgorzały konflikt religijny i narodowościowy.

Po zakończeniu wojny ks. Boguta poświęcił zniszczony kościół i wznowił normalną służbę Bożą. Z wielkim zaangażowaniem zaczął leczyć rany zadane parafii przez wojnę. Rozpoczął od świątyni. Z jego inicjatywy zostały wykonane trzy ołtarze, pomalowano świątynię, jej dach pokryto blachą. Naprawiono uszkodzoną wieżę kościelną.

Największą inwestycją ks. Boguty jest z pewnością plebania, wybudowana w nietatwowych latach 1958-1961. W uznaniu dla jego gorliwej pracy kapłańskiej biskup lubelski Piotr Kałwa w 1969 r. mianował ks. Bogutę kanonikiem honorowym Kapituły Zamojskiej.

Dnia 20 czerwca 1982 r. obchodził złoty jubileusz kapłaństwa i 45-lecie pracy proboszczowskiej w Tarnawatce. Na tę uroczystość przybył ówczesny biskup lubelski Bolesław Pylak. Uczestniczyło w niej wielu kapłanów i tłumy wiernych. Parafianie oprócz innych wyrazów życzliwości ofiarowali jubilatowi monstrancję, księży wychowankowie kielich. Te dwa dary pozostają w parafii znakiem wdzięczności wobec tego zasłużonego kapłana.

Niedługo mógł się cieszyć swoimi osiągnięciami i wdzięcznością wiernych. Po zakończeniu urlopu spędzonego w Natęczowie, nastąpił wylew, a wkrótce potem, 13 sierpnia 1982 r., przyszyła śmierć. Pogrzeb ks. Tadeusza był prawdziwą manifestacją religijną. Uroczystościom żałobnym przewodniczył ks. bp Pylak. Wzięli w niej udział nie tylko parafianie tarnawaccy, ale także przedstawiciele okolicznych parafii. Pochowany został na cmentarzu w Tarnawatce.

Wielu dawnych parafian, dzisiaj już dorosłych, podkreśla, że zapał ks. Boguty udzielał się młodzieży, zachęcał ją do poświęceń w pracy na rzecz Kościoła. Młodzież licznie i bardzo chętnie uczestniczyła we wszystkich akcjach duszpasterskich, które inspirował ich proboszcz.

Pisząc o pracy duszpasterskiej „proboszcza dobroci” z Tarnawatki, trzeba koniecznie zaznaczyć, że swą postugą nie tylko przyciągał do siebie wielu wiernych, ale całym swym życiem wskazywał ludziom drogę do Boga. Uczył, jak przez Maryję, Jej śladem, iść do Chrystusa. Boga uczynił celem swego życia.

Charakteryzując sylwetkę duchową ks. Boguty, trzeba koniecznie powiedzieć, że zawsze był bardzo zrównoważony, potrafił opanować każdą sytuację, w rozmaitych okolicznościach swym spokojem wewnętrznym, ładem i wewnętrzną harmonią wpływał na ludzi.

Bardzo trafnie zatem wybrał motto swojego jubileuszu 50-lecia kapłaństwa. Na obrazkach kazat wydrukować słowa: „Nie wyście Mnie wybrali, ale ja was wybrałem i przeznaczyłem was na to, abyście szli i owoc przynosili, i by owoc wasz trwał” (J 15, 16). Tą myślą ukoronował swoje pracowite kapłańskie życie. Wiedział, że człowiek współczesny chętniej słucha świadków niż nauczycieli. Jeśli był słuchany, to dlatego, że był świadkiem właśnie tych słów Chrystu-

sa. Z przekonaniem można powtórzyć często wypowiediane o nim słowa, że „przeszedł przez życie, dobrze czyniąc”. Trud jego pracowitych rąk i żarliwego serca przyniósł piękny owoc świętości kapłańskiej. Wspomniane cechy bogatej osobowości ks. Boguty ukazują, że może on być wzorem świętości realizowanej na świeckiej i na kapłańskiej drodze życia.

Wszyscy, którzy znali bliżej ks. kanonika Tadeusza Bogutę, jego życie i działalność, zachowują na zawsze w pamięci postać szlachetnego, męznego i mądrego kapłana, wiernego swemu umiłowanemu Kościołowi i ojczyźnie. Pozostaje w ich sercu obraz człowieka wrażliwego na potrzeby i krzywdę ludzką, zawsze gotowego przyjść z pomocą bliźniemu.

Takim zachowuje go również w swej wdzięcznej pamięci piszący te słowa, który znał go od swoich wczesnych lat dzieciństwa i doznał od niego bardzo dużo serca. W ogromnej mierze zawdzięcza mu wybór drogi życia w pracy dla Boga i bliźniego. Mogłem tego kapłana zawsze uważać za przyjaciela, niemal za drugiego ojca.

Opisywana tu przeszłość nie jest zbyt daleka, zatem i krytyczna weryfikacja tej relacji okazuje się możliwa i stosunkowo łatwa. Nie zaniedbano jej także w tym przypadku. Naszkicowana tu sylwetka duszpasterza i kapłana, przeżywającego swe kapłaństwo jako nieustanną służbę, nie jest panegirikiem. Nie jest nim dlatego, że ks. Boguta rzeczywiście był takim człowiekiem, jakim pozostaje do dziś w pamięci wielu ludzi, którzy różnią się przecież środowiskiem, z jakiego pochodzą i w jakim żyją, zapatrywaniami, może nawet światopoglądem. W jednym byli i są zgodni – właśnie w bardzo pozytywnej ocenie tego kapłana.

Także dla autora tego krótkiego szkicu o ks. Tadeuszu Bogucie był on drogowskazem wskazującym każdemu drogę ku ideałowi. Chodziło tu zatem, by ten wzór oddać w całym jego bogactwie. Dlatego zamiast zwięzłej, suchej formy „obiektywnej” biografii starałem się czytelnikowi opowiedzieć swobodnie o konkretnych i rzeczowo bynajmniej nieupiększonych kolejach kapłańskiego życia.

Zaraz na początku ulicy, po prawej stronie zatrzymałem się przy granitowej tablicy, otoczonej metalowym płotem. Upamiętnia ona ofiary mordy, którego dokonali w tym miejscu hitlerowcy w czerwcu 1942 roku. Szczegóły tej historii wyjaśnił Robert Czyż na łamach numeru

73 gazety *Co w Naszej Gminie* w artykule pt. *Krwawy czerwiec*, którego fragmenty pozwolę sobie przytoczyć:



Miejsce pamięci przy ul. Ks. Boguty

(...) W czerwcu 1942 r. Niemcy w publicznej egzekucji rozstrzelali 8 mieszkańców Tarnawatki. Był to odwet za wcześniejsze podpalenie przez partyzantów pobliskiego zakładu. Dlaczego wybrano akurat ich? Najbardziej prawdopodobne wydaje się, że zginęli za to, że we wrześniu 1939 roku tworzyli „czerwoną milicję”, czy jak kto woli „komuny wiejskie”. Przyległa do nich także nazwa „opaskowców”.

Po wkroczeniu Sowietów w 1939 r. w wielu miejscach powiatu tomaszowskiego mniejszości narodowe (Ukraińcy i Żydzi) oraz komuniści entuzjastycznie ich witali, stawiając triumfalne bramy.

(...) Rządy Sowietów szybko się skończyły, nastąpiła okupacja niemiecka. Na początku 1942 r. przychylna dotąd niemiecka polityka w stosunku do ludności ukraińskiej uległa wahnięciu, co odzwierciedla postawa gestapo i żandarmarii, która, nie oglądając się na wcześniejszą taktykę, uderzyła na wsie zamieszkałe przez Ukraińców, dokonując wielu egzekucji, aresztowań czy grabieży. Zaczęto stosować odpowiedzialność zbiorową.

(...) W dniu 8 czerwca 1942 roku sowieccy partyzanci dowodzeni przez Miszkę Tatara, wspólnie z oddziałami Batalionów Chłopskich i Armii Krajowej, spaliły Zakłady Przemysłu Drzewnego w Tarnawatce – Tartaku należące do hrabiego Tyszkiewicza, a wówczas będące pod zarządem niemieckim. Udana akcja rozwścieczyła Niemców. Postanowili sobie to powetować. Gestapo z Zamościa aresztowało 8 mieszkańców Tarnawatki, oficjalnie za to, że w 1939 roku byli członkami „czerwonej milicji. W rzeczywistości był to odwet za próbę spalenia zakładu produkującego na potrzeby frontu wschodniego. Samochodem ciężarowym wywieziono ich do Zamościa. Wśród aresztowanych znaleźli się:

- Marcin Kupicz..... 31 lat
- Andrzeja Beńko.....49 lat
- Wasyl Szumski s. Ignacego.....46 lat
- Igor Szumski s. Jana..... 41 lat
- Jan Kasperski.....52 lat
- Tomasz Kasperski28 lat
- Mikołaj Bednarczuk28 lat
- Jan Bednarczuk.....30 lat

Jan Kasperski został aresztowany z synem Tomaszem, a Mikołaj i Jan Bednarczukowie byli rodzonymi braćmi. Dzień po spaleniu zakładu przywieziono ich z powrotem do Tarnawatki (Tartaku).

(...) Aresztowanych przywieziono w pobliże domu Piotra Kusego kilkadziesiąt metrów od budynku gminy. Z założonymi na tył głowy rękami kazano się im położyć twarzą do ziemi. W tym czasie niemiecka żandarmeria otoczyła Tarnawatkę i spędzono wszystkich jej mieszkańców w to miejsce. Niestety, gorliwie tutaj swoje obowiązki wypełniali granatowi policjanci z miejscowego posterunku. Gdy wokół aresztowanych zgromadzono całą wieś, niemiecki tłumacz odczytał wyrok. Za współpracę z partyzantką zostaną rozstrzelani. To samo spotka każdego, kto będzie działał na szkodę Niemców. Aresztowanym kazano wstać i iść z założonymi rękami przed siebie. Za nimi podążyli niemieccy żandarmi, strzelając im w tył głowy. Nie był to koniec. Po egzekucji żandarmi podpálili gospodarstwa zamordowanych, a ludność pod eskortą musiała to oglądać.

Dopiero gdy zaczęły zapalać się sąsiadujące z nimi zabudowania, Niemcy pozwolili gasić pożary. Płonęła niemal cała wieś.

(...) Zwłoki osób pomordowanych zostały zakopane w jednej mogile na miejscu egzekucji. Na początku lat 50-tych ciała ekshumowano i złożono we wspólnej mogile z zamordowanymi mieszkańcami Sumina. Samego miejsca nie upamiętniono, po wojnie pobudował się tam jeden z mieszkańców, natomiast obok przy ulicy Księdza Boguty położono pamiątkową płytę.



Olejarnia

Po przeciwnej stronie ulicy minąłem kamienną figurę. Nieco dalej mieściła się Olejarnia Złoto Roztocza, druga w gminie produkująca tradycyjny olej rzepakowy na wigilijne stoły.

Ulica Ks. Boguty błyszczała jeszcze czernią wilgotnego asfaltu, po którym wesoło tańczyły złote liście. Muszę przyznać, że widowisko było fascynujące! Przyjemnie było spoglądać na zadbane domy, wykoszone trawniki i czyste podwórza. Nawet jesienne pola w blasku jasno świecącego słońca nie stwarzały przygnębiającego wrażenia.

Za placem zabaw skręciłem w ulicę Kościelną. Aleja obsadzona lipami, z których 6 zostało uznanych za pomniki przyrody, prowadziła pod górę do zabudowań kościelnych.



Ulica Kościelna

Minąłem nową plebanię, na wprost przed sobą mając starą. Za zakrętem stał już sam kościół. Historia tego obiektu sięga roku 1890, kiedy to został wzniesiony jako cerkiew prawosławna. Po I wojnie światowej,

w roku 1919 świątynia została przekazana w użytkowanie katolikom. Parafia została erygowana 21 czerwca 1921 roku. W 1922 roku w ołtarzu głównym umieszczony został obraz Matki Bożej Łaskawej, namalowany ok. 1534 roku. Pochodzi on z kościoła pounickiego w Werechaniach.



Kościół parafialny

Budynek kościoła został wpisany do rejestru zabytków. Świątynia, nieco schowana w cieniu wysokich drzew, z zewnątrz nie przypomina cerkwi. Stojąc przed nią, myślałem, jak pogmatwane bywają losy ludzi, wyznań i narodów. A przecież życie wszystkich zaczyna się tak samo

i kończy się również tak samo. Ile też osób mogło zostać w niej ochrzczonych w obydwu obrządkach, którym służyła? Ile wzięło ślub przed obrazem Matki Boskiej Łaskawej, a ile żegnało się tutaj ze światem?

Na placu za plebanią znajduje się jeszcze jeden interesujący obiekt zabytkowy, którym jest unikatowy spichlerz plebański z 2. połowy XIX wieku. Kiedy patrzyłem na ten drewniany (niestety kryty eternitem) budynek, towarzystwa dotrzymywały mi dwa, ze stoickim spokojem pasące się, konie.



Spichlerz plebański

Zjechałem z górki i skręciłem w ulicę Kniazie. Ta dawna nazwa części wsi została zachowana podczas nadawania nazw ulic, a jej pocho-

dzenie związane jest z osadnictwem wołoskim. Droga prowadziła za budynkiem świetlicy w Tarnawatce, który służy również miejscowej OSP. Obok urządzony został teren rekreacyjny z wiatą, ławkami i miejscem na ognisko.



TARNA-VOX podczas koncertu

W budynku świetlicy spotykają się grupy seniorów, a także swoje próby przeprowadza tu chór *TARNA-VOX*. Inicjatorką jego założenia w 2013 roku była Wiesława Grabek-Woś. Pod jej dyrekcją zespół w krótkim czasie osiągnął tak wysoki poziom, że stał się prawdziwą wizytówką gminy, nie tylko na szczeblu lokalnym, ale także regionalnym i krajowym, a nawet europejskim. Podczas Międzynarodowego Festiwalu „Balcan Folk Fest”, który odbył się w 2015 roku w Złoty Piaskach w Bułgarii, chór zdobył tytuł „The Best of The Best”. W roku 2016 był finalistą Międzynarodowego Konkursu Kolęd i Pastoralek w Będzinie, a z podobnego festiwalu w Rzeszowie przywiózł brązowy medal. Latem 2017 roku chórzyci z Tarnawatki wzięli udział w Praskich Spotkaniach Chóralnych w stolicy Czech. Odnieśli także wiele innych sukcesów, z których najważniejszym jest „Grand Prix” Festiwalu Pieśni Maryjnej w Górecku Kościelnym w roku 2014 oraz I miejsce i nagroda specjalna za

dramaturgię wykonania na XXIII Międzynarodowym Festiwalu Pieśni Religijnej *Cantate Deo* w Rzeszowie w roku 2019. W tym samym roku chór wystąpił także na XIV Warszawskim Międzynarodowym Festiwalu Chóralnym „Varsovia Cantat”.

„Mam moralny obowiązek, by swoją wiedzę, umiejętności i doświadczenia muzyczne przekazać choć w części środowisku, z którego wyrosłam, czerpałam wrażliwość muzyczną i ogólnokulturową” - mówiła Wiesława Grabek-Woś, rozpoczynając pracę z zespołem. Dyrektor „TARNA-VOX” studia wokalne ukończyła z wyróżnieniem w Akademii Muzycznej w Krakowie w klasie śpiewu solowego Heleny Łazarskiej. Pracowała jako solistka Teatru Muzycznego w Krakowie. Od 1980 roku jest nauczycielem PSM I i II st. im. Karola Szymanowskiego w Zamościu. Ponad kilkudziesięciu jej wychowanków to dziś zawodowi śpiewacy na muzycznych scenach Polski, Europy i świata. Po przejściu na emeryturę powróciła do rodzinnego Wieprzowa, choć swoje dzieciństwo wiąże także z Niemirówkiem. W obydwu tych miejscowościach jej ojciec Józef Grabek pełnił funkcję dyrektora szkół.

Chór kontynuuje bogate tradycje śpiewacze istniejące kiedyś na terenie gminy. Śławi też piękno ziemi tarnawackiej. Jednym z utworów, który zespół ma w repertuarze, jest utwór pt. *Moje miejsce*. Piękne słowa, które mogłyby posłużyć za motto mojej podróży, napisała Katarzyna Jastrząb.

Moje miejsce

Na mapie to maleńki znak -

Przy stawach stara wieś.

Doceńmy Tarnawatkę jak

Stolicę cenią gdzieś.

*Przez łąki wonne wije się
Niebieska Wieprza nie,
By ogrzać w słońcu wody swe,
A potem w lesie skryć.*

*W raju dzieciństwa pośród wzgórz,
Słuchałam jako szkrab
Szelestu wierzb, modlitwy brzóz,
Koncertów pszczoł i żab.*

*Dzisiaj wyśpiewać chciałabym
Urodę ziemi tej,
Lecz brak mi słów i trudny rym –
Wybaczyć proszę, chciej.*

Spod świetlicy ruszyłem w kierunku dworu, pegeeru czy osady, jak w różnych okresach nazywano miejsce, w którym mieszkali i gospodarowali dawni właściciele Tarnawatki. Wjechałem na ulicę Parkową, zabudowaną kilkoma blokami mieszkalnymi, wybudowanymi pierwotnie dla pracowników gospodarstwa. Dziś już niewiele osób pracuje w spółce, dzierżawiącej pola i budynki, wciąż stanowiące własność Skarbu Państwa. Produkcja zwierzęca, z której niegdyś tarnawacki pegeer słynął, została całkowicie zaniechana, więc i pracy dla ludzi coraz mniej.

Po lewej stronie ukazał się park podworski ze starymi drzewami. Część terenu ogrodzona siatką stanowi własność prywatną, a druga należy do gminy. Cały zespół dworski został wpisany do rejestru zabytków i podlega ochronie konserwatorskiej. Zza drzew połyskiwał białą elewacją dom administratora wybudowany w 1929 roku. Po drugiej stronie drogi rozsiadły się budynki gospodarskie, które w większości pamiętają

jeszcze czasy przedwojenne. Stajnia z wozownią, spichlerz i chlewnia zostały uznane za zabytki.



Spichlerz w gospodarstwie w Tarnawatce

Pierwotnie dobra tarnawackie stanowiły własność królewską. W roku 1567 król Zygmunt August nadał je Stanisławowi Zamoyskiemu za zasługi w walkach z Moskwą. W tamtym okresie w Tarnawatce istniał folwark z dworkiem, w którym zamieszkiwał administrator zarządzający starostwem. W 1772 roku dobra te nabył hrabia Tadeusz Dzieduszycki. Na przełomie XIX i XX wieku ich właścicielem stała się rodzina Tysz-

kiewiczów. W skład majątku wchodziły: Tarnawatka, Pucharki, Zielone, Przejma, Werechanie, Majdan, Wieprzów, Skrzypny Ostrów, Pauczne i Huta Szklana. W wyniku podziału schedy spadkowej po Janie Józefie i Elżbiecie Tyszkiewiczach Tarnawatka przypadła ich synowi Władysławowi. W 1920 roku ożenił się on z Różą z Tarnowskich i niedługo po tym zamieszkali w Tarnawatce. Tutaj doczekali się piątki dzieci.

Nieistniejący dziś dwór, w którym mieszkali właściciele, wybudowany został pod koniec XIX wieku. Była to budowla drewniana, jednokondygnacyjna, z mieszkalnym poddaszem, kryta gontem. Położona była w zachodniej części parku. Przed budynkiem znajdował się podjazd. Od wschodu i północy otoczony był parkiem. W południowej części usytuowane były ogrody, łąki i sad. Do posiadłości przylegał staw Pastewnik. W tamtym czasie w majątku Tarnawatka było około 30 stawów.



Park dworski

Dziś, patrząc na trochę zarośnięty park, trudno sobie wyobrazić, że stał tu dwór, a przed jego ganek zajeżdżały eleganckie powozy, z których wysiadało dostojne towarzystwo. Panie w długich sukniach spacerowały alejkami parku, zabawiane rozmową przez dżentelmenów ubra-

nych w jasne garnitury. Wszędzie słychać było śmiech rozbieganych dzieci. A może jednak, wśród cieni drzew, przemknie gdzieś wspomnienie Hanki Ordonówny, która bywała w Tarnawatce, bo przecież jej mężem był Michał Tyszkiewicz, brat Władysława. Może zza olbrzymiego krzaka bzu wyskoczy ubrany w pióropusz i z łukiem w ręku mały Jaś Tyszkiewicz, który po perypetiach wojennych będzie potem pracował w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, a w książce *Arystokrata bez krawata* o swojej ukochanej Tarnawatce napisze, że jest *stolicą Polski*.

Tyszkiewiczowie opuścili Tarnawatkę we wrześniu 1939 roku. Władysław został aresztowany przez Sowieców i niedługo potem zamordowany. Jego żona i dzieci w czasie wojny tułali się po różnych krajach, żeby potem już na zawsze pozostać na emigracji. Dobra Tyszkiewiczów zostały upaństwowione i aż do lat 90. ubiegłego wieku funkcjonowało tutaj państwowe gospodarstwo rolne.

Po latach Jan Tyszkiewicz kilkakrotnie odwiedzał Tarnawatkę. Jako jedyny do tej pory otrzymał nadany mu przez Radę Gminy tytuł honorowego obywatela Tarnawatki.

Patrząc na cichy, jesienny park, pomyślałem, że może jednak uda się go kiedyś odnowić. Są przecież konkretne plany, które ożywiłyby to miejsce. Alejki, ławeczki i odkrycie zagłębionych w ziemi fundamentów dawnego dworu z pewnością stanie się atrakcją dla niejednego turysty.

Ruszyłem dalej. Na ostrym zakręcie drogi kończyła się ulica Parkowa, a zaczynała Kasztanowa. Jej nazwa pochodzi od tych pięknych drzew, którymi obsadzone zostały pobocza drogi. Teraz asfalt pod kasztanowcami zrobił się brunatny, nie tylko od zrzucanych liści, ale także owoców, których spore ilości zalegały pod drzewami. Znalazłem się w kolejnej części osiedla mieszkaniowego. *Szóstaki*, *Pszczoty* - to nazwy znane mieszkańcom Tarnawatki i nadal chętnie używane dla określenia konkretnych domów czy miejsc. Za budynkami oczyszczalni ścieków zaczynała się już droga gruntowa, a ja zawróciłem, żeby przez tzw. *trójkąt*, czyli łącznik pomiędzy ulicą Parkową a Wolą pojechać w kierunku stawów.

Zabudowania ulicy Wola zajmują tylko jedną stronę drogi. Z drugiej rozciąga się użytek ekologiczny.



Mgły nad użytkiem ekologicznym

Wydaje się, że jeszcze nie tak dawno można tu było kąpać się i łowić ryby. Wody było naprawdę sporo, przecież to dawny staw Pastewnik! Panowała prawdziwa harmonia między ludźmi i licznym ptactwem zamieszkującym okolicę. Od kiedy jednak teren przeszedł pod zarząd Lasów Państwowych, wszystko się zmieniło. Już nie można było się kąpać. Za łowienie ryb groziły kary finansowe. Wycięcie krzaków czy nie daj Boże drzew, to prawie przestępstwo! Użytek ekologiczny wymaga ochrony! I tak, dzięki tej blisko dwudziestoletniej „ochronie”, staw prawie zniknął, a większość ptaków się wyniosła.

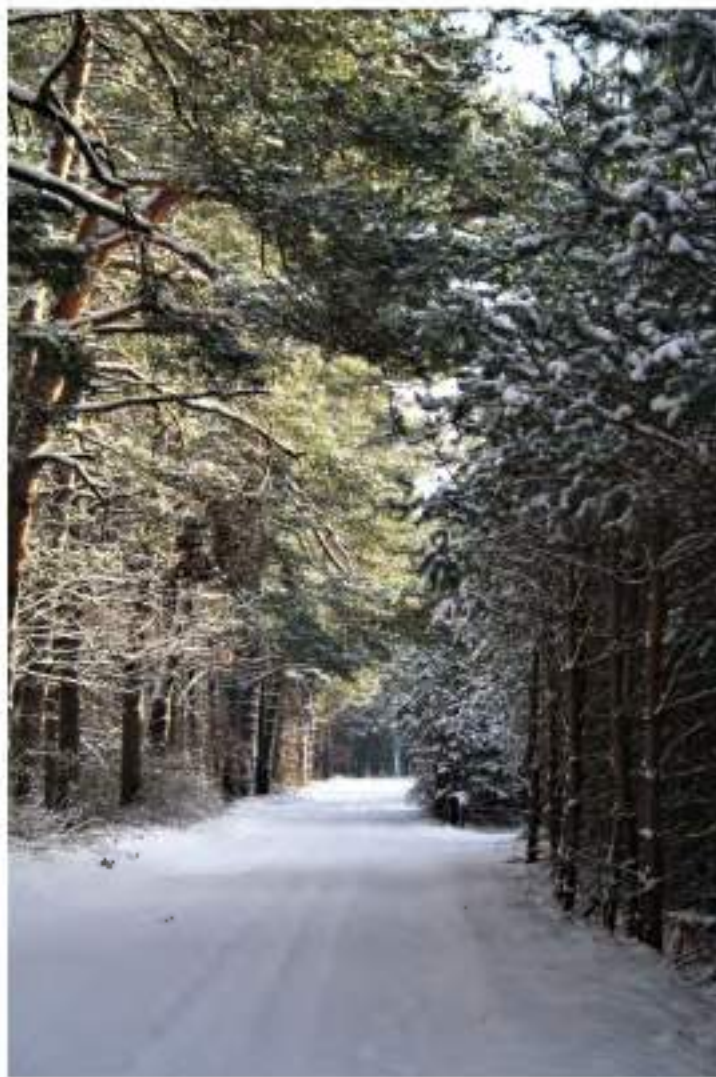
Ja jednak zmierzałem w kierunku *Janów*, czyli tarnawackich stawów, które naprawdę nazywają się: Sobieski i Jan Górny. Na końcu asfaltowej drogi stare drzewa chroniły przydrożną figurę. Dalej zaczynała się już niezbyt wygodna droga, wyłożona płytami. Wjechałem w las. Słońce przebijało się przez korony drzew, tworząc na mokrym podłożu

iście artystyczne obrazy. Całości dopełniały delikatne mgiełki i cienie błędzące gdzieś wokół jasnych pni sosen i ciemnych olch. Tuż przy drodze, w pobliżu miejsca, gdzie dawniej stał ceglany dom, leżały stopy równo poukładanego drewna. Jednak można ciąć? *W tak pięknych okolicznościach przyrody* nie chciałem o tym myśleć. Jechałem dalej. W oddali pojawiły się już zabudowania tzw. *Rybołówstwa*. Pierwszy dom, który tam zawsze zauważam, to... bocianie gniazdo.



Wieża przy ścieżce edukacyjnej

Od lat na zakręcie drogi, na słupie energetycznym, niezmiennie przyciąga mój wzrok. Teraz oczywiście puste, ale wiosną z pewnością znajdą się chętni, żeby je zasiedlić. Droga do stawów prowadzi obok osiedla mieszkaniowego. Kolejny zakręt i mój wzrok przyciąga sosnowy młodnik. Dalej las sosnowy powoli zaczyna zamieniać się w teren bardziej podmokły i gęściej porośnięty. Wreszcie stawy! Ponad 160 hektarów lustra wody! Szlaban podniesiony. Po lewej stronie śluza i kanał doprowadzający wodę. Sobieski bez wody! Pora odłowów. Przecież niedługo święta i tarnawackie karpie szykują się do podróży na... wigilijne stoły. Tymczasem czarne dno straszy. W oddali widać jednak trochę wody, w której polowanie urządzą sobie czaple białe.



Droga do stawów zimą

Grobla pomiędzy stawami, cóż za wspaniałe miejsce! Podobno często bywa plenerem sesji zdjęciowych młodych par. I nie ma się czemu dziwić! Widoki oszałamiające! Na północy wyraźnie zarysowane wzgórze, na którym położona jest wieś Antoniówka. Na tafli wody Jana Górnego słońce kreśliło swoje obrazy.

Okoliczne lasy i trzciny tworzyły prawdziwe ramy tego wielkiego malowidła. Cud natury! Tylko podziwiać i korzystać z każdej chwili,

która daje nam poczucie szczęścia! Trzeba tylko rozejrzeć się wokół siebie i chwilę zatrzymać, a każdy jest w stanie znaleźć coś, co go naprawdę zachwyci i uniesie ponad prozę życia. Pojechałem wschodnią groblą stawu, położoną wzdłuż rowu doprowadzającego wodę. Teren po lewej był bardzo bagnisty i dziki. Swoje gniazda założyło tu tysiące ptaków. W kilku miejscach zauważyłem jakby wiklinowe kosze, zwężające się ku końcowi. Jak się okazało, były to specjalnie przygotowane miejsca lęgowe dla kaczek.

Zatrzymałem się w miejscu, w którym rów doprowadzający wodę do stawów wpada z powrotem do Wieprza. Rzeka w tym miejscu była naprawdę szeroka i cała porośnięta rzęsą wodną. W pierwszej chwili zastanawiałem się, czy to naprawdę Wieprz, który jeszcze na mostku pomiędzy Pańkowem a Tarnawatką wydał mi się cieniutką wstążeczką, a tu proszę, całkiem spora rzeka. Przyczyna takiego stanu rzeczy za chwilę ukazała się przed moimi oczami – betonowa tama spiętrzająca wodę. Dalej groblą dojechałem do magazynów, które wykorzystywane są przy hodowli karpia.





Zachód słońca nad stawami



Stawy o poranku

Teraz jechałem już wałem oddzielającym dwa stawy. Kiedy obydwie napełnione są wodą, wtedy wrażenia są jeszcze większe, bo człowiek czuje się, jakby wpłynął na prawdziwy *przestwór oceanu*. Dookoła tylko woda i powietrze. Stawy o każdej porze roku nie dość, że urokliwe, to oferują różne atrakcje.

Wiosną może to być śpiew ptaków, latem stada łabędzi z młodymi chętnie podpływającymi do porośniętych trzcinami brzegów, jesienią odgłosy rykowiska, które odbywa się na pobliskich łąkach i w lasach, a zimą dźwięki, jakie wydaje pękający lód.





Tarnawackie łabędzie

Dojechałem do szlabanu zagradzającego wjazd na teren stawów i przez *Rybołówstwo* udałem się w drogę powrotną.

Przy figurze pomyślałem, że mogę jeszcze skręcić w prawo i dojechać do „pańkowskiej” drogi. Cóż, trasa do łatwych nie należała, ale przecież właśnie tego się spodziewałem. Autostrady nie wybrałem, tylko drogę gruntową wśród łąk i pól. Szczypta adrenaliny na sporych koleinach bardzo się przydała. Spoglądałem sobie na las, który był i nadal jest miejscem spotkań młodzieży, także tej ciut starszej. Ileż tam zapłonęło ognisk? Ile uczuć zapaliło się, a ile zdążyło zgasnąć? Ile piosenek popłynęło razem z leniwym nurtem Wieprza płynącego w pobliżu? Ile było płaczu? Ile śmiechu? Tak rozmyślając, minąłem ogrodzoną działkę, na której stała pasieka składająca się z nowoczesnych uli. Wyjechałem na skrzyżowaniu ulic Zachodniej w Tartaku i Malowniczej w Tarnawatce. Chcąc jeszcze popatrzeć trochę na otaczający mnie krajobraz, skręciłem w tę ostatnią. Nawierzchnia ulicy Malowniczej nie przedstawiała się tak kolorowo jak jej nazwa. Zatrzymałem się na szczycie góry, przy drewnianym krzyżu, żeby spokojnie rozejrzeć się po okolicy. Było warto! I było naprawdę malowniczo. Nazwa trafiona w punkt.



Figura na Woli

Dolina Wieprza, łąki, pola i lasy, widok na Tarnawatkę. Wszystko skąpane w blasku niby jesiennego, a jednak letniego słońca robiło niesamowite wrażenie. Skręciłem w ulicę Wichrową. Przyznam, że jeszcze nigdy nie miałem okazji tamtędy jechać. Byłem trochę zaskoczony stanem drogi. Spodziewałem się sporych dziur, a tymczasem jechałem całkiem gładką gruntówką. Moją uwagę przyciągnął widok budynków

szkolnych, które od strony zachodniej prezentują się nad wyraz korzystnie. Na pierwszym planie hala sportowa, a obok przedszkole, przed którym wyraźnie widać plac zabaw. Wszystko kolorowe i aż kipiące nowością.



Ulica Malownicza

Pierwsza zamieszkała posesja ulicy Wichrowej przywitała mnie wesołym ujadaniem dwóch dużych psów w typie labradorów. Zamykając wielką pętlę podróży przez Tarnawatkę, dotarłem do ulicy Szkolnej.

Kiedy mknąłem w dół do centrum miejscowości, słowa *Piosenki o Tarnawatce* same cisnęły mi się na usta. Jej tekst, dla niektórych trochę kontrowersyjny, dla innych zabawny, mnie zapadł głęboko w pamięć i dziś podśpiewywałem go wesoło:



Skrzyżowanie ulic Szkolnej i Lubelskiej

*Poznałam go na targu w Tarnawatce
sprzedawał byki, prosięta oraz drób
Gregory Peck rozparty na furmance
Ten z wyższych sfer, Machnowa PGR.*

*Ref. Roztaczał w krąg lawendy woń
I silny był jak jakiś koń
Od cholew blask aż w oczy bił
Oprzeć się mu nie miałam sił*

*Kształcony był, uczęszczał na świetlicę
Tam czytał pismo „Nabiał oraz chów”
Czasami to zasuwiał takie pice,
Że ze śmiechu trząsał się cały klub.*

Ref. Roztaczał w krąg ...

*Uczciwy był nie taki jak te inne
Co by się zaraz do całowania brał.
On tylko patrzył w oczy me niewinne
I pytał: ila tata mają ha.*

Ref. Roztaczał w krąg ...

*Aż kiedyś wszedł po sumie do chatupy
Na jego widok zbladłam niczym trup
On wtedy litr wyciągnął z za pazuchy
Zabijcie świnie, bo niezadługo ślub.*

Ref. Roztaczał w krąg ...

*To był najgorszy dzień mojego życia
Tatulo rzekł nie będziem dzielić mórg
On wtedy wstał i tylko zaklął z cicha
Pożegnał mnie i domu mego próg.
 *Nie dla mnie już lawendy woń
 Nie dla mnie cholew jego blask
 W jeziora chyba skoczę toń
 Na zawsze już pożegnam świat.**





WENIECZKOWIE KOWALSKI
WYDZIAŁOWI W
ZAWODNICOM - ZEMIE ŻE
POLSKIEJ PAZDZIEKA
ZEMIE ŻE PAZDZIEKI





























Wykaz źródeł:

- Mariusz Koper, *Powiat tomaszowski w pejzażu toponimicznym pogranicza polsko-ukraińskiego*, Lublin 2019,
- Wiesława Gruner, *Tarnawatka*, Tarnawatka 2011,
- Józef Niedźwiedź, Ewa Niedźwiedź, Robert Czyż, Robert Kuźniarz, *Dzieje Gminy Tarnawatka Powiat Tomaszowski*, Zamość – Tarnawatka 2018,
- Józef Niedźwiedź, *Leksykon historyczny miejscowości dawnego województwa zamojskiego*, Zamość 2003,
- Wiesław Bondyra, *Słownik historyczny miejscowości województwa zamojskiego*, Lublin – Zamość 1993,
- Janusz Peter, *Tomaszowskie za okupacji*, Tomaszów Lubelski 2019,
- Norman Davies, *Boże igrzysko*, Kraków 2003,
- Praca zbiorowa, *Człowiek zaklęty w kamień*, Tarnawatka 2011,
- *Ziemia Tomaszowska*, nr 8 z 20 sierpnia 1923 r.,
- www.geoportal.gov.pl,
- www.wikipedia.pl,
- www.wakacje.pl,
- www.parafiaszarowola.pl,
- www.apokryfruski.org,
- www.youtube.com.